OSWALD BALZER

PRZYGODNE SŁOWA

SŁOWEM WSTĘPNEM POPRZEDZIŁ
IGNACY CHRZANOWSKI
Z PORTRETEM AUTORA

LWÓW 1912
NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO
WARSZAWA — E. WENDE I SKA.

PRZYGODNE SŁOWA.

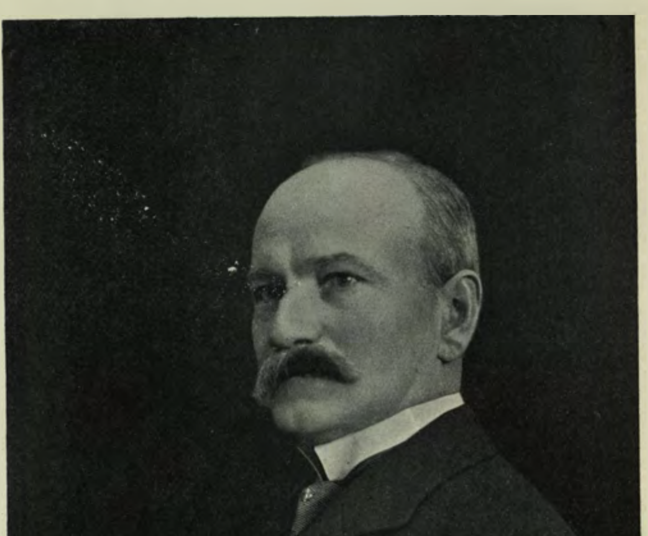
WYDAWNICTWA KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO WE LWOWIE

STANISŁAW BRZOZOWSKI

KULTURA I ŻYCIE

IDEE

WSTĘP DO FILOZOFII DOJRZAŁOŚCI DZIEJOWEJ



Oswald Balzer.

OSWALD BALZER

PRZYGODNE SŁOWA

1886—1911

SŁOWEM WSTĘPNEM POPRZEDZIŁ
IGNACY CHRZANOWSKI
Z PORTRETEM AUTORA

LWÓW 1912
NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO
WARSZAWA — E. WENDE I SKA.

ODBITO W DRUKARNI „WIEKU NOWEGO“ WE LWOWIE.

SPIS RZECZY.

PRZEDMOWA.

O *Pieśniach Janusza* Pola powiedziano kiedyś, że, „gdyby szczególnem zrządzeniem zniknęły nagle wszystkie księgi, tyczące się historyi polskiej,... a ocalała z tego potopu, spadającego na duchowy nasz żywot, tylko jedna ta złota, niewielka książeczka: natchniony historyk, czerpiąc z tego źródła, odgadłby harakter dziejów Polski, a nowy wieszcz, czerpiąc równie w tem źródle, wyśpiewałby jej przyszłość".

Jest, naturalnie, w tym sądzie o *Pieśniach Janusza* dużo przesady, — wypowiedział go przecie Ujejski. Nie będzie jednak ani źdźbła przesady, jeśli się powie, że, gdyby kiedyś szczególnem, a dla nauki polskiej opłakanem, wręcz okropnem zrządzeniem zaginęły dzieła naukowe profesora Oswalda Balzera — i *Genealogia Piastów* i *Geneza Trybunału Koronnego* i *Historya ustroju Austryi* i *Skartabelat w ustroju szlachectwa polskiego* i *Corpus juris polonici* i wszystkie inne jego badania i wydawnictwa w zakresie historyi polskiej i historyi prawa polskiego —, a ocalały tylko jego *Przygodne słowa*, które się obecnie po raz pierwszy ukazują w zbiorowem wydaniu: to, czerpiąc jedynie z tego źródła, nie możnaby wprawdzie wytworzyć sobie nawet przybliżonego pojęcia ani o tych olbrzymich zasługach, jakie ich autor dla nauki położył, ani o jego zdumiewającej uczoności i pracowitości niezwykłej, ani o ścisłości jego me-

tody naukowej; możnaby jednak poznać nieomylnie i niezawodnie, że był uczonym historykiem bardzo niepospolitej miary, badaczem ostrożnym, trzeźwym, ścisłym, a do tego wyjątkowo uczciwym, ze świętym zapałem szukającym prawdy i znajdującym rozkosz w zbliżaniu się do „tego wielkiego światła, o którem wiemy, że błyszczy w całym majestacie, że samo jest majestatem, choć go dla ludzkiej naszej ułomności nigdy w całym majestacie oglądać nie możemy“; możnaby dalej poznać, że autor *Przygodnych słów* zgłębił naukowo nie tylko dzieje polityczne Europy średniowiecznej i nowożytnej, ale także historyę jej kultury i cywilizacyi; że, co więcej, nie tylko zdobył olbrzymią wiedzę w zakresie faktów dziejowych, ale także głęboko rozumiał zarówno ich nierozerwalną, pragmatyczną łączność, jak życiową — polityczną czy kulturalną, narodową czy ogólno-ludzką — wartość.

Czy takie np. przemówienie jak: *O uniwersytecie lwowskim i uniwersytetach polskich,* nie jest pracą ściśle naukową, czy nie jest naukowym zarysem historyi uniwersytetów polskich na tle historyi uniwersytetów w Europie zachodniej? A cóż dopiero powiedzieć o *Liście otwartym do Mommsena,* zawierającym, pomiędzy innemi, krótką, treściwą, ale głęboką w swem ujęciu zarówno, jak w swojej prawdzie dziejowej, ocenę historyi niemieckiej i zachodniosłowiańskiej ze stanowiska kultury? Albo jeszcze przemówienie *W rocznicę grunwaldzką,* które tak głęboko zarazem i tak przystępnie wyjaśnia, czem był i czem do dziś dnia jest w historyi narodu polskiego i kultury polskiej Grunwald! Czy w tem przemówieniu nie walczy o lepsze z uczuciem patryoty-

cznem ściśle naukowy pogląd na wypadki dziejowe?

W ogóle *Przygodne słowa* profesora Balzera, pomimo swojej przygodności, mają jednak po większej części wartość wcale nie przygodną, ale trwałą, a to dlatego, że ich autor umiał każdą sprawę ująć i oświetlić pod niezmiernie szerokim kątem widzenia, umiał się wznieść na stanowisko myśliciela, oryentującego się z równą łatwością w przeszłości, jak i w teraźniejszości. I śmiało można powiedzieć, że pod tym względem *Przygodne słowa* mają wyższość nad specyalnemi monografiami profesora Balzera; te bowiem, chociaż niezrównane w metodzie naukowej, w erudycyi, w odwadze badawczej, nie lękającej się żadnych trudności, w doniosłości i pewności zdobytych wyników, chociaż (jak się raz wyraził niezapomnianej pamięci Stosław Łaguna) są „wykonane z drobiazgową sumiennością słynnych niegdyś mozaistów weneckich", — nie dały mu jednak, właśnie przez swój specyalny, drobiazgowy charakter, pola do poruszenia i rozwinięcia myśli ogólniejszych, do uwydatnienia wszystkich zasobów zarówno bogatej umysłowości, jak szlachetnej duszy. Tutaj, w *Przygodnych słowach,* inaczej, — pole było nierównie szersze: pozostał historyk-badacz, ale obok niego ukazał się historyk-myśliciel; pozostał trzeźwy, bezstronny uczony, ale obok niego ukazał się gorący, pełny miłości swego kraju obywatel.

Istnieje pogląd, że jedynem zadaniem historyka jest wyświetlić prawdę, wyjaśnić, skąd się wziął w historyi ten albo inny fakt, jakim on był w swoim przebiegu i w swoich skutkach, że natomiast historyk przekracza zakres swych badań historycznych, a nawet

sprzeniewierza się swemu powołaniu, jeżeli o wypadkach historycznych wydaje własny sąd: profesor Balcer, jak o tem pięknie i wymownie świadczą *Przygodne słowa,* nie podziela tego ciasnego poglądu. Dążąc nadewszystko do wyświetlenia prawdy (dlatego to nie Mommsen, tylko Ranke jest w jego oczach „wielkim, niezapomnianym, nieprześcignionym mistrzem dziejopisarstwa"), nie wyzuwa się jednak z przynależnego historykowi prawa wydawania sądu o wartości wypadków historycznych, nie odmawia sobie ani swym czytelnikom odpowiedzi na cisnące się każdemu do głowy i serca pytanie: „czy coś się dobrze stało, czy też nie, czy coś było pożądanym, czy też niepożądanym wypadkiem dziejowym?"

Lecz jakież jest kryteryum wartości wypadków historycznych, z jakiego stanowiska winien historyk wydawać o nich sąd? Jasną i stanowczą odpowiedź na to pytanie dają *Przygodne słowa.* Najwyższem dobrem ludzkości, najwyższym celem, do którego dążyć powinny społeczeństwa i narody, nie jest potęga polityczna państwa: „państwo nie jest nie tylko duszą, nie jest nawet ciałem narodu, jest ono tylko pewną ramą, w którą pospolicie ujęte jest jego życie,... ale jedynym, koniecznym warunkiem tego życia organizacya owa nie jest; nie jest nawet koniecznie miarą jego tętna, miarą wydatności pracy w kierunku urzeczywistnienia posłannictwa". Tem posłannictwem nie jest i kultura materyalna: ona jest tylko środkiem. Posłannictwem zaś jest — kultura duchowa, będąca niejako łącznikiem pomiędzy ziemią a niebem, „pomostem do Boga, bo prawie, że zdobywająca dla ludzkości to, co należy do najisto-

tniejszych pierwiastków bóstwa: dobro, piękno, prawdę“. Z tego to stanowiska — ze stanowiska nie przelotnych wartości i nie środków, zmierzających do celu, ale wartości istotnej, wiekuistej i ostatecznego celu życia ludzkiego na ziemi — wydaje profesor Balzer wyroki historyczne, biorąc, rzecz naturalna, pod uwagę i kryteryum etyczne, w tem głębokiem przekonaniu, że niema rzetelnej kultury duchowej bez kultury moralnej. Z *Przygodnych słów* wieje duch mędrca, który odróżnia fenomen od istoty, determinizm dziejowy od wyzyskującej go na rzecz swoją świadomej celowości; który patrzy na dzieje ludzkie nie tylko z nizin ich przyczynowego związku, ale także z wyżyn — najwyższego celu; który nadto mocno wierzy, że ten cel najwyższy wytknęła ludzkości sama Opatrzność, że do tego celu z coraz większą świadomością dążyć będzie ludzkość, że prędzej czy później „przepali się piekło samo — i wybije godzina sprawiedliwości“, że wprawdzie „na zegarze dziejowym na godzinę taką trzeba czekać całe stulecia, ale — jest Bóg na niebie, więc zegar nie stanie“. Oto *credo* historyczne, a raczej historyozoficzne, profesora Balzera.

A teraz *credo* narodowe. Jako znakomity badacz naszej przeszłości, zna on ją tak gruntownie, jak mało kto w Polsce; tem cenniejszym przeto dla nas jest i powinien być jego sąd o niej, wypowiedziany nadewszystko we wspaniałym *Liście otwartym do Mommsena*, któremu podobało się nazwać Polaków i wogóle Słowian „barbarzyńcami“, w liście, w którym niewiadomo naprawdę, co więcej podziwiać: przedmiotowość i bogactwo treści, czy druzgo-

cącą siłę argumentów, czy powagę tonu, czy subtelną, ale niezmiernie dotkliwą (a w całej pełni zasłużoną) ironię. Z natury rzeczy wydobył tutaj profesor Balzer na jaw jedynie dodatnie strony historyi polskiej, których poczet uzupełnił w przemówieniu *W rocznicę Grunwaldzką;* tam chodziło mu głównie o uwydatnienie niezaprzeczonych zasług dziejowych Polski wobec kultury i cywilizacyi europejskiej, zarówno zachodniej, jak wschodniej, tutaj — o uwydatnienie ogólnego charakteru historyi polskiej. I warto — dzisiaj zwłaszcza, kiedy nadto jesteśmy pochopni do upatrywania w naszej przeszłości jedynie stron ujemnych —, abyśmy wszyscy zapamiętali sobie tę prawdę, ten niezbity fakt dziejowy, że „tkwiła w podstawach idei państwowej Polski zasada prawa, wysuwał się na czoło moment sprawiedliwości, — odpowiedniki znamienne zawartej w duszy narodu kultury etycznej". Uczony, trzeźwy i bezstronny historyk i prawnik, zdający sobie jasno sprawę z ujemnych stron historyi narodu i państwa polskiego, przyznaje jednak prawdę i słuszność sądowi poety-romantyka, w którego oczach

Z Polski — ojczyzna w przyszłości jedyna,
Co z piersi miłość, a nie rozbój sieje,
Co mieczem — tylko świat ewanieliczy,
Gardzi grabieżą — nie garnie zdobyczy —
Spaja się z braćmi — a dumnych roztrąca,
Lecz i tych jeszcze w jawnem świetle słońca!

O tej zgodzie uczonego z poetą także warto pamiętać — zwłaszcza dzisiaj, kiedy się znów zaczyna bezkrytyczne podawanie w wątpliwość naczelnych idei naszego romantyzmu. A jak poeta-romantyk święcie

wierzył w lepszą przyszłość swego narodu, ale jednocześnie uczył, że „Ty bez nas samych nie możesz nas zbawić“: tak i trzeźwy uczony wierzy, że „opoka polskości“ jest „silna, niewzruszalna, nieśmiertelna“, ale uczy, że „do sprawiedliwego zwycięstwa“ prowadzi jedynie „usprawiedliwienie własne“. Polska jest narodem wybranym: i tego nawet artykułu wiary romantycznej nie wykreśla profesor Balzer ze swego narodowego *credo*, tylko, że go rozumie inaczej, zmienia go — do niepoznania: nie przez przeszłość swoją, nie przez „ofiarę“ i nie przez posłannictwo swoje jest Polska narodem wybranym, ale jedynie przez to, że, pozbawiona niepodległości politycznej, ma do spełnienia więcej obowiązków, i to daleko trudniejszych, niż narody, posiadające własne organizacye państwowe. „Gdyby powiedzieć, że ciąży“ na uniwersytetach polskich tylko to „zadanie, jakie każdy uniwersytet spełniać winien, to mało: trzeba dodać, że *one nie tylko za siebie pracować mają, ale i za te uniwersytety, które — być powinny*“. I ta wzmożona, ta zdwojona praca obowiązuje nas dzisiaj na każdem polu kultury duchowej.

Na jedno jej pole szczególną uwagę zwracają *Przygodne słowa*, mianowicie na naukę, na czystą, bezinteresowną naukę. „Są moce ludzkie, które w zapamiętaniu poważają się wydawać wyroki śmierci na całe narody: ale niema mocy ludzkiej, któraby to życie zabić zdołała, pokąd naród wysoko dzierży sztandar cywilizacyjny“. Niepodobna zaś dzierżyć wysoko sztandaru cywilizacyjnego bez kultury naukowej, bez czynnego kultu nauki czystej, „pojętej, jako cel sama w sobie, t. j. jako dochodzenie prawdy dla

prawdy". „W kulturalnym pochodzie ludzkości każdy naród ma wyznaczony sobie pewien najkonieczniejszy udział w pracy około postępu wiedzy; wolno mu to zadanie spełnić, albo nie spełnić; *„ale, jeśli go nie spełni, przestanie kroczyć w rzędzie narodów kulturalnych"*.

Czy trzeba jeszcze dodawać, że te słowa nie były i nie są dla profesora Balzera pustym dźwiękiem? że nie tylko swemi znakomitemi dziełami naukowemi, ale i swoją nie mniej znakomitą działalnością na stanowisku profesora uniwersytetu lwowskiego i organizatora Towarzystwa dla popierania nauki polskiej we Lwowie, to swoje przykazanie narodowe wypełnił, wypełnia i — daj Boże, jak najdłużej — wypełniać będzie? W słowach, w których scharakteryzował zasługi Kalinki, scharakteryzował najlepiej, nie myśląc o sobie, i samego siebie: bo i on jest „prawdziwym kapłanem nauki, który ją czci, jakoby rzecz świętą, który nie sponiewierał jej nigdy, który zawsze stał na straży jej honoru i nieskazitelności".

Ign. Chrzanowski

Pamięci Kalinki.

Przemówienie na pogrzebie d. 18. grudnia 1886 imieniem Towarzystwa historycznego we Lwowie. [1]

Quem sui flentes gemuere cives, hic diu vixit — powiedziano: na czyjej mogile płaczą współobywatele, ten żył dosyć długo. Chwila obecna każe nam wątpić o prawdzie tego powiedzenia. Bolesnem echem rozbrzmiała wieść o zgonie ś. p. Kalinki w najszerszych kołach społeczeństwa naszego; żal prawdziwy, żal głęboki przejął serca wszystkich, a przejął je nie dla tego tylko, że nam przychodzi pożegnać człowieka, który już tyle zdziałał, ale i dla tego, żeśmy stracili męża, który tak wiele jeszcze mógł zdziałać. Ś. p. Kalinka należał do rzędu tych ludzi, którzy nigdy dosyć długo nie mogą żyć dla dobra społeczeństwa, których śmierć — kiedykolwiekbądź nastąpi — stanowi zawsze ciężką dla niego klęskę; a cóż dopiero, kiedy śmierć ta przetnie pasmo żywota w środku pracy rozpoczętej, tak owocnej i tak znakomitej.

Dwojaką jest wartość życia człowieka — powiedziałbym: wewnętrzna i zewnętrzna. Jedna stoi cnotą jednostki, druga zasługami wobec społeczeństwa. W ścisłą, harmonijną całość łączyły się oba te przymioty w zmarłym O. Kalince, a oddziaływając nawzajem na siebie, nawzajem się potęgowały. Świąto-

[1] Druk. w Kwartalniku historycznym z r. 1887 str. 143-147.

bliwy kapłan, mąż nieskazitelny, charakter silny i nieugięty, to tylko miał na oku, ażeby się dobrze działo narodowi, z którego wyszedł, i kościołowi, do którego należał. W czystej krynicy własnego ducha, w wielkiem uzdolnieniu, którem go obdarzyła Opatrzność, szukał i znalazł niespożytą siłę, która mu dozwoliła nie tylko wielkie rzeczy zamierzyć, ale i wielkie rzeczy zdziałać. Duch podniosły, umysł wyższy, wzniesiony ponad strychulec powszedniości, nie mógł nam dać owoców powszednich, codziennych; to, co pozostawił, to wszystko niezwykłe, posągowe, olbrzymie. Mało kto tyle położył zasług około społeczeństwa, mało kto tyle był dlań pożytecznym. Tem boleśniej przychodzi nam dzisiaj odczuć dotkliwą stratę, którą ponosimy. W narodach, które stoją nie tylko ludźmi, ale i instytucyami państwowemi, zgon człowieka tej miary, co ś. p. Kalinka, da się może łatwiej przeboleć; u nas, gdzie wszystko zależy od ludzi, stanowi on, jak słusznie powiedziano, klęskę, którą trudno powetować.

Żegnając te drogie zwłoki imieniem Towarzystwa historycznego, zwrócić pragnę bliższą uwagę na dwa kierunki działalności zmarłego. A naprzód na działalność jego jako historyka. Uderza tu rzecz szczególna, że ś. p. Kalinka, prócz kilku odosobnionych, nielicznych prób dawniejszych, oddał się zawodowi historycznemu z całym właściwym sobie zapałem dopiero w latach późniejszych; oddał mu się niestety za późno, ażeby móc zdążyć z wykończeniem głównej pracy swojego życia. Ale stąd płynie wniosek, który rzuca jasny promień światła na charakterystykę jego jako uczonego Rozumiał on dobrze, że historya, to obraz życia przeszłości narodów, i odczuł trafnie, że ten, kto z su-

chych źródeł dziejowych, choćby najobfitszych, życie to wykrzesać zechce, sam przedewszystkiem poznać je i do gruntu zbadać musi. Zanim się zabrał do nauczania innych, odbył twardą, długą szkołę życia, nie tylko na książkach i dokumentach, ale i na wypadkach, nie tylko przy biurku pracownika, ale i wśród gorącego wiru życia publicznego. I wyniósł z tej szkoły wielką znajomość ludzi, rzadką zdolność dostrzegania ich ułomności i namiętności, pragnień i dążeń, zdobył sobie trafny i bystry sąd o najtajniejszych sprężynach, poruszających społeczeństwami i narodami. Pod skromną suknią zakonnika krył się wielki psycholog i prawdziwy mąż stanu. Przystępując z takimi zasobami do kreślenia dziejów, mógł nam dać niewątpliwie bardzo wiele, a dał więcej może, niżeśmy się sami spodziewali. Trudny sam w sobie do opanowania okres ostatnich chwil życia politycznego Rzpltej, kiedy wszystko wrzało jak w kotle, kiedy się rozbiegały i krzyżowały tysiączne dążności jednostek i stronnictw na wewnątrz, tysiączne zabiegi sąsiadów na zewnątrz, nie przygniótł go swoim ogromem; historyk wzniósł się ponad wypadki, ogarnął je orlim wzrokiem, ugrupował je należycie i tchnął w nie ducha, tego właśnie ducha, jaki je niegdyś rzeczywiście ożywiał. Są też prace ś. p. ks. Kalinki, a przedewszystkiem jego „Sejm czteroletni“, świetnym tryumfem nauki i geniuszu. Czytając jego książkę, zda się nam, jakobyśmy oddychali powietrzem tych czasów, które opisuje, widzimy ludzi, ludzi z krwi i kości, nie blade, bezbarwne cienie, manekiny; widzimy nie przypadki, ale w y p a d k i, łączące się ze sobą w jeden wielki łańcuch przyczyn i skutków; mamy przed sobą nie tylko historyę Sejmu cztero-

letniego, ale i jego psychologią. A czytamy to wszystko wyrażone tak prostem słowem, że zda się nam, jakbyśmy słuchali opowieści o rzeczach najpowszedniejszych; prawdziwa wielkość nie zna innej szaty, prócz szaty skromności i prostoty.

Jeżeli zaś zapytamy, co stanowi przewodnią myśl całej tej pracy naukowej Kalinki, to znajdziemy na to jednę tylko odpowiedź: prawda. *Et veritas liberabit vos*, powiedział niedawno świątobliwy mąż, a miał do tego najzupełniejsze prawo, bo całem swojem życiem dał wyraz tej gorącej, tej szczerej dążności do prawdy. Jak bardzo chodziło mu o nią, niechaj udowodni okoliczność, że gdy w jednem z dawniejszych pism swoich rzucił cień podejrzenia na jedną z wybitnych, zasłużonych około sprawy narodowej osobistości, później, poznawszy swój błąd, nie spoczął, dopóki go wyraźnie nie odwołał, i mężowi temu w oczach narodu i świata, znakomitego nie dał zadośćuczynienia.

Zgasł prawdziwy kapłan nauki, który ją czcił jakoby rzecz świętą, który nie sponiewierał jej nigdy, który zawsze stał na straży jej honoru i nieskazitelności. Zgasł mistrz, który uczniów miał więcej może, niż ktokolwiek inny, bo nas wszystkich, naród cały...

Poza ciężką, żmudną pracą naukową, wśród zajęć przełożonego zakonu, znachodził ś. p. ks. Kalinka zawsze jeszcze dosyć czasu, ażeby służyć sprawie publicznej. I oto, kiedy przed kilku miesiącami zorganizowało się w naszem mieście Towarzystwo historyczne, stanął od razu w rzędzie najgorliwszych jego członków i popieraczy. Myśl założenia Towarzystwa nie wyszła od niego; podnieśli ją ludzie młodzi, wstępujący niemal dopiero w szranki pracy naukowej; ale

była może dobrą, może pożyteczną, i jako taka, znalazła u niego poparcie. Jeżeli było co obcem temu wielkiemu duchowi, to małoduszność, zaściankowość, cofająca się przed każdą myślą cudzą, choćby najlepszą, dla tego tylko, że nie jest jego własną. Zmarły miał zanadto wiele tego mimowolnego poczucia własnej siły i potęgi, ażeby się obawiać, że cokolwiekbądź stanie obok niego, zaćmić zdoła jego wielkość, której zresztą sam nie uznawał i o którą dbał najmniej. Każda myśl obca, jeżeli tylko była dobrą, stawała się jego własną, dlatego, że była dobrą; więc pracował nad jej powodzeniem i urzeczywistnieniem z równą gorliwością, jak gdyby się zrodziła w jego własnej głowie. Pomijam hojne materyalne poparcie, które Towarzystwu przysporzyła jego zapobiegliwość, nie wspominam o kilku drobniejszych urywkach, przeznaczonych dla jego organu — ostatnich płodach naukowej pracy zmarłego; a czyż potrzebuję przypominać to głębokie wrażenie, niezatartem odbite piętnem w sercu wszystkich tych, którzy na pierwszem walnem zgromadzeniu Towarzystwa mieli sposobność usłyszeć podniosłe przemówienie ś. p. Kalinki. Dobra to wróżba dla Towarzystwa, że mu danem było rozpocząć swoje czynności pod egidą znakomitego uczonego, wielkiego człowieka. Mowa ta[1], to jego spowiedź naukowa, a zarazem program działalności dla Towarzystwa, jeden z tych bezwiednych wielkich aktów, którymi wielkie duchy zwykły pieczętować swoje życie. To ojciec żegnał się z swojemi dziećmi i dawał im nauki i wskazówki na przyszłość!

Wobec ciężkiej straty stoimy też przygnębieni,

[1] Druk. w Kwart. hist. z r. 1887 str. 137—139.

bezradni, jak strwożone śmiercią ojca sieroty, i niespokojnym oglądamy się wzrokiem, kto nam wypełni tę dotkliwą lukę, wywołaną śmiercią człowieka, obywatela, kapłana, uczonego. Żegnaj nam, przewodniku i mistrzu, a zarazem przyjacielu i druhu, i niech ci lekką będzie ta ziemia, jak ciężkiemi są serca nasze!

W obronie historyografii naszej.

Rzecz wypowiedziana d. 19. lipca 1890 na Zjeździe historyków polskich w dyskusyi nad referatem p. Tadeusza Korzona p. t. „Błędy historyografii naszej w budowaniu dziejów Polski“.[1]

Zacznę od ostatniej rezolucyi szan. p. referenta[2]. Domaga się on w niej wprowadzenia do „Kwartalnika historycznego“ studyów i sprawozdań z całego obszaru wiedzy historycznej, powtóre zaś utworzenia w Towarzystwie historycznem tutejszem dwu osobnych sekcyj, jednej dla historyi powszechnej, i drugiej dla teoryi i filozofii historyi. Wniosek ten podyktowany został przeświadczeniem o potrzebie oparcia naszej wiedzy historycznej o historyę powszechną i filozofią historyi. Że to przeświadczenie jest najsłuszniejsze i najzupełniej usprawiedliwione, nikt chyba nie wątpi. Czy w wskazanych przez p. referenta kierunkach spełniamy nasze zadanie? P. referent twierdzi, że nie, a zarzut swój stosuje nie tylko do ogółu wykształconej warstwy społeczeństwa naszego, ale w szczególności do historyków samych, podnosząc niedostateczne przygotowanie zarówno w historyi powszechnej jakoteż teoryi i filozofii hi-

---

[1] Druk. w Gazecie Lwowskiej z 22 i 23 lipca 1890 nr. 166 i 167, w Pamiętniku drugiego Zjazdu historyków polskich we Lwowie II. str. 143-152 i w osob. odb. pod tytułem w nagłówku podanym, Lwów, 1890 str. 23.

[2] Referat p. T. Korzona w Pamiętniku drugiego Zjazdu historyków nr. 11 str. 15.

storyi. Zarzut zaprawdę ciężki, za który rumienić się nam przychodzi przed społeczeństwem naszem i przed światem całym. Pytamy o dowód i znajdujemy jeden: oto Szujski, pisząc o pielgrzymce Ottona III. do Gniezna, pomylił się co do wieku Ottona w roku 1000: wyznaczył mu podówczas lat dziesięć, podczas gdy miał ich dwadzieścia; pewien fakt z wieku X. przeniósł do wieku IX. i t. p. Są to niewątpliwie usterki ubolewania godne; ale jakże łatwo znaleść podobne gdzieindziej, u znakomitych uczonych zagranicznych, którzy mimo to wszystko nie uchodzą za ignorantów w historyi powszechnej. Nie zdaje mi się, iżby pomyłka co do wieku Ottona lub jej podobna była właściwą, odpowiednią miarą, którąby mierzyć należało wiedzę historyczną Szujskiego lub w ogóle historyków naszych. Cieszę się, iż na tych kilku usterkach, odszukanych przez p. referenta, kończy się szereg zarzutów, podniesionych przeciwko naszej znajomości historyi powszechnej. A niemniej i to jest dla mnie pociechą, że w nowszych pracach historycznych polskich widzę coraz stateczniejsze, coraz rzetelniejsze dążenie do związania dziejów naszych z ogólnym rozwojem dziejowym Europy, i że to, co w tym przedmiocie wypowiedziano, bywa i trafne i niekiedy głębokie; w każdym razie jest w tem dowód, że studyum historyi powszechnej nie jest nam ani obce, ani tak „niedostatecznie przyswojone“, jak mniema szan. referent. Może to więc nie będzie myśl odosobniona, moja własna tylko, jeżeli przeciw temu zarzutowi podniosę z tego miejsca protest.

Prawda, że będąc nienajgorsi pod względem znajomości historyi powszechnej, stoimy w szeregu narodów cywilizowanych na szarym końcu pod wzglę-

dem naukowego jej opracowywania. Piszemy głównie o rzeczach polskich, im poświęcamy cały nakład pracy życiowej; studya z zakresu dziejów powszechnych i filozofii historyi, lubo się u nas ukazują od czasu do czasu, należą przecież — przyznać to trzeba — do wyjątków, które kierunkowi naszej historyografii wybitnego piętna nie nadają. Nie czynimy tak, jak Anglicy, Francuzi, Niemcy, którzy piszą nie tylko o rzeczach angielskich, francuskich i niemieckich, ale wciągają w zakres swych badań całą historyę ludzkości, zacząwszy od napisów klinowych i wykopalisk trojańskich, a skończywszy na założeniu nowego państwa niemieckiego za Wilhelma I. Prawda; ale czy nasza w tem wina? Czy nasza wina, że stosunki obecne, w jakich żyjemy, bardzo tylko szczupłej ilości pracowników pozwalają poświęcić się nauce, że na jednego historyka w Polsce przypada ich w Niemczech i gdzieindziej 20 i 30, jeżeli nie więcej, że więc tam ze względów czysto zewnętrznych, dla samej ilości, horyzont badań może być rozszerzony? Czy nasza w tem wina, że nie posiadamy funduszów na kosztowne ekspedycye naukowe, subwencyj na dokonywanie wykopalisk, środków do wydawnictwa wielkich publikacyj, których swoim uczonym nie szczędzą rządy i instytucye zagraniczne? A nadto jest tu jeszcze wzgląd inny, którego z uwagi spuszczać nie należy. Można o tem przebudowaniu dziejów Polski, dokonanem przez nowszą historyografią, mieć zdania rozmaite; tyle zapewne przyznać będzie potrzeba, że j a k i e ś przebudowanie było potrzebne, gdyż prace dawniejszych historyków, mimo całą ich szacowność, nie mogą już wystarczyć naszej nauce wobec ogromu świeżo ogłoszonych materyałów i źródeł. Cóż tedy

dziwnego, żeśmy się naprzód zabrali do przebudowania tego, co nas przedewszystkiem i najżywiej obchodzi, żeśmy pracę naszą wytężyli głównie w kierunku zbadania dziejów Polski; to była kwestya najpilniejsza, i dobrze się stało, żeśmy ją podjęli. W nauce wszędzie jest dziś przeprowadzony podział pracy; myśmy wzięli tę cząstkę, która nam w pierwszej linii przypadła, dzieje nasze własne; a cząstka ta tyle nam dała zajęcia, tyle go daje, i zapewne jeszcze przez dłuższy czas dawać będzie, że szczupłe nasze co do ilości siły zostały nią zupełnie prawie zajęte, nie stało pracowników na uprawianie historyi powszechnej. Cudze znać dobrze, a swoje potrzeba: — może to więc nie źle się stało, żeśmy się naprzód zwrócili do swojego. Miejmy nadzieję, że kiedy się z tem zadaniem bardziej uporamy, nauka polska obejmie dalsze, szersze horyzonty, jak tego nieraz przykłady widzieliśmy w dziejach umysłowości naszej.

P. referent jednej z przyczyn tego zaniedbania historyi powszechnej u nas dopatruje się w złem przygotowaniu szkoły średniej: szkoła ta daje nam skorowidze imion i rzeczy, nie dając rzeczy samej, t. j. pojęć historycznych, wiązadeł i logiki historycznej. Zdaje mi się, że p. referent patrzy na tę sprawę przez szkła zanadto ciemne, przynajmniej w części. Nie znam stosunków szkolnych innych dzielnic polskich, dlatego dotykać ich nie będę; ale co do stosunków tutejszych, galicyjskich, miło mi oddać hołd prawdzie, że okres, w którym historya w nauce szkolnej uprawianą była jako proste zbiorowisko niezwiązanych ze sobą wewnętrznie faktów, szczęśliwie już przeminął, i że pośród nauczycieli szkół średnich widnieje rzetelne usiłowanie — które nie pozostało bez

dodatnich wyników — podawania młodzieży prawdziwej strawy historycznej, nie zaś prostej tylko sumy dat i faktów.

Rzecz prosta, że mimo to wszystko przeciwko samej myśli rozszerzenia gruntownej znajomości historyi powszechnej i filozofii historyi nic nie mam do zarzucenia. Dobrego nigdy za wiele. Nie dostrzegam tylko, iżby wnioski p. referenta w sprawie reformy „Kwartalnika“ i Towarzystwa historycznego dały się w całości urzeczywistnić. Kto zna „Kwartalnik“, dla tego jasną jest rzeczą, że całkiem inny jest charakter recenzyj o publikacych z dziejów Polski, a całkiem inny t. z. „Bibliografii dzieł zagranicznych“. Pierwsze spełniają właściwe zadanie naukowe, służą przedewszystkiem dla historyków z zawodu, dają krytykę naukową dzieł historycznych polskich, krytykę, jakiej dotąd w tak obszernym zakresie żadne inne pismo nasze nie podawało, a której także nie można było znaleźć gdzieindziej, w czasopismach zagranicznych. Bibliografia dzieł zagranicznych ma zaś przedewszystkiem znaczenie informacyjne, zwraca uwagę na najważniejsze publikacye historyografii obcej; jest ona pisana nie dla historyków z zawodu, ale dla szerszej publiczności, czytającej „Kwartalnik“, aby ją zetknąć z ruchem dziejopisarskim zagranicznym. Jeżeli bibliografię tę zreformujemy po myśli p. referenta, t. j. przekształcimy w krytykę naukową historyografii obcej, to dla szerszej publiczności straci ona interes, będzie bowiem zanadto szczegółową, a dla historyków z zawodu nie przyniesie pożytku, gdyż tę krytykę naukową dzieł obcych mają oni dokładnie przeprowadzoną w czasopismach zagranicznych, jak u Sybla, Monoda i t. p. Nie widzę tedy

powodu przeprowadzać takiej reformy co do „Kwartalnika“, tem bardziej, że gdyby nawet zasadniczo rzecz ta była możliwa, szczupłe środki, jakiemi Towarzystwo rozporządza, stanęłyby jej na zawadzie. Co do podziału Towarzystwa historycznego na sekcye muszę także podnieść wątpliwości. Rozumiem podział na sekcye tam, gdzie wszystkie cele nie dadzą się osiągnąć wspólną pracą, gdzie potrzebny jest podział pracy. Towarzystwo historyczne z założenia swego ma zadania skromne, w każdym razie nie tego rodzaju, iżby nad urzeczywistnieniem ich wszystkich nie mogło pracować wspólnie, bez podziału pracy. Wydajemy „Kwartalnik historyczny“, obok tego teraz także osobne „Materyały historyczne“, a nadto schodzimy się raz na miesiąc dla wysłuchania odczytu; możemy to wszystko zrobić bez sekcyj. Oczywiście, wniosek p. referenta, aby te odczyty dotykały także historyi powszechnej, tudzież teoryi i filozofii historyi, jest trafny; i dlatego w myśl uwag poprzednio wypowiedzianych, w miejsce trzeciej jego rezolucyi pozwalam sobie przedstawić następujący wniosek do uchwalenia:

„Pożądaną jest rzeczą, ażeby na posiedzeniach Towarzystwa historycznego we Lwowie pojawiały się także odczyty z historyi powszechnej, tudzież teoryi i filozofii historyi“.

Zwracam się do dwu pierwszych rezolucyj. Jedna z nich domaga się potępienia maksymy *historia est magistra vitae*, druga potępia cały szereg zapatrywań, wyrażonych przy różnych sposobnościach przez t. z. szkołę krakowską. Wyrażenia tego: szkoła krakowska używają niektórzy z Panów na oznaczenie takiej szkoły, od której powinniśmy się uczyć, jak historyi pisać nie

należy. Wszakże p. Smoleński poczytał Kalince za jeden z najujemniejszych rezultatów jego życia, że — według jego mniemania — stworzył szkołę krakowską, a i p. referent nie odznacza się bynajmniej zbytnią dla niej pobłażliwością. Moi Panowie, byłby już może czas — i nie ma chyba lepszej sposobności podniesienia tej sprawy, jak tutaj, na Zjeździe — byłby już czas, ażebyśmy raz zarzucili tę nazwę, która nie jest niczem więcej, jak tylko czczą nomenklaturą, poza którą niema rzeczy samej; jest tylko nazwa „szkoła krakowska“, ale nie ma w rzeczywistości szkoły krakowskiej, są tylko historycy, zamieszkali w Krakowie, jak są także historycy, zamieszkali w Warszawie, Poznaniu, we Lwowie i t. d. Rozumiem, że można mówić o szkole naukowej wtedy, jeżeli się zejdą trzy warunki: 1) pewien kierownik, twórca szkoły; 2) pewien zasób uczniów, oczywiście, chociażby tylko w przenośnem tego słowa znaczeniu, i wreszcie 3) pewien jednolity kierunek badania i pojmowania historyi. Gdybym zapytał Panów o wszystkie te trzy punkty, co do rzekomej szkoły krakowskiej, wprawiłbym ich zapewne w zakłopotanie. P. Smoleński twórcą szkoły krakowskiej nazywa Kalinkę, p. referent Szujskiego, choć na innem miejscu zaznacza, że Kalinka swojem dziełem o ostatnich latach Stanisława Augusta wywarł potężny wpływ na dzisiejszy kierunek historyografii polskiej. Więc któż jest twórcą szkoły krakowskiej: Kalinka czy Szujski? — oto pierwsza wątpliwość co do samego mistrzowstwa. Mniejsza jednak o to: może otrzymam odpowiedź, że obaj są mistrzami. Któż należy do uczniów tej szkoły? W liście ich figuruje u p. referenta między innymi p. Edward Bogusławski. Pozwolę sobie zwrócić uwagę na recenzyą p. Smolki, zalicza-

nego zwykle do t. zw. szkoły krakowskiej, recenzyą, która jest jednym wielkim protestem przeciw sposobowi pisania i pojmowania historyi p. Bogusławskiego. Na tym przykładzie chcę udowodnić, jak nieuchwytnem, nieokreślonem — powiedzmy otwarcie: nieistnie:ącem wcale — jest to pojęcie szkoły krakowskiej, kiedy dwu pisarzów, zgoła nic wspólnego ze sobą niemających, można zaliczać jako uczniów do tej samej szkoły. Gdzież jest wreszcie jednolitość kierunku tej szkoły? Wdzięczny jestem p. referentowi za zestawienie sprzeczności, jakie zachodzą pomiędzy Szujskim a p. Bobrzyńskim, pomiędzy p. Bobrzyńskim a p. Smolką; dodałbym do tego znaną polemikę pomiędzy Kalinką a p. Bobrzyńskim. Otóż rzecz szczególna istnieje szkoła, mająca mistrzów i uczniów i jednolity kierunek, aliści mistrzowie spierają się z uczniami, uczniowie z mistrzami, i wreszcie kiedy mistrzów nie stało, spierają się uczniowie między sobą. I to nie w rzeczach podrzędnych, w szczegółach lub mniejszej wagi zapatrywaniach, ale w „spostrzeżeniach najgłębszych, we wnioskach najogólniejszych, w konstrukcyi zdobywanego z ciężkim trudem materyału naukowego“. Czyż to możliwa rzecz, ażeby ten sam kierunek naukowy doprowadził do takiej rozbieżności w rzeczach zasadniczej natury, ażeby jedna szkoła wydała takie sprzeczne rezultaty, ażeby na jednem drzewie tyle rozmaitych zrodziło się naraz owoców? Nie Panowie, jeżeli chcemy walczyć o naukowe poglądy, to walczmy z Szujskim, z Kalinką, z p. Bobrzyńskim, Smolką, ale nie walczmy ze szkołą krakowską, gdyż snadno możemy się narazić na zarzut, że walczymy z wiatrakami.

Ta to t. z. szkoła krakowska ma być winą wszyst-

kiego złego, co się dzieje w historyografii naszej. Historyografia ta wykazuje mnóstwo sprzeczności w poglądach nawet o najbardziej zasadnicze rzeczy; społeczeństwo, które szuka u nas pouczenia, nie może się dowiedzieć, co jest prawdą, i nie szczędzi nam zarzutu kłamstwa; *ergo* — potępić należy szkołę krakowską. Taki jest logiczny pochód myśli szan. pana referenta, na to kładę nacisk. Wybaczy jednak p. referent, jeżeli powiem, że w tej konkluzyi przez niego wydobytej nie widzę ścisłego związku z przesłankami. Jeżeli sprzeczność poglądów historycznych ma być rzeczą godną potępienia, to niechże za nią będą potępieni wszyscy, którzy poglądy takie stawiają. Szan. p. referent wykazuje sprzeczności takich nawet pisarzy, których z pewnością do szkoły krakowskiej sam nie liczy, a jednak konkluzya jego brzmi: potępić tylko historyków z Krakowa. Doprawdy robi to wrażenie, jak gdyby innym historykom przysługiwały większe przywileje, aniżeli historykom krakowskim, że co u innych uchodzi, tego im nie wolno. Jeżeli zaś chodzi o sprzeczności pomiędzy samymi historykami z Krakowa, to znowu pytam, dla czego za to mamy potępiać całą t. z. szkołę krakowską? Więc źle jest, jeżeli Szujski nazywa Zygmuntów największymi królami, i źle, kiedy p. Bobrzyński nie szczędzi im ostrej nagany; cóż właściwie jest dobrze? Prawdę powiedział albo Szujski, albo p. Bobrzyński; więc niechże rezolucya p. referenta potępi albo jednego albo drugiego, ale nie obu naraz, boć koniec końców jeden z nich ma słuszność.

Mniejsza jednak o sposób argumentowania; przejdźmy do argumentow samych. Wyznaję, że z niemałem zdumieniem dowiedziałem się, jako owe kontrasty

w zapatrywaniach na przeszłość naszą mają być dowodem ułomności historyografii polskiej. Niewątpliwie, prawda jest tylko jedna: pewien fakt był albo pomyślnem albo niepomyślnem zdarzeniem dla narodu; pewien król odpowiedział swemu zadaniu, albo nie odpowiedział, jedno z dwojga, ale nigdy jedno i drugie. Ale niewątpliwa i to, że ludzkie poznanie prawdy jest ułomne, i że środki poznania, jakimi zwykle rozporządzamy, są niedostateczne. Oba te czynniki powodują, że choć dotrzeć pragniemy do prawdy, nie zawsze ją osiągamy, że jedni zbliżają się do niej bardziej, inni więcej się od niej oddalają. Proszę mi jednak wskazać ten szczęśliwy kraj, gdzie historyografia wypowiedziała już ostatnie swoje słowo, gdzie wszystkie jej wyniki podać można społeczeństwu jako niewątpliwą prawdę. Proszę mi powiedzieć, gdzie i kiedy można się tych rzeczy spodziewać? Czyż gdzieindziej, u narodów, które mają najbardziej rozwiniętą historyografią, nie istnieją spory o rzeczy zasadnicze, czy nie obalają się z każdym nowym dniem zapatrywania i poglądy, które wczoraj jeszcze zdawały się być niewzruszoną prawdą? Gdzieindziej ta sprzeczność zapatrywań nie jest poczytywana za ujemne zjawisko w rozwoju dziejopisarstwa; u nas ma ona być świadectwem błędów historyografii polskiej. Dla kogoś, co słyszał zawsze i wierzył w to, że ścieranie się opinij naukowych wychodzi na pożytek nauki, jest to prawdziwą niespodzianką. P. referent powie mi może, że używam utartego komunału; zamiast komunału podam tedy przykład. Myśmy w historyografii naszej mieli już takie fazy, które zdają się podobać p. referentowi, w których różnicy zdań nie było: było to wtedy, kiedy z Kadłubka wypisywali kronikarze XIII

i XIV wieku; i znowu wtedy, kiedy z Długosza wypisywali Miechowita, Wapowski, Kromer; i znowu później, kiedy z Kromera wypisywali inni. Wtedy nie było sprzecznych zdań: dla wszystkich Mieszko Stary był taki sam jak u Kadłubka; dla wszystkich Jagiełło taki sam, jak u Długosza, bo i jakże mogliby być innymi, kiedy przepisywacze nie chcieli nic więcej wiedzieć nad to, co wiedział Kadłubek i Długosz. Co jednak sądzić o wartości tych prac kompilacyjnych i naśladowczych, tego tutaj mówić nie potrzeba. Dobrze się stało, że czasy te już minęły. Jednomyślność sądów historycznych możliwa jest tylko w dwóch wypadkach: albo w stadyum najwyższej doskonałości historyografii, albo w stadyum jej upadku. Do najwyższej doskonałości droga jeszcze daleka i trudna; jak na teraz, jednomyślność taka byłaby tylko dowodem marazmu naukowego. Co do mnie, wolę tę sprzeczność zdań, która wskazuje, że nasza historyografia nie jest wprawdzie doskonałą, ale przynajmniej żyje, porusza się i kroczy naprzód.

Prawda, tych nowych sądów o przeszłości naszej, stojących w sprzeczności z zapatrywaniami dawniejszej historyografii, a nawet kontrastów w dzisiejszem pokoleniu historyków, jest stosunkowo wiele, więcej może, niż w innych historyografiach. Ale trzeba też zważyć wyjątkowe stosunki, w jakich się dzisiejsze nasze dziejopisarstwo znajduje. W ostatniem dwudziesto- i trzydziesto-leciu przeprowadziliśmy na wielką skalę pracę wydawniczą źródeł naszych dziejowych, które odsłoniły nowe całkiem horyzonty. Czasy piastowskie stanęły w innym świetle wobec licznych publikacyj dyplomataryuszów; jagiellońskie, mimo Długosza, rozjaśniły się o wiele bardziej wydawnictwem

Kodeksu listów, Kodeksu Witołda, zapisek sądowych; na wiek XVI nowy strumień światła rzuciły Hozyana, dyaryusze sejmowe — i czego tu jeszcze nie możnaby przytoczyć! Wobec tych nowych źródeł trzeba było wziąć się do przebudowania gmachu naszej historyi, bo dawny był już niewystarczającym, trzeba było sformułować sobie nowe poglądy, gdyż dawnym przeczyły nowo odkryte fakty, i to nie tylko w szczegółach, ale w zasadniczych materyach; a cóż dziwnego, że nawet dzisiejsza generacya musiała niejednokrotnie zmieniać sądy, skoro w jej oczach rósł materyał coraz nowszy, i to w olbrzymiej ilości, wobec którego takie zmiany stawały się koniecznemi? Stąd tłómaczy się, dlaczego historyk, który pisał raz w r. 1860, nie mógł już powtórzyć tego samego w r. 1880. P. referent potępia za to Szujskiego; ja powiem, że uważałbym Szujskiego za bardzo złego historyka, gdyby w r. 1880 nie był umiał napisać nic więcej nad to, co napisał w r. 1860, powtarzam: nie w szczegółach już tylko, ale w zasadniczych poglądach.

A teraz pytanie: czy kłamiemy? Czy społeczeństwo nasze zarzucić nam może, że kłamiemy rozmyślnie? Nie, ono nam tego zarzucić nie może, i nie ma prawa. Może się mylimy, jedni i drudzy, a choćby wszyscy, ale nie kłamiemy. Na sztandarze naszym wypisaliśmy prawda; i do tej prawdy zdążamy w miarę sił naszych i talentów, każdy tą drogą, jaka mu się wydaje najlepszą. Kto jest pośród nas, ktoby miał inne hasło? Jeżeli mimo to do celu nie zawsze trafiamy, i do odmiennych dochodzimy w tych samych kwestyach poglądów, któż ma prawo rzucać na nas za to kamieniem? Może część prawdy już znaleźliśmy, a błędy, które jeszcze są, nie wynikły zaiste z zamiaru

ubliżenia prawdzie, ale z naszej ludzkiej niedoskonałości i niedostateczności źródeł, któremi rozporządzamy. Błędy, które są, przyszłość zapewne odkryje, a jest z nich korzyść taka, że się ich ustrzegą przynajmniej następcy. Ptolomeusz, kiedy twierdził, że słońce obraca się dokoła ziemi, nie kłamał — mylił się tylko; a kto wie, czy bez jego teoryi Kopernik nie byłby Ptolomeuszem, i jak długo jeszcze przyszłoby nam potem czekać na Kopernika? Społeczeństwo od swego dziejopisarstwa nie ma prawa domagać się więcej prawdy nad tę, jaką mu ono przy rzetelnych usiłowaniach do jej wykrycia dać może; w zamian jednak dziejopisarstwo ma prawo domagać się od społeczeństwa, jeżeli już nie uznania swej pracy, to przynajmniej swej dobrej woli. Zaiste, za ciężki, żmudny, kolcami najeżony trud całego życia zasłużyć sobie tylko na jedno: kłamiecie — to gorżka nagroda. Nie, społeczeństwo nasze nie może nam chyba tego powiedzieć. A jeżeli powie, że kłamiemy, to wtedy rzućmy pióra i przestańmy grzebać w pamiątkach przeszłości naszej: i poświęćmy się sztuce lekarskiej, bo społeczeństwo nasze potrzebować będzie lekarzy, którzyby je leczyli na — zatrutą krew.

P. referent nie zdaje się chyba wierzyć w tę miłość prawdy, która nas ożywia, przynajmniej nie u wszystkich. Szujski wyraził się raz, że historya wciągnąć musi życie pokolenia swego, ażeby niem przeszłość nieraz tłómaczyć. Jeżeli dobrze rozumiem myśl p. referenta, to zarzuca on Szujskiemu naciąganie historyi dla widoków, dla celów teraźniejszości. Byłoby to stosowanie zasady wprost przeciwnej zasadzie cycerońskiej: nie *historia est magistra vitae,* ale *vita est magistra historiae.* Powiem otwarcie, że to

chyba niedostateczne zrozumienie mogło podyktować tak opaczne tłómaczenie słów Szujskiego. Szujski takiej monstrualności, takiego *crimen laesae maiestatis* naszej nauki wypowiedzieć nie mógł. Chciał on tylko powiedzieć, że chcąc zrozumieć przeszłość danego narodu, trzeba znać jego teraźniejszość, i miał słuszność, boć w teraźniejszości tkwi wiele jeszcze pierwiastków przeszłości, wiele elementów i dążeń, których źródło należy już do historyi. Jest to rodzaj metody wstecznego wnioskowania, która w innych sprawach, nawet i w naszej historyografii, ma uznanie i przynosi dobre rezultaty. Tę samą myśl wypowiedział Szujski gdzieindziej, w przedmowie do swej czterotomowej historyi, kiedy twierdził, że cudzoziemiec historyi naszej nie potrafi tak dobrze napisać, jak swój, rodak, gdyż cudzoziemiec nie ma zetknięcia ze społeczeństwem, którego przeszłość ma opisywać, nie ma w sobie jego krwi, nie rozumie go dobrze. Jakkolwiekbądź zresztą p. referent tłómaczy sobie te słowa, tyle powiedział wyraźnie, że w nich tkwi pojmowanie historyi na wywrót, gdyż przeszłość tylko wytłómaczyć może teraźniejszość. P. referent ma tu niewątpliwą słuszność, o ile patrzy abstrakcyjnie na związek logiczny przyczyn i skutków; skutek jest rzeczą późniejszą i nie mógł nastąpić bez wcześniejszej przyczyny, która ten skutek tłómaczy. Ale my historycy, którym los pozazdrościł niejednokrotnie pamiątek, stwierdzających istnienie i działanie przyczyn, musimy o tych przyczynach wnioskować ze skutków źródłowo stwierdzonych; a wtedy chyba powiedzenie Szujskiego nie jest tak niedorzecznem i grzesznem. Rzecz dziwna, wszak uznajemy etnografią za środek pomocniczy historyi; zbieramy wierzenia, podania, przysłowia,

krążące obecnie wśród ludu, ażeby wysnuwać stąd wnioski o dawniejszej jego kulturze i urządzeniach. To jest rzecz dozwolona, a nawet naukowo pożądana. Ale kiedy Szujski wypowie myśl, na której gruncie opiera się ta i tym podobne gałęzie nauki, to jest to rzecz niedozwolona, to jest grzech.

P. referent związał tę sprawę ze sprawą sentencyi: *historia est magistra vitae.* Wskazałem już na to, że powyższa myśl Szujskiego nie ma związku z tą sprawą. Mniejsza jednak o to: Zjazd ma potępić ową sentencyą. Pytam: *cui bono?* Czy będziemy używali tego przysłowia, czy nie, historyografia nasza nic na tem nie straci ani nie zyska. P. referent do kwestyi tej przywiązuje znaczenie, którego ona nie ma. Nie sądzę zresztą, iżby zjazd historyczny był powołany do uchwalania prawdziwości lub nieprawdziwości pewnych sentencyj filozoficznych. Zechciejcie Panowie zważyć tylko konsekwencye: jeżeli dzisiaj uchwalimy nieprawdziwość zdania, że *historia est magistra vitae,* któż nam zaręczy, że na przyszłym zjeździe nie będziemy uchwalali prawdziwości lub nieprawdziwości maksymy: *Die Weltgeschichte ist das Weltgericht,* a na innym znowu, że się historyą pisze *sine ira et studio.* Zresztą, jeżeli ten argument nie trafia Panom do przekonania, to trafi może ten, że nie możemy przecież uchwalać rzeczy, która się sprzeciwia prawdzie. Wszakże sam pan referent przyznaje, że historya może być uważaną za *magistra vitae,* tylko, że jej mistrzowstwo nie różni się zgoła od mistrzowstwa wszelkiej innej nauki czystej, a nie dorównywa użyteczności nauk stosowanych. A więc: *Eppur si muove — historia est magistra vitae;* czy zaś inne są od niej użyteczniejsze, mniejsza już o to. P. referent powołuje się na powagę Rankego;

dla mnie powaga ta tutaj nie wystarcza; mam bowiem to przekonanie, że z doświadczenia przeszłości można wiele skorzystać dla teraźniejszości, tak w życiu jednostki, jak w życiu narodów.

Druga rezolucya p. referenta zmierza do potępienia subjektywizmu t. z. szkoły krakowskiej. Tak jest Panowie, uczeni z Krakowa bywają niekiedy subjektywni w wypowiadaniu swych sądów. Ale tak samo subjektywnymi bywają także historycy z Warszawy, Poznania, Lwowa — z Berlina, z Paryża, Londynu, i skądkolwiek zresztą Panowie chcecie. Czy historyk, regestrując fakta z przeszłości, nie ma prawa zająć stanowiska krytyka, zapytać, czy coś się dobrze stało, czy też nie, czy coś było pożądanym, czy też niepożądanym wypadkiem dziejowym? Można być o tem rozmaitego zdania, ale tak, jak rzecz obecnie stoi, cała historyografia europejska wykazuje, iż takie krytykowanie wypadków dziejowych jest w użyciu, i to w najpowszechniejszem użyciu. Przy tem ocenianiu zdarzeń dziejowych niepodobna, iżby się nie objawił subjektywizm. Historyk ocenia wypadki z punktu widzenia, jaki według jego pojmowania przeszłości jest najwłaściwszy, a że to pojmowanie może być rozmaite, stąd sądy subjektywne. Jeżeli się komu takie pisanie historyi nie podoba, to niechże wystąpi w ogóle przeciw wszelkiemu krytykowaniu zdarzeń historycznych, ale niech nie potępia t. z. szkoły krakowskiej, która robi tylko to, co robią wszyscy. Tylko, że punkt widzenia uczonych z Krakowa jest może więcej katolicki, więcej kładzie nacisku na potrzebę silnej władzy rządowej, podczas gdy inni historycy mogą wyznawać, dajmy na to, zasady antikatolickie, a o rządzie powiedzieć, że mógłby być jakibądź, choćby anarchiczny.

Powiedzmy, że albo jedni i drudzy są w prawie oceniania historyi, albo nie mają do tego prawa, a w tym ostatnim wypadku potępiajmy jednych i drugich — i wszystkich, ale nie jednych tylko. Czy do takiego wyrobienia sobie sądu krytycznego o wypadkach politycznych potrzeba koniecznie brać czynny udział w życiu publicznem bieżącem, rządzić politeją, to rzecz wątpliwa. W szeregu historyków taki Thiers, który był i wybitnym historykiem i mężem stanu zarazem, należy w każdym razie do wyjątków; inni są znakomitymi dziejopisami i krytykami zdarzeń dziejowych, choć od swojego biurka naukowego lub katedry uniwersyteckiej na arenę polityczną nie przechodzili. Zresztą, jeżeli chodzi o udział w życiu publicznem, toć przyznać trzeba, że w granicach możliwych dla nas, historycy z Krakowa nie stoją pod tym względem na szarym końcu. W gruncie rzeczy cała ta sprawa subjektywizmu nie przedstawia takiej doniosłości, jaką jej przypisuje szan. p. referent. Książki p. Bobrzyńskiego i Szujskiego nie są przecież pisane dla pensyonarek i wyrostków, którzy zwykli *iurare in verba magistri*, ale dla ludzi inteligentnych, dojrzałych, którzy są w stanie wyrobić sobie sąd, co jest subjektywnem zdaniem autora, a co niem nie jest. Jeżeli n. p. p. Bobrzyński powiada, że w pewnym okresie dziejów zadaniem szlachty było dać poparcie rządowi, albo, że pewien król źle uczynił, iż z ruchu szlachty nie skorzystał, to każdy inteligentny czytelnik pozna, że to nie jest niewzruszalny dogmat historyczny, ale zapatrywanie autora, na które czytelnik zgodzić się może, jeżeli argumenty jego przemówią mu do przekonania, ale które też odrzucić może, jeżeli ich siła dowodowa wyda mu się za słabą. Kwestya sub-

jektywizmu w pracach historycznych jest tedy bez porównania mniej niebezpieczna, niż to się wydaje p. referentowi, a w każdym razie nie zwraca się ona przeciwko samej t. z. szkole krakowskiej. Zapatrywania krytyczne uczonych z Krakowa mogą być prawdziwe, mogą być i błędne, jak jakichkolwiek innych uczonych; ale potępiać ich w czambuł, dla tego tylko, że wyszły z Krakowa, nie możemy. I tutaj zechciejcie Panowie rozważyć konsekwencye: jeżeli dziś potępimy jednę grupę zapatrywań, to jutro z innej strony może się pojawić żądanie, ażebyśmy potępili inne, wprost przeciwne zapatrywania, boć i te będą subjektywne. Zjazdy nasze, zamiast obradować nad rozwojem pracy historyograficznej, przeminą na wzajemnem potępianiu zazapatrywań. Któż zresztą ma przywilej nieomylności, i kto ma prawo potępiać zapatrywanie drugiego, dla tego tylko, że ono nie jest naszem własnem? Może nasz punkt widzenia jest lepszym, ale może i gorszym? W każdym razie, jeżeli już drugich potępiamy, to starajmy się przynajmniej wykazać, że błądzą. I oto rzecz, za którą napróżno szukałem w referacie p. Korzona. Szan. p. referent nie szczędzi zarzutów uczonym krakowskim, ale nigdzie nie powiada: dla czego? Każe nam odrzucić ich sposób krytykowania dziejów, ale może przecież mają oni słuszność, kiedy twierdzą, że w danych warunkach polityka katolicka była potrzebną, wzmocnienie władzy rządowej koniecznem, sojusz z tem lub owem państwem pożądanym. P. referent nie wykazał niesłuszności tych zapatrywań, a jednak wnosi potępienie. Zjazd nasz ma być rodzajem trybunału, który na kilku uczonych zamieszkałych w Krakowie ma wydać werdykt: winni, i to nawet bez dowodu winy ze strony oskarżyciela.

Nie, Panowie, nasz zjazd jest ciałem prawodawczem, a nie sądem; naszem zadaniem jest: radzić, jak popchnąć naprzód naukę historyi polskiej, ale nie potępiać pewne grupy historyków. Jeżeli ci historycy w badaniach swoich doszli do błędnych konkluzyj, podejmijcie z nimi dyskusyą naukową, wykazując niedostatki każdego twierdzenia. To jest jedyna broń, którą w nauce walczyć należy z przeciwnikami. Wtedy wierzyć wam będziemy nawet bez uchwały zjazdu. Ale dopóki tego nie uczynicie, nie żądajcie ani uchwały zjazdu, ani też nie spodziewajcie się, iżby ona sama przekonać kogokolwiek zdołała.

Pamięci Liskego.

Przemówienie na pogrzebie d. 1. marca 1891 imieniem Towarzystwa historycznego we Lwowie.[1]

Stało się... Stało się to, czego już od tak dawna lękać się trzeba było, do czego od lat tylu trzeba się było przygotować, a co nas przecie tak nieprzygotowanych zastało. Zrośliśmy się i oswoili z myślą, że to ciało skazane wprawdzie na wieczne przykucie do łoża, ale ten duch silny, nieugięty, niespożyty, zawsze najdalej wylatujący, zawsze najszerzej patrzący, zagrzewać nas i prowadzić będzie — na długo jeszcze. A teraz, kiedy ten duch uleciał stąd na zawsze, żal serce ściska, wielki, głęboki, za tym, co żył najlepiej — człowiekiem, za tym, co tak dobrze prowadził — mistrzem, za tym, co tylko prawdy szukał, — uczonym, za tym, co tak skutecznie sprawy naszej bronił — obywatelem, za tym prawdziwym synem Ojczyzny w najszczytniejszem tego słowa pojęciu. Gdzież źródło siły i potęgi tego człowieka? W tem naprzód, że umiał t w o r z y ć: że stworzył sobie wielką myśl apostolstwa nauki; w tem dalej, że umiał w i e r z y ć: że nie zwątpił nigdy w jej urzeczywistnienie; w tem wreszcie, że umiał c h c i e ć: że z całym zapałem i wszystkich sił użyciem pracował nad jej urzeczywistnieniem. Zjednoczył w sobie to, co tak rzadko daje się połączyć: wszystko, przez co wielkiemi stają

[1] Druk. w Kwartalniku historycznym z r. 1891 zesz. II str X—XII.

się jednostki i społeczeństwa. Tej myśli swojej i tej pracy nad nią zataczał coraz szersze kręgi; zda się, jak gdyby w słabniejącem coraz bardziej ciele budził się coraz silniejszy duch. Zaczął apostolstwo, dając przykład z siebie: całym szeregiem prac i wydawnictw posunął naprzód wiedzę historyczną; potem jako profesor działał na Uniwersytecie: wychował cały zastęp uczniów, których natchnąć umiał szczerą dla nauki miłością, i dał im przygotowanie do dalszej samoistnej pracy; jako prezes i organizator Towarzystwa historycznego stworzył ognisko, w którem skupiły się usiłowania historyków i części inteligencyi około wzajemnego pouczenia, a w końcu — bardzo niedawno temu — rzucił myśl tworzenia Kółek naukowych na prowincyi, któreby pochodnię wiedzy w jaknajszersze warstwy społeczeństwa zanieść mogły. Czy można więcej zdziałać dla nauki?

Ostatni punkt programu życiowego ś. p. Liskego — Kółka naukowe — nie jest jeszcze w całości spełniony. W ostatnich czasach pracował nad nim gorliwie i nie bez skutku, ale w pełni nie zdołał go urzeczywistnić; brakło już czasu po temu. Czy się spełni, przesądzać niepodobna, ale żeby się spełnił, życzyć sobie gorąco należy w interesie całego społeczeństwa. Dla nas ma on znaczenie testamentu, którego wykonanie uważamy za święty obowiązek. Ale co już spełnionem zostało, to punkt przedostatni: organizacya Towarzystwa historycznego. Trzeba powiedzieć, i trzeba to rozumieć w dosłownem tego wyrazu znaczeniu, że ś. p. Liske jest jego twórcą. Jest twórcą nie tylko przez to, że umiał, jak wszędzie, tak i tutaj zachęcić do wspólnej pracy, że pracy tej potrafił wytyczyć odpowiednie drogi, że sprężystem, rozumnem kierownictwem zape-

wnił byt Towarzystwu, że założył w nim pierwszy u nas poważny organ krytyki historycznej; ale i przez to, że stworzył sam substrat Towarzystwa, że stanęło ono głównie usiłowaniani Jego uczniów, że usiłowaniami ich dalej jest podtrzymywane i usiłowaniami innych, stąd i zewsząd z Polski, którzy, choć nie Jego uczniowie, zawsze przecież z zaufaniem i chętną pomocą skupiali się około Jego osoby i Jego działań. Jest tedy ojcem, nie tylko ducha, ale i ciała naszego Towarzystwa, tym, bez którego Towarzystwo, takie, jak jest, nie mogłoby było ani powstać, ani istnieć, ani się rozwijać. Czem żył, tem skończył: skonał z błogosławieństwem na ustach dla Towarzystwa. I oto, dlaczego ta śmierć jest dla nas tak wielką, tak niepowetowaną stratą; oto, dlaczego z ciężkiem, boleścią wezbranem sercem przychodzi nam dzisiaj wypowiedzieć słowo ostatniego pożegnania Tobie, najzacniejszy, najlepszy Kierowniku naszych prac i usiłowań. W tym naszym smutku jedna jest tylko pociecha, że to, coś dobrego zaszczepił, nie zginie z Tobą razem, że ten Twój duch, którym całe ożywiłeś Towarzystwo, zostanie pośród nas, ażeby nam przyświecać, ażeby nas prowadzić dalej. Nie z całym Tobą żegnamy się tedy, tylko z tem, co trzeba oddać ziemi; z tymi drogimi dla nas popiołami Twoimi. Niechaj im będzie pokój i wieczny odpoczynek!

O uniwersytecie lwowskim i uniwersytetach polskich.

Przemówienie wstępne rektorskie przy otwarciu nowego roku szkolnego w Uniwersytecie lwowskim d. 10. października 1895. [1]

W Imię Boże, a w zamiarze służenia nauce i sprawie publicznej, rozpoczynamy dzisiejszą uroczystością nowy rok szkolny.

Ten, który właśnie upłynął, można w dziejach uniwersytetu naszego nazwać pod pewnym względem rokiem próby: bo był pierwszym po przywróceniu na nim wydziału i wykładów lekarskich. Po spełnieniu tego z dawna żywionego, gorącego życzenia uniwersytetu i całego kraju, nasunąć się musiały koniecznie dwa pytania: jak praktyka stwierdzi zaznaczaną poprzednio w zasadzie potrzebę tego uzupełnienia, i jakie ono przyniesie pożytki dla nauki i społeczeństwa. Na to ostatnie pytanie odpowiadać dziś jeszcze za wcześnie, bo nie minął czas, potrzebny do wykształcenia choćby tego pierwszego zastępu adeptów wiedzy lekarskiej, którzy rok temu rozpoczęli studya; a kiedy minie, sąd o tem nie do nas będzie należał. Ale można się już pokusić o częściową odpowiedź na pytanie pierwsze, bo jest do tego podstawa w cyfrach, któremi rozporządzamy. Przypominam tedy, że w pół-

---

[1] Druk. w Gazecie Lwowskiej z 12. i 13. października 1895 nr. 235 i 236, w Kronice Uniwersytetu lwowskiego I. str. 31—45 i osob. p. t. Przemówienie wstępne przy otwarciu nowego roku szkolnego 1895/6, Lwów, 1895 str. 29.

roczu zimowem roku ubiegłego było słuchaczów medycyny 84, a w półroczu letniem 68. Ten stosunkowo znaczny przyrost w ogólnej ilości słuchaczów, nie wpłynął prawie na zmniejszenie liczby ich na innych wydziałach: na teologii było ich 314 w stosunku do 321 z ostatniego półrocza roku zaprzeszłego; na prawie 922 w stosunku do 798, na filozofii 135 w stosunku do 160; na ogół biorąc, ilość słuchaczów na tych trzech wydziałach wynosiła 1371 w stosunku do 1279 z roku zaprzeszłego; wykazuje zatem, okrągło licząc, przyrost 100, pomimo blisko drugich stu, jakie przypadają na pierwszy rok wydziału medycznego. I to jest rzecz szczególnego zaznaczenia godna; bo okazuje się stąd, że substrat wydziału lekarskiego w małej tylko części powstał z takich słuchaczów, którzy dawniej, dla jego braku, obierali tu inne studya; a głównie i przedewszystkiem z takich, którzy wierni odczutemu powołaniu, nie mogąc dotąd na uniwersytecie naszym znaleźć zaspokojenia swoich w tej mierze potrzeb, zmuszeni byli odbywać naukę na uniwersytetach innych. Można więc już dziś wysnuć wniosek, że wprowadzenie wydziału lekarskiego usunęło dawniejszą pod tym względem nieprawidłowość i przywróciło stosunki normalne, dając młodzieży tego obszaru, z którego w przeważnej części zaciągają się nasi słuchacze, możność odbywania studyów w miejscu dla niej najodpowiedniejszem. Wiadomo, że ten argument, obok innych, wysuwany był niejednokrotnie naprzód w niedawnej akcyi o przywrócenie wydziału lekarskiego; czcigodnym bojownikom za tę sprawę, a i nam wszystkim, miło dziś stwierdzić, że słuszność była po ich stronie.

Ażeby pozostać przy cyfrach, przypominam jeszcze,

że w roku ubiegłym w półroczu zimowem ogólna liczba słuchaczów na wszystkich czterech wydziałach wynosiła 1455, a w półroczu letniem 1413. Ale po ludzku sądząc, ta cyfra w najbliższym czasie powinna znacznie wzrość, bo mają przyjść jeszcze dalsze cztery lata medycyny, których tamte cyfry nie obejmują. Ponieważ dotychczasowy wynik zapisów na pierwszy rok tego wydziału każe się spodziewać około 50 nowych słuchaczów, przeto biorąc przeciętną chociażby tylko 50—60 słuchaczów na każdy nowy rok, możemy liczyć w chwili, w której wydział lekarski będzie pełny, na dalszy przybytek 200—250 słuchaczów. Nie chcę już stawiać przypuszczeń co do możliwego wzrostu frekwencyi na innych wydziałach, jakkolwiek byłyby one bardzo usprawiedliwione i samą naturą rzeczy i widoczną dążnością do zwyżki, jaka się w ostatnich czasach statecznie objawia; doliczając zatem tylko ów spodziewany i prawie konieczny przyrost do tych cyfr zeszłorocznych, możemy przyjąć jako ogólną liczbę słuchaczów naszego uniwersytetu w czasie, kiedy już wszystkie jego wydziały będą pełne, cyfrę około 1700 głów. Ta ilość, porównana z cyfrą frekwencyi innych uniwersytetów w tej połowie monarchii, wyznacza nam, w szeregu ośmiu, miejsce trzecie; a trzeba dodać, że te dwa, które przed nami stoją, to są: jeden w stolicy państwa, i dawnego, średniowiecznego początku; a drugi w stolicy największej po Galicyi prowincyi, i taki, który wprawdzie w ostatnich czasach dopiero założony został, ale przejął na siebie wielką część zadań najstarszego, jaki w państwie istnieje, uniwersytetu. W szeregu zaś wszystkich uniwersytetów w Europie, cyfra ta zapewnia nam miejsce dwudzieste czwarte; t. z. więcej

niż trzy czwarte części ogólnej liczby uniwersytetów europejskich stoją za nami. [1] Ilość frekwencyi nie jest sama przez się miarą wartości uniwersytetu, ale jest conajmniej miarą potrzeby jego istnienia; dlatego możemy ją tu z zadowoleniem przytoczyć, na pociechę i otuchę dla nas, a na zawstydzenie tych, którzy przed niedawnym jeszcze czasem racyą bytu naszego uniwersytetu podawali w wątpliwość. A także można ją przytoczyć na stwierdzenie rzeczy, która już nie tylko uniwersytetu, ale i całego kraju jest pociechą: że młode pokolenie społeczeństwa naszego w coraz szerszej mierze odczuwa potrzebę nabycia wyższego wykształcenia naukowego i potrzebie tej stara się uczynić zadość.

Mówiąc o rozwoju naszego uniwersytetu z racyi przywrócenia mu wydziału lekarskiego, musimy zawsze z uczuciem najgłębszej wdzięczności wspominać o Tym, który był tej rzeczy wielkodusznym i wspaniałomyślnym Twórcą. Ale nie zapominamy i o tem, że to nie jest fakt odosobniony, lecz tylko jedno ogniwo w całym łańcuchu dobrodziejstw, których nauka nasza zdawna już doznaje od Niego. Przytaczam jeno najważniejsze: fundacyą Akademii Umiejętności, przywrócenie języka ojczystego na uniwersytetach krakowskim i lwowskim, utworzenie wielu nowych katedr, wyposażenie całym szeregiem nowych instytutów naukowych, a w tym ostatnim względzie to, co jest dla nas wypadkiem najświeższym i pierwszorzędnie doniosłym, i za co z głębi serca zanosimy najżywsze dzięki, zarządzenie budowy dwu nowych instytutów medycznych, tudzież instytutu fizycznego.

---

[1] Daty porównawcze pochodzą z zimowego półrocza roku szkolnego 1893/4.

Na ogół biorąc, wszystko to stanktowi faz rzędu takich, o których się mówi, że są zwrotne; i takim jest on też dla naszej nauki; bo dopiero odtąd powstały konieczne warunki, jakich przedtem nie było, lktóre nauce tej swobodnie i godnie rozwijać się pozwoliły. Oto jeden z tych wielkich czynów, których nigdy nic już z dziejów nie wymaże, a zarazem wielka nauka, którą na kartach historyi zapisać warto złotemi głoskami, bo nie często się tam powtarza: jak mądrość i sprawiedliwość Monarchy stać się może siłą twórczą w duchowej pracy narodów. My w naszych sercach zdawna już złotemi głoskami zapisaliśmy nazwę, jąką Mu winniśmy: Miłościwego Pana, bo to nie czczy tytuł, ale rzecz istotna, i taka, której On sam odpowiada z potrzeby serca i rozumu i całego jestestwa Swojego.

Z żywą wdzięcznością stwierdzamy przytem, iż ze strony naczelnego zarządu oświecenia publicznego uniwersytet nasz doznawał, jak w wielu latach poprzednich, tak i w roku ubiegłym, chętnego poparcia swych spraw i uwzględnienia życzeń. Podwyższenie dotacyi Biblioteki uniwersyteckiej i powiększenie jej personalu urzędniczego, szereg nadzwyczajnych subwencyj na potrzeby instytutów naukowych, zaopatrzenie ich w większą ilość sił pomocniczych, wreszcie powiększenie personalu kancelaryjnego, oto co nam w roku ubiegłym przyniosła zarządu tego życzliwość. Ale ponadto wszystko góruje ochotne i skuteczne poparcie u Monarchy i w parlamencie sprawy budowy dwu nowych instytutów medycznych, jednego dla anatomii patologicznej, patologii ogólnej i medycyny sądowej, a drugiego dla chemii lekarskiej, farmakoogii, farmakognozyi i hygieny, tudzież budowy no-

wego instytutu fizycznego, łącznym kosztem przeszło pół miliona złotych. Rzecz pierwsza przewidziana już poprzednio, wśród przygotowań do wprowadzenia wydziału medycznego; druga zapoczątkowana przez zeszłoroczny zarząd oświecenia publicznego, obie przezeń doprowadzone do skutku. Wdzięczność za to należy się dwu mężom, którzy w czasie tym po kolei stali na czele zarządu oświaty. Miło przypomnieć, jak nam są bliscy: pierwszy, były profesor naszej starszej siostrzycy w Krakowie; a drugi były profesor uniwersytetu naszego, zdawna jego życzeń i potrzeb chętny i gorliwy orędownik.

Ale kiedy mowa o orędownictwie spraw uniwersyteckich, to trzeba jeszcze osobny hołd oddać znamienitym zasługom męża, który sprawami temi zajmował się przez dłuższy czas z szczególną pieczołowitością i gorliwością. A jest powód osobny, ażeby o nich mówić teraz, i mówić o wszystkich razem, bo właśnie przed kilku dniami opuścił stanowisko, na którem dotąd działał, powołany zaufaniem Monarchy na inny ważny posterunek w państwie. To, co zawdzięczamy jego chętnemu, zawsze energicznemu i skutecznemu poparciu, jakiego nam nigdy nie szczędził w ciągu siedmioletniego zarządu tym krajem, ma pierwszorzędną dla uniwersytetu doniosłość. Podnoszę tylko rzeczy najważniejsze: uzupełnienie jego wydziałem lekarskim, wielka akcya w sprawie przedwstępnych rokowań z krajem i z gminą o budowę lub zapewnienie potrzebnych instytutów lekarskich, i praca nad zorganizowaniem nowego fakultetu — w czem wszystkiem, dodać trzeba, znajdował gruntowną i fachową pomoc ze strony naszego Honorata; budowa nowego instytutu chemicznego, poparcie sprawy re-

konstrukcyi głównego gmachu uniwersyteckiego i przeprowadzenie w tej mierze przedwstępnych prac, a wreszcie to, co nam jakby w upominku na odchodnem zostawił, poparcie u władz centralnych budowy wspomnianych dwu instytutów lekarskich i instytutu fizycznego. Każda z tych rzeczy jest sama przez się tytułem rzetelnej zasługi, a wszystkie razem zapiszą się trwale nie tylko w naszej pamięci, ale w historyi naszego uniwersytetu jako znamienity czyn obywatelski. Już dawniej stało się dla nas potrzebą głęboko odczutą dać wyraz zewnętrzny naszej dla niego wdzięczności, przez udzielenie mu najwyższej godności, jaką rozporządzamy, honorowego doktora; a to, co mu dziś na pożegnanie niesiemy, to nie tylko głęboka wdzięczność za doznane poparcie, ale co cenniejsze, szczera cześć dla jego prawdziwie obywatelskiego ducha.

Wspomniane właśnie zmiany w najwyższym zarządzie spraw Państwa znalazły u nas odgłos jeszcze z dwu innych względów. Najpierw dlatego, że na czele zarządu oświecenia publicznego stanął mąż, który kierując nim już raz poprzednio przez czas dłuższy, okazał dla spraw żywotnych naszego uniwersytetu wielką życzliwość; ten, o którym przypomnieć i pamiętać trzeba, że wśród starań o uzupełnienie uniwersytetu wydziałem lekarskim wyraził się, jako życzenie kraju w tej mierze jest także jego osobistem życzeniem. I wiemy, że właśnie za jego rządów życzenie to stało się ciałem, jak niemniej, że po ustąpieniu z nich, zasługi, jakie około sprawy tej położył, zyskały mu godność honorowego doktora naszego uniwersytetu. To jest jeden wypadek, który przy tej zmianie z radością zapisujemy; a obok niego drugi:

że ten, który był niegdyś uniwersytetu naszego uczniem, a później znamienitym profesorem, powołany został zaufaniem Monarchy na ważny i odpowiedzialności pełen posterunek kierownika gospodarki państwowej.

To, co skutkiem tamtych zmian zmieniło się w naczelnym zarządzie naszego kraju, przejmuje nas także radością i otuchą na przyszłość. Tym, których dostojne nazwisko nowy Namiestnik tego kraju nosi, nie nowina służyć sprawie pospolitej, a nie nowina i jemu. I trzeba powiedzieć, że prócz tego, co należy gdzieindziej, już i nasz uniwersytet na poczet jego zasług ma z wdzięcznością do zapisania życzliwą gotowość i chętne poparcie jego interesów, wśród rokowań z Wydziałym krajowym i Sejmem w przedmiocie utworzenia i wybudowania nowych instytutów lekarskich. My w tem upatrujemy zadatek przyszłości, która mu teraz szersze otwiera pole do zajęcia się sprawami uniwersytetu, i pomni cnót jego obywatelskiego ducha, witamy go sercem otwartem.

Potrzeby, jakie uniwersytet jeszcze ma, są mimo wszystko, co dlań w ostatnich czasach zdziałano, liczne i znaczne. Wynikły one w części z dawniejszych braków, które nie od razu dały się usunąć, bądź też z wewnętrznego rozrostu uniwersytetu; bądź wreszcie wywołał je ogólny postęp nauki, domagający się ciągłych ulepszeń naukowej pracy i środków, które jej służą. Ogólnie biorąc, dotyczą one bądź to ustanowienia nowych katedr, bądź też lepszego uposażenia zakładów uniwersyteckich, bądź wreszcie stosowniejszego ich umieszczenia. Senat akademicki i kollegia profesorów stoją bacznie na straży tych spraw i przedkładają w miarę okoliczności odpowiednie wnioski

władzy wyższej; kilka tego rodzaju wniosków podano też w roku ubiegłym. O tem wystarczy tu wspomnieć ogólnie, bo rzeczy są w toku; kiedy załatwione zostaną ostatecznie, jak sobie tuszyć należy, pomyślnie, będzie czas podzielić się wynikami z ogółem. Ale właśnie dla tego trzeba już teraz podać do wiadomości powszechnej rzecz, która jest załatwioną: że potrzeba rekonstrukcyi głównego gmachu uniwersyteckiego została w zasadzie uznana, a na razie tylko aż do ukończenia budowy instytutu fizycznego odłożona. Przyjmujemy zapowiedź tę z żywą wdzięcznością i radością, bo to jest jedna z najbardziej dotkliwych spraw naszego uniwersytetu, którego potrzebom dzisiejszy gmach zarówno co do pomieszczenia sal wykładowych, jakoteż instytutów, a szczególniej biblioteki, już dostatecznie nie odpowiada.

Znacznym niestety jest poczet strat i ubytków w siłach nauczycielskich, jakie z ubiegłego roku zapisać należy. Jedna spowodowana rezygnacyą dotychczasowego profesora filozofii, który po kilkuletniej, chlubnej działalności na katedrze, zmuszony był ją zawiesić, ale członkiem naszego uniwersytetu, jako profesor tytularny, być nie przestał. Innych zabrała nam śmierć. Pośród nich przedewszystkiem dwu, którzy już poprzednio stąd ustąpili: ks. Jana Mazurkiewicza, byłego profesora dogmatyki specyalnej i teologii fundamentalnej, i dr. Ferdynanda Źródłowskiego. Wiadomo, że nazwisko tego ostatniego zaznaczyło się wybitnie nietylko w naszej, ale i zagranicznej nauce, i stanowiło szkoły naszej prawdziwą ozdobę. Było też dla uniwersytetu dotkliwą i bolesną stratą, że ta znamienita siła naukowa, dla słabości zdrowia, nie mogła działać na nim do końca. Ci, których śmierć zasko-

czyła na posterunku, to są: najpierw dwaj członkowie wydziału teologicznego: ks. Marceli Paliwoda, profesor prawa kanonicznego, były dziekan i niedawno rektor naszego uniwersytetu, zasłużony profesor i życzliwy młodzieży przyjaciel, i ks. Eustachy Skrochowski, profesor historyi kościelnej, w ubiegłym roku dziekan; charakter wypróbowanego hartu, umysł subtelny, obejmujący szeroki zakres wiedzy, autor licznych rozpraw z zakresu historyi sztuki, archeologii i polemiki teologicznej. Na wydziale filozoficznym: ks. Emilian Ogonowski, profesor języka i literatury ruskiej, były dziekan, a pod koniec senior tegoż wydziału, zasłużony autor wielu cennych rozpraw z zakresu filologii słowiańskiej i literatury ruskiej, a także autor obszernej historyi tejże literatury. W tym szeregu zmarłych nie może też być pominięty ten, który wprawdzie do ciała nauczycielskiego nie należał, ale pracował w instytucie najściślej z uniwersytetem związanym, a kierunkiem i sposobem naukowej pracy tak nam był bliski, dr. Zdzisław Hordyński, skryptor biblioteki uniwersyteckiej, autor kilku prac z zakresu historyi literatury polskiej.

W miejsce tych strat wykazuje rok ubiegły w przybytkach: na wydziale teologicznym jednego docenta, na wydziale lekarskim jednego nadzwyczajnego profesora, na wydziale filozoficznym dwu nowych docentów. Prócz tego kilku, którzy na uniwersytecie dawniej już działali, posunęło się wyżej; czterech docentów zostało profesorami nadzwyczajnymi, a dwu profesorów nadzwyczajnych zwyczajnymi. W toku jest: sprawia mianowania dwu nowych profesorów na wydziale filozoficznym i sprawa habilitacyi pięciu docentów, dwu na prawie, trzech na filozofii.

Nakoniec jeden jeszcze szczegół. Wiadomo, żeśmy w roku ubiegłym radosną chwilę otwarcia wydziału lekarskiego upamiętnili wydaniem obszernej historyi naszego uniwersytetu. Materyał w aktach, na których się historya oparła, był tak olbrzymi, że nie można w niej było wyzyskać z całą dokładnością chociażby tych wszystkich szczegółów, które się odnoszą do dziejów uniwersytetu samego; cóż dopiero mówić o innych danych, jakie się tam znajdują, a które, w pewnych zwłaszcza okresach, mają pierwszorzędną doniosłość dla ogólnej historyi szkolnictwa i wychowania publicznego w Galicyi. Akta rzeczone, jako źródła dziejowe, nie straciły zatem przez wydanie historyi na wartości, a stąd nasunęła się potrzeba odpowiedniej ich konserwacyi i uporządkowania dla dalszych badań. Z tego wyłoniła się myśl założenia archiwum aktów uniwersyteckich, którą w roku ubiegłym, przy życzliwem poparciu władz rządowych, doprowadziliśmy do skutku. Kierownictwa archiwum, obejmującego na razie akta po rok 1848, podjął się bezinteresownie autor pierwszej części Historyi, i czynność uporządkowania częściowo już w sposób umiejętny przeprowadził. Ale wydanie Historyi uniwersytetu zrodziło nadto potrzebę inną: jej kontynuacyi, której najlepszym sposobem stać się mogą coroczne, dokładne sprawozdania o stanie i rozwoju naszej szkoły. I w tej mierze nie zaniedbał senat ubiegłego roku uczynić, co do niego należało, udając się do ministerstwa z prośbą o przyznanie odpowiedniej na ten cel dotacyi. Rzecz nie jest dotąd rozstrzygnięta; jeśli jednak, jak to jest naszem żywem pragnieniem, zapadnie decyzya pomyślna, znajdziemy możność prowadzenia rzeczonej kontynuacyi, i co dla nas jeszcze

ważniejsza, stawania przed społeczeństwem z gotowym rachunkiem z naszych czynności.

Oto ważniejsze sprawy i zdarzenia, o których w sprawozdaniu za rok ubiegły wspomnieć należało. Wszelako, ażeby je należycie oświetlić, a zarazem zdać sobie sprawę z zadań, jakie nas czekają na przyszłość, trzeba jeszcze dotknąć pytania szerszego — o uniwersytetach w ogóle.

Wiadomo, że na uniwersytetach udziela się t. zw. nauki wyższej: atoli nie jest to ich cecha wyłączna; bo i przed nimi, i później obok nich, istniały i istnieją, aż do najnowszych czasów, inne szkoły, które nauki wyższej udzielają. Nie jest też ich znamieniem objęcie całokształtu wiedzy ludzkiej, bo w pierwszych kilku wiekach istnienia, przeważna liczba uniwersytetów, pośród nich nawet najwybitniejsze, uprawiała tylko pewną lub pewne szczególne gałęzie nauki; a wiadomo, że i dzisiaj, mimo zresztą wybitną dążność stwarzania uniwersytetów pełnych, są przecież jeszcze takie, na których wszystkie działy wiedzy nie są zastąpione. To, co stanowi najistotniejszą treść uniwersytetów, to stanowisko, jakie na nich zajmuje nauka: jest ona tu celem dla siebie, nie środkiem do innych celów. Bo, że uniwersytety przygotowują także do zawodów praktycznych, to tylko rzecz przydatkowa, jedna z możliwych konsekwencyj, jakie ztamtąd płyną, ale nie rzecz, któraby o samym charakterze nauki uniwersyteckiej rozstrzygała. I trzeba dodać, że temu celowi służą obie główne zasady, na których wspiera się organizacya uniwersytecka: jedna, wytwór wieków średnich, autonomia uniwersytetów — ta pośrednio; i druga, zdawna wywalczana, a w czasach nowszych urzeczewistniona: swoboda nauki — bezpośrednio.

Oto jeden kierunek działalności uniwersytetów; mogłoby się zdawać: jedyny; bo w nim wyczerpuje się już ich zadanie jako szkół; i jak nie było przedtem, tak niema po dziś dzień statutu uniwersyteckiego, któryby im zakreślał wyraźnie jakiekolwiek inne, dalsze cele. Niemniej przeto sama siła stosunków faktycznych stworzyła i postawiła przed uniwersytetami jeszcze cel drugi, który z tamtego pierwszego wypłynął i był jego organicznem uzupełnieniem: pracę twórczą nad rozwojem i postępem nauki. Były wprawdzie w dziejach uniwersytetów w ogóle i każdego z osobna epoki zastoju i upadku, czasem przydługie, w których ograniczano się na odtwarzaniu tego, co zdobyła przeszłość; ale na ogół biorąc stwierdzić trzeba, że zrozumienie tego drugiego zadania istniało już od pierwszej chwili, i w zasadzie nie zatraciło się nigdy, a przynosiło też zwykle dobre, czasem znamienite wyniki. Wiadomo też, że nowe kierunki w nauce, jeśli powstały poza uniwersytetami, zwykle przyjmowały się na nich w stosunkowo krótkim czasie, i dalej były tu rozwijane, a nie brak przykładów, na których wykazać można, że te nowe kierunki z samych uniwersytetów wychodziły. W ostatnich wiekach, naprzód częściowo, a później ogólnie, idea pracy naukowej tak silnie tu spotężniała, że uniwersytet, któryby się ograniczył tylko do zadań szkoły wyższej, choćby w najlepszem tego słowa znaczeniu, a nie był zarazem pracownią naukową, musiałby uchodzić za anomalią; powiedzmy wyraźniej: nie spełniałby dostatecznie przekazanej sobie misyi. Trzeba dodać, że dawniej uniwersytety, jakkolwiek nie były jedynym warstatem naukowym, to przecież były jedynem ogniskiem, w którem się naukowa praca w znaczniejszej mierze

skupiała; dziś obok nich spełniają tę samą rolę Akademie i towarzystwa naukowe; ale wiadomo z doświadczenia, że i w tych instytucyach udział sił uniwersyteckich bywa wybitnym i przeważnym.

Mają tedy uniwersytety w ogólnym rozwoju cywilizacyjnej pracy dobrze zasłużone, przeszło siedmiowiekowe szlachectwo. Tytułem jego oba kierunki ich działalności, każdy dla siebie i w swoim zakresie: a więc i to, że wykształciły kilkadziesiąt po kolei pokoleń, dając im tę wiedzę wyższą, na jaką ludzkość w danej chwili się zdobyła; i to, że same do rozwoju nauki wybitne się przyczyniły. Probierzem ich wartości, o ile rozumem naszym objąć można, jest już chociażby to, że ludzkość, stworzywszy uniwersytety, nie wymyśliła odtąd innej, lepszej formy nauczania wyższego, a przekształcając z biegiem czasu w organizacyi uniwersyteckiej szczegóły, które wymagały naprawy, nie stanęła przecież nigdy wobec pytania, czy nie należałoby jej zastąpić inną, zgoła odmienną, doskonalszą organizacyą. Drugim probierzem jest historya; stamtąd wiadomo, że w dziejach nauki i cywilizacyi uniwersytety zapełniają wiele pięknych i ważnych kart. Stąd wypływa, że udział pewnego narodu w rozwoju uniwersytetów jest znaczącą wskazówką i pod pewnym względem miarą jego udziału w rozwoju cywilizacyjnym. A to już prowadzi do dalszego pytania, które nas szczególnie obchodzić musi: jakim był tu udział z naszej strony.

W Polsce pierwsza fundacya uniwersytetu przypada na czas, w którym życie uniwersyteckie już od przeszło dwu wieków kwitło w Europie. Ażeby jednak ten fakt należycie oświetlić, trzeba przypomnieć, że właściwym gruntem, na którym się to życie poczęło

i zrazu rozwijało, był dalszy zachód; kiedy w Europie środkowej, jak wiadomo w Czechach, stawał pierwszy uniwersytet, w krajach romańskich i w Anglii było ich już 29, nie licząc kilku innych, które tam chwilowo powstały, a wnet upadły. Pierwszy uniwersytet polski datą swego założenia jest zaledwie o 17 lat młodszy od pierwszego w środkowej Europie: a trzeba też dodać, że jest on z porządku zaraz drugim, pośród wszystkich, jakie tu w ogóle powstały, wcześniejszym o rok od pierwszego uniwersytetu niemieckiego. I to jest fakt znamienny i uwagi godny, bo świadczy, że kiedy w stronach tych zbudziło się poczucie potrzeby organizowania nauki uniwersyteckiej, Polska była jednem z pierwszych państw, które doniosłość tej idei odczuło i myśl samą u siebie urzeczywistniło. W dalszym rozwoju, aż do upadku państwa, przyszło jeszcze do fundacyi trzech dalszych uniwersytetów: w Wilnie, Lwowie i Zamościu, z których drugi dla trudności, z jakiemi walczyć musiał, tylko częściowo spełnić mógł swoje zadanie, ale nadanego sobie charakteru uniwersytetu się nie wyzbył, a trzeci szczególnej uwagi godny przez to, że był pierwszym na świecie przykładem i jakoby protoplastą t. z. uniwersytetów prywatnych, jakich dzisiaj istnieje już znaczniejsza liczba. Była jeszcze trzykrotna próba stworzenia uniwersytetu piątego, w Poznaniu, wszelako ta nie doprowadziła do pożądanego wyniku. W tym samym okresie czasu, ze wszystkich krajów środkowej, północnej i wschodniej Europy, prześcignęły nas, co do ilości uniwersytetów, jedne tylko Niemcy; ale na to złożył się cały szereg szczególnych powodów, z których najważniejsze te: silniejsza koncentracya życia miejskiego, zasadniczy rozłam religijny, który

obu stronom walczącym kazał się starać o uniwersytety w odpowiednim duchu działające, współzawodnictwo kilkudziesięciu książąt, z których każdy, jeśli go tylko stać na to było, zaprowadzał uniwersytet w swojem terytoryum, większe bogactwo narodowe i szczęśliwsze stosunki polityczne. Ale w innych z wspomnianych tu krajów cyfra uniwersytetów jest bez wyjątku niższa; pod koniec zeszłego wieku było ich w Skadynawii trzy, w krajach czeskich dwa, w Danii i Węgrzech po jednym; nawet Anglia, kraj, który pod względem chronologicznym zajmuje jedno z pierwszych miejsc w rozwoju życia uniwersyteckiego, nie liczyła ich wtedy więcej nad siedm, pośród nich tylko dwa z poważnym, średniowiecznym początkiem. Wreszcie zaś — dalej na wschód od Polski, przez cały czas bytu Rzeczypospolitej, uniwersytetów jak żeby wcale nie było; bo jedyny, jaki tam istniał r. 1795, nie liczył wtedy więcej nad 40 lat życia, a inne, które tam teraz są, powstały dopiero w wieku XIX.

To zestawienie cyfrowe jest już wymowne samo przez się; bo gdyby się nawet okazało, że uniwersytety polskie zadaniu swemu nie sprostały, niemniej przeto historycznym pozostanie fakt, że potrzeba zorganizowania nauki wyższej była tu dostatecznie rozumiana, i że w stosunkowo dość szerokim zakresie starano się jej odpowiedzieć. Ale dotknijmy jeszcze pytania zasadniczego: jaką była sama działalność naszych uniwersytetów? Przypomnieć tedy trzeba, że nie była ona przodująca w nauce, ale zarazem pamiętać o tem, że kierunek pochodu cywilizacyjnego i geograficzne położenie kraju taką rolę naszych uniwersytetów wykluczały. Stosowniejszem i sprawiedliwszem jest pytanie: czy stanęły one na tej wyży-

nie, która odpowiadała każdoczesnemu stanowi nauki. Wiadomo, że tak było w pewnych okresach. Kanonistyka i teologia Akademii krakowskiej zdobyła sobie wielką powagę w świecie naukowym XV wieku, błyszczała nawet na soborach; w czasie, kiedy na niektórych uniwersytatach niemieckich humanizm staczać musiał ciężkie walki, ażeby zdobyć grunt pod nogami, w Krakowie święcił on już tryumf; współcześnie zakwitło tu studyum matematyki i astronomii, dość wydatne, skoro jednego z uczniów natchnęło myślą największego w dziejach nauki odkrycia. Jeszcze w połowie XVI wieku błyszczy tu imię Maryckiego, a w pierwszej połowie XVII wieku imię Brożka. Ma też i Wilno swoje wybitne nazwiska: Wujek, Skarga, później Sarbiewski. Na ogół biorąc, upadek nauki uniwersyteckiej poczyna się w Polsce w pierwszej połowie XVI wieku; ale w tym samym mniej więcej czasie pojawia się on wszędzie; była to chwila, w której humanizm, zapłodniwszy naukę wielkim fermentem, nie zdołał przetrawić jego treści i wyjałowiał w formie. Więc ani sam fakt, ani jego data początkowa nie mogą budzić zdziwienia, bo to zjawisko nie wyłącznie polskie, ale ogólne. Szczególnem jest przydługie trwanie tego faktu; bo wiadomo, że w Polsce obniżenie poziomu nauki uniwersyteckiej przetrwało czasy, w których gdzieindziej, w drugiej połowie XVII i w ciągu XVIII wieku, znacznie ją podniesiono i rozwinięto. Ale tu już same daty chronologiczne tłómaczą zjawisko; był to okres wielkiego upadku w narodzie, na zewnątrz i wewnątrz, czas, w którym nie było warunków do reform na polu nauczania. Niemniej przeto uwagi godną jest rzeczą, że z pierwszym brzaskiem odrodzenia narodowego

podjęto przez komisyą edukacyjną sprawę podźwignięcia nauki uniwersyteckiej w obu podówczas jeszcze polskich akademiach, i wiadomo, że nie bez skutku; najbliższe potem wypadki polityczne nie dały doczekać się owoców. Ale czy bylibyśmy się ich rzeczywiście doczekali? Czy były siły, które wielkiemu zadaniu sprostać mogły? Na to jest odpowiedź w dziejach uniwersytetów polskich z wieku bieżącego. Więc naprzód Wilno: oto obaj Śniadeccy, Jundziłł, Lelewel, Gołuchowski. A potem Kraków i Lwów; tu odpowiedź trudniejsza, bo czasy, w których nauka polska mogła się na tych uniwersytetach rozwinąć na szerszy rozmiar, są najnowsze; ale że pośród tych, którzy tu działali, są już nieżyjący, przeto, można o nich mówić, i można mówić przedmiotowo: oto Kremer, Helcel, Szujski, Wróblewski, Żródłowski. Prócz nich, wielu innych, którzy z katedr uniwersyteckich tutaj nie uczyli; ale to rzecz przypadkowa: więc można przypomnieć choćby Supińskiego, Hubego, Kalinkę.

Z tych ostatnich spostrzeżeń płynie dla nas wniosek pocieszający, że mamy moralny tytuł do żądania, ażeby nam w naukowej pracy na uniwersytetach przyznano udział należny, a zarazem stworzono warunki, wśród których praca ta swobodnie mogłaby się rozwijać. Pod tym względem, biorąc na uwagę przestrzeń ziemi, która w drugiej połowie wieku XVIII miała uniwersytetów cztery, i śledząc za dalszym rozwojem sprawy odtąd aż po dzień dzisiejszy, mamy do zapisania kilka faktów: naprzód fakt dodatni, że jeden z uniwersytetów, który wtedy był niepełny, a nadto w prawidłowem rozwinięciu działalności natrafił na przeszkody, został zreorganizowany jako uni-

wersytet pełny, i po różnych przejściach stał się nim znowu; drugi ujemny: że dwa uniwersytety zostały zniesione; i trzeci, jak na dzisiaj obojętny, że założony został jeden nowy uniwersytet, który obecnie przestał już być przybytkiem nauki polskiej. Ogólne obliczenie daje zatem rezultat ujemny, bo okazuje się stąd, że ta sama przestrzeń, która miała przedtem cztery uniwersytety, ma ich teraz tylko trzy, a takich, które odpowiadają potrzebom ludności rodzimej, tylko dwa. Jest to jedyne w swoim rodzaju zjawisko, jakie w dziejach szkolnictwa wyższego mamy do zapisania w XIX stuleciu; bo niema zresztą przykładu, iżby gdziekolwiek indziej liczba istniejących poprzednio uniwersytetów, na ogół biorąc, została zmiejszona. Co większa, liczba ta w ciągu wieku bieżącego znakomicie wzrosła; na 111 uniwersytetów, jakie obecnie w Europie istnieją, tylko 71 powstało przedtem, a 40 w stuleciu XIX, t. j. około dwie piąte ogólnej cyfry uniwersytetów istniejących, a blisko dwie trzecie ogólnej cyfry tych, które z poprzednich sześciu wieków do dzisiaj się ostały. I słuszna; bo zapotrzebowanie nauki wyższej w wieku bieżącym znakomicie wzrosło, a pomnożenie liczby uniwersytetów, na których ludność miejscowa w przystępnym dla siebie sposobie mogłaby czerpać tę naukę, stało się cywilizacyjną potrzebą i — cywilizacyjnym obowiązkiem.

W tych warunkach jedyne dwa uniwersytety, na których z woli sprawiedliwego Monarchy możemy uprawiać naukę w języku ojczystym, nabierają szczególnego znaczenia. Gdyby powiedzieć, że cięży na nich zadanie, jakie każdy uniwersytet spełniać winien, to mało; trzeba dodać, że one nie tylko za siebie pracować mają, ale i za te uniwersytety, które — być

powinny. I to jest miara ich posłannictwa w naszej nauce, a przez to zarazem miara obowiązków i odpowiedzialności.

A teraz zwracam się do was, młodzi przyjaciele! Kiedy skończycie uniwersytet, przyjdzie wam działać w różnych kierunkach obywatelskiego życia, do których się tu zaprawiacie. Pamiętajcież o tem, że to nie wyłącznie wasza sprawa prywatna, ale także, i to przedewszystkiem, publiczna. Pamiętajcie i o tem, że wartość i skutki pracy społecznej zawisły od przygotowania, jakie do niej wnosimy; zatem przygotowanie to powinno być najlepsze. To wasz obowiązek ze względu na przyszłość, jako późniejszych obywateli kraju; ale taki sam ze względu na obecne wasze stanowisko, jako obywateli akademickich. Bo tu na uniwersytecie służymy tylko nauce; zatem nie wolno jej służyć połowicznie. Gdyby miało być inaczej, zważcie koniec: zamiast tego, czego się po was społeczeństwo spodziewa, miałoby ono tylko do wykazania wielki deficyt intellektualny, tamujący jego siły i sprężystość działania. A zato jest odpowiedzialność moralna, i osobista i społeczeństwa samego; bo ten deficyt, jak każdy inny, prowadzić może do bankructwa.

Osobnych słów kilka zwrócić muszę jeszcze do tych z pośród was, których w mury te przywiódł święty zapał do nauki i chęć oddania jej na usługi waszego życia. Jest powód szczególny, ażeby was tu wyosobnić, bo przez was ma się uniwersytet i nauka, której służymy, w przyszłem pokoleniu odrodzić. Nie mam zamiaru zachęcać was do pracy; bo kiedy się do niej zabierzecie, znajdziecie w niej samej więcej niż zachętę, bo nieprzeparty popęd. Ale dotknę py-

tania, które każdy roztropny człowiek przed rozpoczęciem pracy postawić sobie musi, i które niewątpliwie wy sobie stawicie: czy starczą siły, czy starczy uzdolnienie? Nie można tu dotykać sprawy uzdolnienia osobistego, bo to ogólnie ocenić się nie da; ale można mówić o uzdolnieniu narodowem. Opatrzność rozdzieliła je rozmaicie: są narody, które w pracy cywilizacyjnej przodują, i inne, które stoją w tyle a pomiędzy nimi są różne stopnie pośrednie. Jak się dowiedzieć, czy ta zdolność istnieje, i w jakim stopniu, na to narody, które mają przeszłość za sobą, znajdują gotową odpowiedź; bo jeśli ona jest, to musiała się na zewnątrz przejawić w szeregu faktów historycznych. Otwórzmy karty naszej historyi wiedzy: oto naprzód jedno, wielkie, na cały świat błyszczące nazwisko Kopernika. A trzeba pamiętać, że geniusz, to tak rzadki dar Opatrzności, że czasem ludzkość cała musi nań czekać przez wieki; więc jeśli jeden naród na dziewięć stuleci cywilizacyjnego życia wykaże jedno takie nazwisko, to może już w tem czerpać dla siebie otuchę na przyszłość. Ale prócz tamtego są jeszcze inni, nie tak wielcy, jak on, a przecież wybitni, czasem znamienici; wielu wymieniłem już poprzednio, więc nie powtarzam nazwisk; przypominam tylko, że są pośród nich, także w najnowszych czasach, tacy, którzy, jak są naszej literatury naukowej prawdziwą ozdobą, tak też mogliby nią być jakiejkolwiek innej. A że chodzi tu o probierz uzdolnienia narodu w pracy duchowej, więc mogę przejść jeszcze i do dalszego tej pracy działu, i przypomnieć nazwiska Kochanowskiego, Mickiewicza, Matejki. Młodzi przyjaciele! Rozumiejcie, że się tego nie mówi dla chwalby, bo ta jest próżną; ale dla pokrze-

pienia, które może zrodzić czyny, a bardziej jeszcze dla tego, ażeby przypomnieć, że ta przeszłość obowiązuje do zapracowania takiej przyszłości, którąby jej była godną. I przez to rzecz, o której mówię, staje w nowem oświetleniu; bo okazuje się stąd, że to, czego się imacie, to już nie tylko sprawa waszego upodobania, ale taka, przez którą spełniacie jeden z ważnych obowiązków wobec sprawy pospolitej. Wiecie, że takie obowiązki nazywano w starożytności: *lex suprema*: my zaś — co mamy nad nie świętszego po Bogu?

Nowy rok szkolny 1895/96 ogłaszam jako otwarty. *Quod felix faustum fortunatumque sit.*

O obywatelstwie akademickiem.

Przemówienie rektorskie przy uroczystym akcie immatrykulacyi nowych słuchaczy uniwersytetu we Lwowie d. 17. grudnia 1895.[1]

Akt immatrykulacyi, któremu się Panowie za chwilę poddacie, polega, co do swej strony formalnej, na złożeniu przez was przyrzeczenia, przez podanie ręki panom Dziekanom Wydziałów, iż jako obywatele akademiccy postępować będziecie stosownie i odpowiednio do tej waszej godności i przestrzegać będziecie obowiązujących przepisów akademickich, tudzież na wręczeniu wam poświadczenia, iż zostaliście wpisani w album zwyczajnych słuchaczów naszej *Almae Matris.* Ale po za tą formą leży treść istotna; i z niej winniście sobie zdać w tej chwili dokładną sprawę, wyrozumieć znaczenie aktu, którego dokonywacie, ocenić całą jego doniosłość; nie przystoi bowiem tego rodzaju spraw brać tylko z ich strony zewnętrznej, nie zastanawiając się nad tem, jakie jest ich rzeczywiste znaczenie, i do czego one zobowiązują na przyszłość.

Z obowiązku urzędu mego zwrócę waszą uwagę na to, o czem tu pamiętać należy.

Znaczenie dzisiejszego aktu zrozumiecie przedewszystkiem przez to, jeżeli zestawicie i porównacie to, czem byliście dotychczas, z tem, czem przez akt ten stajecie się obecnie. Tu zaś okażą się pewne po-

[1] Druk. w Kronice Uniwersytetu lwowskiego I. str. 47—53.

dobieństwa i pewne różnice. Naprzód: byliście dotąd studentami i pozostajecie nimi nadal; obowiązek przyswajania sobie wiedzy ciąży na was tak dobrze teraz, jak i poprzednio. Ale już co do formy i rodzaju tej nauki zachodzi zasadnicza różnica. Dotąd uczyliście się dlatego, ażeby zdobyć sobie wykształcenie ogólne; zaznajamiano was ze wszystkiem, co człowiekowi wykształconemu wiedzieć należy o świecie i jego sprawach, o życiu i jego przejawach, czy to w teraźniejszości, czy w przeszłości, czy też, o ile rozumem ludzkim dociec można, w przyszłości. Dlatego nauka wasza obejmowała najróżnorodniejsze gałęzie wiedzy ludzkiej; ale właśnie dlatego, że była tak ogólną, chodziło tu raczej o to, żebyście w i e d z i e l i, że coś jest lub było takiem a nie innem, aniżeli o to, ażeby wam podać i wyjaśnić, d l a c z e g o to wiecie i za prawdziwe uznajecie. Na uniwersytecie zakres waszych studyów doznaje ścieśnienia; tutaj poświęcacie się już pewnej tylko gałęzi wiedzy, to znaczy rozpoczynacie t. zw. studyum fachowe; ale właśnie dlatego wiedza wasza w zakresie tego studyum musi być pogłębiona, t. j. nie tylko ograniczyć się do poznania najważniejszych praw, jakie nauka ustaliła, ale ogarnąć najdokładniej szczegóły, które tu należą, ugrupowane w sposób umiejętny około prawideł ogólnych, których są wyrazem i przejawem. Tutaj poznać też macie, jaką drogą umysł ludzki doszedł do ustalenia tych prawideł, wyjaśnić sobie powody i przyczyny, dla których nauka stawia pewne twierdzenia; cel waszego studyum zmierza zatem nie tylko do tego, ażeby w i e d z i e ć, ale zarazem zdać sobie sprawę, d l a c z e g o w i e c i e. Z tego zaś wypływa już dla was prawo, owe zapatrywania, z któremi w dzisiejszej nauce się

spotykacie, poddawać krytyce, t. j. zastanawiać się nad tem, czy w istocie są uzasadnione; i gdyby się okazać miało, że nie są zasadne, urobić sobie odmienny o rzeczy sąd, byleby tylko przy zastosowaniu odpowiednich środków naukowych i właściwej metody badawczej, z której prawidłami macie możność zapoznania się zarówno w wykładach, jako też, i to przedewszystkiem, w osobnych do tego celu przeznaczonych instytutach uniwersyteckich. Jednem słowem, staje oto przed wami nauka czysta, pojęta jako cel sama w sobie, t. j. jako dochodzenie prawdy dla prawdy, w całej swojej powadze i świętości, a otwierając przed wami najdalsze, dotąd przez was nieogarnięte horyzonty wiedzy, domaga się, abyście do niej przystępowali z tą czcią, jaka się jej ze względu na jej dostojność należy, i poświęcili się jej z tem zupełnem oddaniem, jakiego zawsze dla siebie wymaga.

Co wszystko jeśli w odniesieniu do was stało się rzeczą możliwą, to tylko na zasadzie przypuszczenia, że umysł wasz dostatecznie już dojrzał, i przez to nabył zdolność gruntowania zawiłych tajników wiedzy, samodzielnego myślenia i samodzielnego wnioskowania naukowego. I właśnie dlatego, że dotąd takiego przypuszczenia nie było, sposób pobieranej przez was poprzednio nauki musiał być odmienny. Oto więc jedna zmiana, jaka w stanowisku waszem zachodzi; a z nią, rodzajowo, łączy się najściślej druga. Bo jak przed obliczem nauki, tak też w ogóle i w sprawach waszego życia byliście dotąd niesamodzielni; w domu i w szkole podlegaliście nadzorowi rodziny i nauczycieli, kierujących każdym waszym krokiem ważniejszym. Była do tego racya w przypuszczeniu, że nie

zdajecie sobie jeszcze dokładnej sprawy z tego, jakie są lub być mogą kroków tych doniosłość, znaczenie i skutki. Obecnie zyskujecie samodzielność i pod tym względem, i znowu tylko na zasadzie przypuszczenia, że jak tam, w zakresie rzeczy naukowych, tak i tu, w sprawach waszego życia, macie już odpowiednią dojrzałość umysłów, ażeby ich znaczenie ocenić i stosownie do tego postępować. Wyrazem tej zmiany jest nowa godność, jaka wam przypada w udziale: godność obywateli akademickich. Dotąd nazwy tej nie nosiliście, ani jej wam nosić nie było wolno; więc trzeba też wyjaśnić, na czem polega znaczenie tej zmiany.

Czem jest obywatel? Nie o prawne znaczenie tego wyrazu tu chodzi, ale o jego znaczenie etyczne i społeczne. Pojęcie obywatelstwa da się określić tylko przez odniesienie jednostki do szerszych związków ludzkich, społecznych, narodowych i politycznych; pokąd jednostka działa tylko w zakresie spraw własnych, osobistych, a choćby nawet rodzinnych, tak długo to, co tu przedsiębierze, choćby było najlepsze, mianem działania obywatelskiego oznaczone być nie może. Dopiero na tle spraw ogólnych, interesów i dobra owych związków szerszych, do których urzeczywistnienia jednostka się przyczynia, przejawić się może na zawnątrz jej obywatelstwo. Streszcza się ono zatem przedewszystkiem w obowiązkach jednostki wobec sprawy pospolitej. Żeby się zaś przejawić mogło, na to nie wystarczy już sama zdolność rozróżnienia dobrego od złego, pożytecznego od szkodliwego, jaką nabyliście lub nabyć mogliście poprzednio; potrzeba tu nadto owej dojrzałości umysłów, któraby wskazała, jakiemi drogami i środkami,

czy to nowymi, czy dawniej utartymi, iść trzeba, ażeby owym celom ogólnym służyć; potrzeba hartownej woli, ażeby tę drogę obrać i z niej nie zboczyć; potrzeba wreszcie tego, z czego się ten hart rodzi, serca, kochającego społeczeństwo i naród, chętnego do poświęceń dla jego dobra. Stąd wypływa, że w pojęciu obywatelstwa tkwi odpowiedzialność moralna; naprzód o to, czy się obowiązki swoje spełnia, a potem o to, jak się je spełnia, czy z dostatecznym zapasem energii i według najlepszej swojej wiedzy. Ale z drugiej strony jest w niem to, co stanowi najwyższy probierz wartości i etycznej godności człowieka, uświadomionego i samodzielnego, a więc działającego z siebie i przez siebie — a nie dla siebie, jeno dla owych szerszych związków, które są wyższymi i najwyższymi stopniami organizacyi życia ludzkiego, a o ile dotychczasowe doświadczenie ludzkości stwierdzić mogło, najdoskonalszymi kształtami, w jakich się to życie przejawia. Kto ma przyznaną sobie godność obywatela, dostąpił najwyższego zaszczytu, jaki się w ogóle człowiekowi dostać może; wszystkie inne zaszczyty i godności, jakie w ogóle są, to tylko zewnętrzne ucieleśnienie pewnych szczególnych funkcyj obywatelskich, i takie, które nabierają wartości dopiero przez to, że się w nie wnosi jako podkład: obywatelski zmysł i obywatelskiego ducha; i nawet nie takie, któreby same przez się dawały pierwszeństwo przed innymi, którzy zaszczytów i godności światowych nie piastują, skoro tylko o obywatelskich obowiązkach swoich pamiętają. Zaczem nie ma już chyba potrzeby zwracać wam uwagi na to, że ta chwila dzisiejsza, w której po raz pierwszy wolno wam nazwać się obywatelami, ma

szczególną dla was doniosłość; kto całej jej wagi nie odczuwa i nie rozumie, nie zasłużył na to, ażeby to zaszczytne imię nosił.

Ale jeśli trzeźwo i bez uprzedzenia na rzecz patrzycie, to zapewne wam samym nasunie się pytanie: czy to możliwa, ażeby ci, którzy dotąd pod każdym względem byli krępowani i niesamodzielni, tak naraz stawali się obywatelami w pełnem tego słowa znaczeniu, we wszystkiem samoistni, na siebie wyłącznie zdani, za wszystko wobec sumienia swego i społeczeństwa odpowiedzialni? Czy nie jest to zanadto nagły przeskok, który przez to, że takim jest, mógłby pociągnąć za sobą ujemne i szkodliwe następstwa? Oto odpowiedź: kiedy skończycie uniwersytet i poświęcicie się różnym kierunkom obywatelskiej pracy, nazwa, którą nosić będziecie, brzmieć będzie pokrótce: obywatel; i taką jest ona u wszystkich, bez różnicy zawodu i stanu, którzy obywatelską działalność w pełni już poczęli i wykonują. Ale u was jest ona teraz odmienna: nazywacie się obywatelami akademickimi. Ten przydatek, bliżej rzecz określający, w tym jednym i jedynym wypadku do nazwy obywatela dodany, ma swoje szczególne znaczenie, i to w dwu kierunkach. Wskazuje on przedewszystkiem na wasz główny obowiązek, jaki przyjęliście na siebie; obowiązek pracy naukowej, która umożliwi wam później wszechstronną działalność obywatelską; a powtóre stwierdza też, że choć już obywatele, winniście przecież jeszcze, jako akademicy, jako młodzież ucząca się i do przyszłych zawodów obywatelskich przygotowująca się, poddać się pewnym koniecznym ograniczeniom. Dlatego nie macie jeszcze przyznanych sobie pełnych praw politycznych, a z drugiej strony

ustanowione są pewne normy, szczególnie dla młodzieży uniwersyteckiej przeznaczone, dotyczące jej porządku i karności; zarazem włożony jest na nas obowiązek, ażebyśmy nad ich przestrzeganiem czuwali. Myśl, która tu tkwi, jest ta, ażeby was ustrzec przed możliwemi zboczeniami, na jakie narazićby was mógł brak doświadczenia; dlatego ograniczenia, jakim z tego względu podlegacie, mają bez porównania mniejszy zakres, aniżeli te, jakie na was ciężyły dawniej; są one tylko środkiem zapobieżenia złemu, nie zaś kierownictwem waszych kroków pod każdym względem. Prócz tego my z naszej strony uważamy też sobie za obowiązek udzielać wam rad, kiedy się o nie do nas udacie, lub kiedy sami potrzebę tego widzimy; upoważnia nas do tego nasze większe doświadczenie życiowe, życzliwość i przyjaźń, jaką dla was żywimy. Jeśli mimo to ci, którym dobry stosunek między nami a wami jest solą w oku, prawią, że wam przez to waszą obywatelską wolność krępujemy, a równocześnie narzekają, że my się od was usuwamy i wpływu na was dostatecznego nie wywieramy, a nawet za błędne wasze kroki, jeśli się jakie zdarzą, odpowiedzialnymi nas czynią; to już chyba nie potrzeba tłómaczyć, co o takiej logice sądzić należy, i jak oceniać dążności, z których ona bierze początek. Na ogół biorąc, cały stosunek, o którym mówię, uważać trzeba za owo stadyum przejściowe, przez które koniecznie przejść winniście, w interesie własnym i w interesie społeczeństwa, dla którego pracować będziecie: takie, w którym już cały szereg dawniejszych ograniczeń odpadł, i które samemu pojęciu obywatelstwa nie ubliża, a zakreślając tylko pewne konieczne szranki, ma się stać szkołą,

przygotowującą was do wykonania w najbliższej przyszłości wszystkich praw obywatelskich w całej ich pełni. Przez to unika się owego nagłego przeskoku, o którym poprzednio wspomniałem, a który tak dobrze tu, jak zresztą w jakiejkolwiek innej sprawie, nigdy dobrych owoców przynieść nie może.

Jakkolwiekbądź, jesteście już obywatelmi, i od tej chwili statecznie o tem winniście pamiętać, pomni zarazem tego, że to, co w pojęciu obywatelstwa stoi na czele i całą jego wartość etyczną stanowi, to poczucie obowiązków i ich wypełnianie. Praw, jakie wam obywatelstwo wasze daje, nikt wam uszczuplać ani zaprzeczać nie myśli; ale pamiętać trzeba o tem, że logicznie i moralnie wykonywanie praw zawisło od uprzedniego ścisłego wypełnienia obowiązków, i że społeczeństwo większą ponosi szkodę przez jedno zaniedbanie obowiązku, aniżeli chociażby przez wielokrotne niewypełnienie praw, przysługujących poszczególnym jednostkom. Stawianie kwestyi odwrotne, a więc przeważny nacisk, położony na prawa, z usunięciem obowiązków na drugie miejsce, jest objawem niezdrowym i wprost szkodliwym, a ściśle biorąc, usunięciem głównej podwaliny pojęcia obywatelstwa; i można powiedzieć, że wielka część roztterek społecznych, które obecnie wstrząsają ludzkością, nie istniałaby, gdyby kwestyi w ten właśnie niewłaściwy sposób nie stawiano.

Obowiązki, jakie zaciągnęliście, są liczne, ale przeważna część ich jest tego rodzaju, że rozumie się sama przez się, i bliższego wyjaśnienia nie potrzebuje. Dlatego nie mówię o tych, które ciążą na was, jako na ludziach, bo już poprzednio mieliście czas i sposobność po temu, ażeby sobie o nich dokładne wy-

robić pojęcie; nie dotykam też obszerniej tych, które łączą się już ściślej z waszem nowem stanowiskiem obywateli akademickich, a płyną wprost z poczucia godności; jako to, że wam należy postępować z rozmysłem i powagą, jak na ludzi dojrzałych przystało, i strzec na każdym kroku waszej czci obywatelskiej i akademickiej; przypuszczam bowiem, że to poczucie godności posiadacie. Ponad nie wszystkie wysuwa się naprzód obowiązek najgłówniejszy, i taki, który stoi obecnie na czele wszystkich, jakie w ogóle na was są włożone: obowiązek nauki. Czyniąc mu zadość, spełniacie naprzód to, co wypływa wprost z waszego stanowiska jako studentów uniwersytetu, i dla którego to celu uniwersytet przyjął was w poczet swoich członków; a powtóre, przygotowujecie się w ten sposób najlepiej do przyszłej pracy społecznej, do późniejszych waszych obywatelskich zawodów. Wszelako, żeby obowiązki swoje spełniać, nie dość jest mieć sobie powiedzianem, że tak być powinno trzeba mieć nadto wewnętrzne przeświadczenie, że one w istocie celom ogólnym służą i korzyść przynoszą. W tym wypadku chodzi tedy o przekonanie, że praca naukowa jest tak dobrze pracą społeczną, jak jakakolwiek inna, a więc potrzebną dla społeczeństwa bez ograniczenia, nawet bez szukania dla niej koniecznie praktycznej zastosowalności. Nie przystałoby ani z tego miejsca, ani wobec was, obywateli akademickich, prowadzić szczegółowego i zasadnego wywodu, że tak jest w istocie; ograniczę się zatem do kilku tylko uwag, które mają na celu usunąć niektóre nieporozumienia. Utrzymuje się jeszcze po części mniemanie, zwykle wyraźnie niewypowiadane, ale w przejawach codziennego życia na zewnątrz nieraz występ-

pujące — Bogu dziękować, coraz mniej — że praca naukowa jest pewnego rodzaju zbytkiem, i że lepiej jest siły społeczeństwa skierować do innych zajęć widocznie praktycznych. Otóż żeby stanąć tylko na ciasnem, ściśle praktycznem stanowisku, i przejść wszystkie warstaty t. z. praktycznej pracy ludzkiej, od izby rzemieślnika do areny parlamentarnej, od tych, które służą potrzebom jednostek, do tych, na których się załatwiają sprawy narodów i ludzkości — przekonać się można, że to, co się w nich robi, jeśli jest lepsze, niż było dawniej, i ma warunki trwałości, to się przekuło przedtem na warstacie naukowym. Jest inne zdanie, mniej skrajne, które pracy naukowej przyznaje znaczenie pracy społecznej, wszakże tylko o tyle, o ile ona przynosi wyniki praktyczne. I ono nie ma podstawy. Kto zna pierwociny wiedzy ludzkiej, temu wiadomo, że się ona poczęła z nieprzepartego dążenia do odkrycia praw, króre rządzą światem i życiem, bez widoków praktycznych. I to jest rzecz znamienna, bo w rzeczach ludzkich, kiedy się tworzą, dadzą się już w początkach odkryć, jak w embryonie, zaczątki tego, co później stanowić ma ich istotę; a to był objaw pierwszy, jaki tu spotykamy, sam przez się świadczący o tem, co wiemy skądinąd, że potrzeby ducha ludzkiego wymagają tak dobrze zaspokojenia, jak potrzeby materyalne; że więc kto dla nich pracuje, spełnia także pracę społeczną, podobnie jak ten, który do urzeczywistnienia potrzeb materyalnych się przyczynia. Że przez pracę naukową służy się obu celom, w tem większa jej wartość; a że się przez nią zdąża do tego, co dla umysłu ludzkiego jest szczeblem najwyższym, nigdy wprawdzie w całości nieosiągniętym, a przecież wiecznie upragnionym i po-

żądanym — do prawdy — w tem jej dostojność. W tej pracy wolno wam teraz brać udział i współzawodniczyć z innymi. *Veritas in medio adhuc posita est; qui potest, ascendat, qui audet, rapiat — et applaudemus.*

Oto wielkie hasło, jakie macie przed sobą, a zarazem prawo — z pośród wszystkich, jakie wam przysługują, najcenniejsze. Waszą rzeczą pamiętać, ażebyście go nie zmarnowali.

O t. z. szkole jednolitej i znaczeniu studyum humanistycznego; poprzedza: w czem nie tkwi unarodowienie szkoły.

Przemówienie na posiedzeniu sejmu z d. 5. lutego 1896, w dyskusyi nad wnioskami posłów Rottera i Szczepanowskiego.[1]

Dyskusya, którą wywołał wniosek posła Rottera i sprawozdanie Komisyi szkolnej o tym wniosku,[2] przybrała o wiele szersze rozmiary, aniżeliby się tego można było z początku spodziewać. Mówiono bowiem nie tylko o szkole średniej jednolitej, ale także i o szkołach wyższych; również i co do szkół średnich zastanawiano się nie tylko nad pytaniem, czy stworzyć szkołę jednolitą, ale także nad innem, szerszem: jak należałoby zorganizować cały kierunek nauczania, oparty na podstawach narodowych, na uwzględnieniu właściwości charakteru i temperamentu naszego narodu.

Zwracam się przedewszystkiem do tego ostatniego pytania obszerniejszego, t. j. do spraw, poruszonych w przemówieniu posła Szczepanowskiego.[3] Zadanie moje pod tym względem jest już znacznie ułatwione wobec przemówień, które słyszeliśmy poprzednio; dlatego mogę się ograniczyć do wypowiedzenia kilku tylko krótkich uwag.

---

[1] Druk. w Sprawozdaniach z posiedzeń Sejmu krajowego z r 1895/6 str. 748 — 756.

[2] Por. tamże str. 173. 199—204, 722—726, 746—748, i aleg. 96

[3] Por tamże str. 706—714.

Jeśli mam mówić o wrażeniu, wywołanem przemówieniem p. Szczepanowskiego, to muszę stwierdzić, że z całego szeregu myśli, jakie wypowiedział, niemal każda, wzięta w oderwaniu, była niewątpliwie nie tylko sympatyczna, ale tak, jakby wprost z serca naszego wyjęta. Ale jeżeli zestawimy wszystkie jego poglądy razem jako całość organiczną, to powiem, co już zresztą z kilku stron podniesiono, że trudno dopatrzyć się związku pomiędzy niemi, i — co większa — są pomiędzy niemi poniekąd nawet sprzeczności.

P. Szczepanowski domaga się reorganizacyi szkół średnich na podstawach narodowych. Co do słuszności samej zasady nie ma tu — zdaje mi się — dwu zdań; owszem, wszyscy jesteśmy silnie przekonani, że na takiej właśnie zasadzie szkolnictwo nasze opierać się powinno. Zapytajmyż, czy zrobiono już co w tym kierunku? Zdaje mi się — i sam p. Szczepanowski to przyznaje — że w istocie zrobiono niemało. W tym względzie chodzi przedewszystkiem o to, ażeby plan naukowy uwzględniał pewne przedmioty, mające szczególne znaczenie dla wykształcenia młodzieży w duchu narodowym, a więc ażeby była w szkole nauka historyi literatury polskiej i historyi polskiej; i wiemy, że tak jest, a co tu jeszcze częściowo brakowało, to poruszyliśmy wnioskiem niedawno uchwalonym, domagając się wprowadzenia nauki historyi kraju rodzinnego, jako przedmiotu obowiązkowego.[1] Potrzeba dalej, ażeby w nauce innych przedmiotów uwzględniano właśnie te momenty, zjawiska, fakty i t. p., które młodzież naszą mogą prze-

[1] Por. sprawozdanie Komisyi szkolnej i przeprowadzone nad niem obrady, tamże str. 312 i n. i aleg. 138.

dewszystkiem zająć, i których znajomość jest dla niej przedewszystkiem potrzebna: w naukach przyrodniczych n. p. to, co się odnosi do przyrody naszego kraju. Pod tym względem p. Szczepanowski zdaje się przyznawać, że zrobiono stosunkowo już wiele. Dodaje on jednak, że jeżeli się ograniczymy do takich tylko szczegółów, to będzie to jeszcze stanowisko i pojmowanie sprawy zbyt ciasne. Domaga się tedy czegoś więcej, a mianowicie, ażeby całe nasze wychowanie w szkołach średnich uwzględniało charakter, temperament i właściwości nasze narodowe. To jest ów szerszy punkt widzenia p. Szczepanowskiego. Zobaczmyż, jak się ta rzecz w świetle własnych jego zapatrywań przedstawia.

P. Szczepanowski podał charakterystykę właściwości naszego narodu, twierdząc, że należą tu: pojęcie szersze obywatelstwa, skłonność wiązania myśli i woli z czynem, wreszcie pewien szczególny temperament, nam właściwy. W dalszym ciągu p. Szczepanowski przedstawia, jak należałoby zorganizować szkolnictwo średnie, ażeby tym właściwościom narodowym odpowiedzieć, i jakie środki ku temu prowadzą. Jako zasady przyszłej organizacyi podaje: usunięcie zasady przeciętności, a wprowadzenie w miejsce tego podziału szkoły na osobne oddziały dla zdolniejszych i mniej zdolnych, tak, ażeby jedni i drudzy w odmiennym sposobie byli kształceni. Powtóre, domaga się p. Szczepanowski usunięcia zasady encyklopedyczności, więc owego rzekomo zbyt szerokiego zakresu nauki, dziś w szkołach średnich udzielanej, dalej położenia większego nacisku na wykształcenie fizyczne, a wreszcie wprowadzenia prac ręcznych w szkole średniej.

Jeżeli zapytamy, czy którykolwiek z tych środków jest tego rodzaju, iżby szczególnie odpowiadał naszym właściwościom narodowym, żeby w nim tkwiło coś takiego, co naukę w naszych szkołach średnich mogłoby odróżnić od innych, coś, co miałoby szczególnie kształcić i utwierdzać właściwości naszego charakteru narodowego, to chyba trzeba będzie odpowiedzieć na to — przecząco.

Czy dlatego, że kształcąc młodzież, będziemy do jednych przykładali wyższą miarę, a do drugich niższą, spotęgujemy zgodność między myślą a czynem, czy przez to utwierdzimy pojęcie obywatelstwa? Czy dojdziemy do tego samego celu przez to, że kierunek encyklopedyczny mniej lub wiecej ograniczymy? Zdaje mi się, że nie. Nie są to środki, które same przez się odpowiadałyby zasadzie, jaką p. Szczepanowski na czele swego przemówienia postawił, takie, któreby nas do niej zbliżyły, czy też do jej urzeczywistnienia się przyczyniły. Nadto: czy taka organizacya, jakiej pragnie p. Szczepanowski, jest czemś szczególnie narodowem, rodzimem, oryginalnem? Zdawałoby się, że tak; bo p. Szczepanowski, potępiając istniejącą obecnie organizacyę, wymienił w szeregu zarzutów okoliczność, że jest naśladownictwem systemu niemieckiego. Ale w drugiem swojem przemówieniu sam przyznał, że i jego system jest także naśladownictwem, tym razem — systemu angielskiego. Skoro tak, to już w obu wypadkach mamy naśladownictwo. Pozostaje zatem tylko pytanie, które z nich jest lepsze, a usuwa się w zupełności kwestya, stawiana jako zasadnicza, że zamierzona zmiana ma mieć cechy na wskróś oryginalne, ma być organicznym wypływem

naszych narodowych stosunków, a przez to stać wyżej od systemu obecnego, naśladującego urządzenia obce.

Rozbierzmy jednak szczegóły projektowanej zmiany. Pozwolę sobie przedewszystkiem zwrócić uwagę na to, że usunięcie t. zw. zasady przeciętności w organizacyi szkolnictwa, kształcenie uczniów w takim sposobie, ażeby gorsi mieli osobną klasę, a lepsi także osobną, w praktyce wydaje się trudnem do przeprowadzenia, a nadto stać się może wprost szkodliwem. Jeśli przeprowadzimy taki rozdział, to cały poziom nauki w owej klasie gorszej będzie musiał być znacznie obniżony, właśnie dlatego, ażeby ją zastosować ściśle do uzdolnienia słabszych. Zdaje mi się, że w systemie nauczania winniśmy dążyć raczej do tego ażeby poziom nauki u młodzieży o ile możności podnieść. Jeżeli w wspólnej klasie — jak dzisiaj — obok gorszych uczniów są lepsi, to wynika stąd wprost, że wzgląd na tych lepszych przyczyni się znacznie do podniesienia wymagań naukowych, i że cel ten będzie można w tych warunkach osiągnąć łatwiej, aniżeliby to było możliwe wtedy, gdybyśmy lepszych wyłączyli i wszystkich gorszych według innej, niższej miary kształcili.

Ograniczenie encyklopedyczności? Jakże jednak p. Szczepanowski wyobraża sobie to ograniczenie? Na to pytanie nie dał nam niestety żadnej odpowiedzi. Jakież przedmioty chciałby szan. wnioskodawca wyłączyć z dzisiejszego systemu: czy matematykę, czy historyę, czy nauki przyrodnicze? Chyba: grekę; ale w takim razie sprawa przestaje być zasadniczą; kwestya rzekomego ograniczenia encyklopedyczności schodzi do prostego usunięcia jednego przedmiotu z planu naukowego.

Co do fizycznego wykształcenia młodzieży, wszyscy uznają, że ono jest potrzebne; ale po części zapomina się, że w ostatnich czasach zrobiło się bardzo wiele na tem polu. Wprowadzono w każdej szkole gimnastykę, wydano przepisy dotyczące zabaw uczniów podczas przestanków pomiędzy godzinami, zalecono gronom nauczycielskim, ażeby urządzały wycieczki, zachęcały młodzież do chodzenia na ślizgawkę, do kąpieli i nauki pływania; poczyniono ułatwienia w tym kierunku, wydano o tem osobne rozporządzenia i pouczenia. Zatem dla fizycznego wykształcenia wiele się robi, bez porównania więcej, niż dawniej; a gdyby nawet żądać w tym względzie jeszcze więcej, n. p. wprowadzenia gimnastyki jako przedmiotu obowiązkowego, to będzie to tylko kwestya reformy szczegółowej, nie zaś reformy zasadniczej.

Wreszcie wspomniał p. Szczepanowski o pracach ręcznych. Zapewne, gdyby i prace ręczne można wprowadzić do planu naukowego, nie dałoby się nic przeciwko temu nadmienić w zasadzie, bo nie byłaby to rzecz szkodliwa. Wszelako zdaje mi się, że my od szkoły średniej doprawdy już za wiele się domagamy; bo dziś nie ma prawie rzeczy, którejbyśmy do niej wprowadzić nie chcieli. Wiemy, że ta szkoła średnia ma dać wykształcenie umysłów, wykształcenie charakterów, wykształcenie serc, chcemy ponadto, ażeby dawała wykształcenie fizyczne; domagamy się wreszcie, ażeby wprost kształciła w pracy ręcznej. Te wszystkie rzeczy, każda dla siebie, są bardzo potrzebne i pożądane. Ale my już dziś sami zdajemy sobie sprawę, że szkoła średnia tym wszystkim zadaniom nie może w całości odpowiedzieć.

Wszakże, kiedy mówimy o kwestyi wychowania,

to wiemy, że sama szkoła średnia tutaj nie wystarczy; musi tu współdziałać rodzina i społeczeństwo. W sprawie wychowania fizycznego szkoła średnia również nie spełni wszystkiego; dziecko musi być od młodości w odpowiedni sposób hartowane w domu, aby nabrało siły fizycznej. Możemy przyjąć, że i pracy ręcznej nauczy się lepiej w domu; i ma też tam lepszą sposobność po temu. W ogóle, jeżeli mi wolno użyć porównania, powiem, że my tę szkołę średnią uważamy za rodzaj czarodziejskiej szkatułki, o której wiemy, że jest małą, a przypuszczamy przecież, że kiedy ją otworzyć, to się tam znajdzie wszystko, czego tylko dusza zapragnie. W życiu publicznem takie czarodziejskie rzeczy lepiej nie wciągać w rachubę; starajmy się tedy zawrzeć w owej szkatułce przedewszystkiem tyle, ile w niej zmieścić można, to, co jest najpotrzebniejszego, usuwając to, co dziecko otrzymać może skądinąd.

Niech mi tu będzie wolno przeciw argumentowi p. Szczepanowskiego przytoczyć argument — p. Szczepanowskiego; bo nie dawniej jak trzy lub cztery dni temu słyszeliśmy z jego ust, przy innej, co prawda sposobności, że w jego przedsiębiorstwie naftowem pracują uczniowie gimnazyalni i uniwersyteccy, o których pracy ręcznej wyraził się z największem uznaniem. Ci uczniowie gimnazyalni i uniwersyteccy przechodzili przez dzisiejszą szkołę, która pracy ręcznej nie uczy; a jednak zdolności ich i praca są tak znakomite, że zasłużyły na pochwałę szanownego posła.

Oto kilka ogólnych uwag o przemówieniu p. Szczepanowskiego; niektóre inne wypowiem jeszcze w związku z szczegółami, dotyczącymi wniosku p. Rottera. Zanim jednak przystąpię do tej ostatniej sprawy, po-

zwolę sobie jeszcze nadmienić słów kilka o wniosku p. Średniawskiego, który w osobnej rezolucyi domaga się, aby Sejm wyraził opinię, że należy położyć większy nacisk na zadanie wychowawcze szkoły. Zdaje mi się, że ta rezolucya jest zbędna; bo naprzód wszyscy wiemy, że dzisiejsza magistratura szkolna krajowa na tę rzecz wielki kładzie nacisk, a z sprawozdań jej wynika, że, co się w tym względzie w danych stosunkach przeprowadzić dało, tego też rzeczywiście nie zaniedbała. Gdybyśmy zresztą chcieli tego rodzaju rezolucye uchwalać, moglibyśmy postawić szereg innych, analogicznych, a więc n. p. że jest rzeczą pożądaną, aby większy jeszcze nacisk położono na wykształcenie charakterów, serc, umysłów i t. p. Możnaby takich rezolucyj uchwalić bardzo wiele; czy byłby z nich pożytek istotny, o tem pozwolę sobie wątpić.

Przechodzę do wniosku p. Rottera. Dla czego żądamy reformy szkół średnich? Niewątpliwie dlatego, że mamy przeświadczenie, iż to, co jest teraz, nie jest jeszcze doskonałe, że możnaby stworzyć organizacyę jeszcze doskonalszą. Ale pośród tych, którzy na tem stanowisku stoją, jedni są zdania, że można zatrzymać istniejący obecnie system, i dążą do zmian szczegółowych w ramach tegoż systemu, inni mniemają, że trzeba sam system zmienić i wprowadzić w jego miejsce coś zupełnie nowego. Niewątpliwie wdzięczniejszem jest zadanie drugich, bo każda nowość ma to do siebie, że pociąga za sobą umysły, zwłaszcza, gdy nie przetrwała jeszcze próby, któraby wykazała, czy może nie kryje ona większych wad w sobie, aniżeli rzecz dawna, którą się usunąć pragnie. Robi się nawet z tego sprawę polityczną twierdząc,

że ta nowość, to postęp, a dążenie do zatrzymania dawnego stanu rzeczy, to jakiś niewczesny konserwatyzm. Zależy to od punktu widzenia, jaki się zajmuje. Kto każdą nowość uważa za postęp, może tak twierdzić; jeżeli jednak ktoś uważa za postęp tylko taką nowość, która przynosi coś lepszego, niż to, co było dawniej, ten zapewne z góry nie będzie wydawał tak stanowczego wyroku. W kwestyach wychowania publicznego polityczne różnice stronnictw nie powinny wysuwać się naprzód; gdyż co do pytania, czy należy wychowanie publiczne poprawić, nie może być różnicy zdań; każdy musi sobie życzyć aby, jeżeli ono teraz jest złe, stało się lepszem; wszakże system wychowawczy odbija się bezpośrednio na dalszych losach całego społeczeństwa.

Przechodzę do omówienia rzeczy samej.

Muszę na wstępie zwrócić uwagę na to, że dążenie do zaprowadzenia szkoły jednolitej jest dla mnie pod pewnym względem niezrozumiałe. Gdyby dziś istniało tylko gimnazyum humanistyczne, ci, któ rzy nie mają zdolności ani chęci do studyum humanistycznego, mieliby prawo twierdzić, że jest źle, bo gimnazyum nie odpowiada ich zdolnościom, a gdzieindziej nie mają możności kształcenia się; wszelako dla nich istnieje dziś druga szkoła średnia, realna, odpowiadająca bardziej ich szczególnemu uzdolnieniu. W tej szkole dzieci, które nie mają zmysłu do nauk filologicznych, mogą pobierać odpowiednie wykształcenie. Dlaczegoż teraz dążyć mamy do usunięcia gimnazyum humanistyczego, i stwarzać jednę tylko szkołę, którąby przynajmniej w części studyum humanistyczne ograniczyła? Czy niema nikogo, ktoby naprawdę chciał, ażeby dziecko jego otrzymało wykształ-

cenie humanistyczne; czy wszyscy ojcowie, mający synów w gimnazyach, nie zdają sobie sprawy, jaki jest cel istotny tej szkoły i do czego ona prowadzi; czy nie znajdzie się pośród nich jakaś znaczniejsza część, szukająca właśnie takiego, a nie innego wykształcenia dla swych dzieci? A jednak, jeżeli uwzględnimy wniosek p. Rottera, to wyjdzie na to, że nawet ci nie będą mieli możności kształcenia swych dzieci w tym kierunku, w jakim je kształcić pragną. Zdaje mi się, że byłoby to uszczęśliwianie społeczeństwa bez jego woli, a po części i wbrew jego woli.

Sprawa zaprowadzenia jednolitej szkoły średniej może mieć uzasadnienie bądź zasadnicze, bądź praktyczne. Jako zasadnicze można przytoczyć to, że skoro szkoły średnie dają wykształcenie ogólne, to niema racyi, ażeby część młodzieży otrzymywała wykształcenie ogólne innego rodzaju i typu, aniżeli inna część, która je w odmienny sposób otrzymuje. Rozumiem, że można stać na takiem stanowisku, i odpowiednio do tego dążyć do reformy. Pozwalam sobie jednak zwrócić uwagę na to, że oceniając sprawę w taki sposób zasadniczy, i trzymając się ram wniosku p. Rottera, musielibyśmy naprawdę przy stwarzaniu szkoły jednolitej, dać w niej stanowczą przewagę kierunkowi humanistycznemu; i dlatego dziwić się należy, dlaczego myśl szkoły jednolitej podnoszona jest właśnie przez t. zw. realistów, skoro ostatecznie reforma musiałaby się obrócić przeciw temu, czego oni właśnie domagają się, t. j. przeciw rozszerzeniu kierunku realnego.

Porównajmy oto zakres nauki w gimnazyum i szkole realnej. Znajdujemy tu naprzód szereg przedmiotów wspólnych, a nadto pewne przedmioty, uczone tylko

w gimnazyach, i inne, uczone tylko w szkole realnej. W gimnazyach należą tu języki klasyczne, w szkołach realnych język francuski, rysunki i nauki matematyczno-przyrodnicze, traktowane na szerszy rozmiar. Jeżeli staniemy na stanowisku zasadniczem, że jednolita szkoła średnia winna dać to, co nazywamy wykształceniem ogólnem, to z pośród tych przedmiotów, które należą obecnie do szczególnych właściwości szkół realnych, będziemy tu mogli wprowadzić chyba tylko rysunki.

Poseł Rotter uzasadnia ich potrzebę w sposób praktyczny: ksiądz musi się znać na obrazie, ażeby nie dopuścić do jego zniszczenia, prawnik powinien znać rysunki, ażeby się zoryentować w planach i t. p. Ja z tego punktu widzenia nie prowadzę uzasadnienia, bo to jest wzgląd praktyczny, a nie zasadniczy; gdybym z praktycznego stanowiska chciał mówić o rzeczy, to musiałbym w program nauki szkół średnich wprowadzić medycynę, potrzebną księdzu w stosunku z chorymi parafianami, prawo, potrzebne później w najrozmaitszych zawodach i t. p. Ale można też i należy uzasadniać potrzebę rysunków z punktu widzenia zasadniczego, ile że rysunki kształcą oko i rękę, rozwijają zmysł estetyczny i poczucie piękna. Dlatego i na tem stanowisku stojąc, możnaby i należałoby naukę rysunków w jednolitej szkole średniej uznać za potrzebną.

Językowi francuskiemu, oceniając rzecz praktycznie, przyznać należy bardzo wielkie znaczenie; ale ze stanowiska zasadniczego nie będziemy mogli mówić o takiem znaczeniu. Pod względem jakościowym bowiem, nauka jego i wpływ na wykształcenie ogólne musiałyby być takie same, jak nauka jakiegokolwiek innego języka żyjącego, które mamy już w planie

naukowym, a więc polskiego i niemieckiego; byłoby to zatem tylko rozszerzenie pod względem ilościowym, takie same, jakie dałoby się uzyskać przez wprowadzenie nadto nauki innych jeszcze języków nowożytnych, mających zresztą bardzo rozwiniętą literaturę, n. p. języka angielskiego i włoskiego.

Co zaś do rozszerzenia zakresu nauk przyrodniczych i matematycznych, to już chyba Panowie przyznają, że to, czego potrzeba do ogólnego wykształcenia w tym kierunku, znajdzie się już w gimnazyum, że więc nie byłoby tu potrzeby sięgać do tak dalekich granic, jakie naukom tym zakreślono w szkołach realnych.

Zatem ta jednolita szkoła średnia mogłaby w najlepszym razie przydać naukę rysunków; a zresztą wszystko inne, co jest w gimnazyum, należałoby chyba zatrzymać. Jednolita szkoła średnia, jeśliby była według pewnych zasadniczych momentów organizowana, jeśliby nie miała być kompromisem rozmaitych dążności i zasad odrębnych, musiałyby tedy zachować charakter przedewszystkiem humanistyczny. My jednak, którzy twierdzimy, że wykształcenia humanistycznego nie należy ze szkolnictwa średniego wykluczać zupełnie, my z drugiej strony takiej jednolitej szkoły humanistycznej nie chcemy, bo rozumiemy, iż jest pożądaną rzeczą, ażeby część społeczeństwa otrzymała więcej realne wykształcenie.

Tutaj pozwolę sobie zwrócić uwagę na szczegół, tylokrotnie przez p. Rottera i jego zwolenników podnoszony, uderzający niejako taranem w jego przeciwników, a mianowicie na sprawozdanie Komisyi szkolnej z r. 1880, która wniosek wprowadzenia jednolitej szkoły przedłożyła.

Spotkaliśmy się ze strony panów realistów z cięż-

kimi zarzutami, że sejm jeszcze przed szesnastu laty uchwalił potrzebę takiej szkoły jednolitej z usunięciem greki, że my dziś niekonsekwencyę popełniamy, domagając się czegoś innego, że to przypadek tylko zdarzył, iż do Komisyi szkolnej weszło dwu rektorów, którzy się wnioskowi p. Rottera sprzeciwiają, podczas gdy dawniej mężowie tej miary, co Szujski, Liske, Czerkawski (o innych, tu w sejmie obecnie zasiadających, nie wspominam) uchwalili wniosek po myśli p. Rottera.

Ten zarzut przeciw obu rektorom obecnym podniesiony byłby przygniatający, gdyby ich nie ratowało samo sprawozdanie Komisyi szkolnej z r. 1880. Przytaczam kilka ustępów:

„Pierwszą myślą, poruszoną w petycyi Towarzystwa politechnicznego lwowskiego, jest uchylenie rozszczepienia nauki średniej na gimnazya i szkoły realne. Komisya edukacyjna jednozgodnie oświadczyła się za tą myślą. Cokolwiekbądź przemawiało za tem rozszczepieniem, jakikolwiek prąd ku naukom technicznym mógł je popierać, przeoczyło ono potrzebę jednostajnego wykształcenia humanitarnego dla młodzieży, potrzebę, stopniującą się w miarę, jak zawód, w późniejszych latach obrany, od studyów i ducha humanitaryzmu ją oddala".

A dalej: „Żaden przedmiot (a więc i greka!) w planie naukowym dzisiejszym zbytecznym nie jest, owszem, winny być one raczej rozszerzone i zbogacone: 1) przez naukę starożytności greckich i rzymskich, 2) przez obowiązkową naukę dziejów ojczystych, 3) przez wprowadzenie obowiązkowej nauki trzeciego nowożytnego języka".

A więc w r. 1880 żądano nawet rozszerzenia nauki greki i łaciny przez wprowadzenie przedmiotu starożytności greckich i rzymskich!

Dalej czytamy: „W językach klasycznych, otwierających świat starożytny, będący najwyborniejszym i doświadczonym środkiem kształcenia humanitarnego, nie kładzie plan ogólny nauk należytego przycisku na wiadomości starożytnicze i historyczno-literackie".

Otóż obaj rektorowie i Komisya szkolna dzisiejsza, którym powyższe zarzuty ze strony p. Rottera uczyniono, i w których wmawiano, że odbiegli od swych poprzedników z r. 1880, mogą sobie jednak powiedzieć, że w głównej rzeczy właśnie z nimi się zgadzają; i wolno im z zadowoleniem stwierdzić, że znajdują się w dobrem towarzystwie, tem samem, w którem mniemał się znajdować p. Rotter. Jednolita szkoła, jakiej żądano w r. 1880, była czemś zupełnie innem, aniżeli ta, której się domaga szan. wnioskodawca; sama zaś idea jednolitości, jak ją wtedy przeprowadzić chciano, wypłynęła nie z jakiegoś dążenia zasadniczego, ale raczej ze względów praktycznych, a mianowicie, jak stwierdzili już poprzedni mowcy, ze względu na nieodpowiednią organizacyę nauki w szkołach realnych, jaka wtenczas istniała.

Drugim argumentem, który możnaby przytoczyć za zaprowadzeniem szkoły jednolitej, byłyby względy praktyczne, mianowicie ten, jak się zwykle mówi, że rodzice już bardzo wcześnie muszą rozstrzygać o przyszłem powołaniu dziecka, zapisując je do pewnej szkoły, i że przez to jest ono zmuszone uczyć się potem przedmiotów, do których może nie ma uzdolnienia i zamiłowania.

Zdaje mi się, że to jest dzwon na wielki alarm, ale powodu do alarmu właściwie nie ma. Musimy się liczyć przedewszystkiem z tem, że w szkole średniej uczeń jest przeciętnym, t. j. takim, który nie ma osobnego uzdolnienia ani w kierunku humanistycznym, ani realnym; uczeń taki, gdy się go zapisze do gimnazyum, może się uczyć średnio albo celująco, a w szkole realnej potrafiłby się uczyć równie dobrze; wynika to z szczęśliwej organizacyi mózgu ludzkiego, która daje pewną sprężystość, pewną zdolność przechylenia się na jedną lub na drugą stronę, według tego, jak okoliczności się złożą. Wiemy zaś, że ci uczniowie przeciętni, to jest główny zastęp uczniów dzisiejszych; zaczem jeżeli się mówi, że dzisiejsze szkoły rozdzielone nie odpowiadają szczególnemu uzdolnieniu uczniów, to się tę sprawę wielce przecenia. Przecenia się ją zwłaszcza przez częste nieporozumienie — nie wiem, przypadkowe czy umyślne. Jest pewien procent uczniów, którzy się źle uczą, tak w gimnazyach, jak szkołach realnych. O złym gimnazyaliście doświadczony pedegog wie, co sądzić; wie on, że chłopiec nie ma w ogóle zdolności do nauki. Ale realista powiada w takim razie: temu winno gimnazyum i nauka języków klasycznych. Realista zapomina przytem, że gdyby tego samego chłopca zapisać do szkoły realnej, nie miałby on tu tak samo powodzenia, jak w gimnazyum.

Panowie! Jeżeli się zdarzy wyjątek, iż rzeczywiście do jednej szkoły zapisany zostanie chłopiec, który zdolnościami odpowiada raczej typowi szkoły drugiej, to w każdym razie będzie to wypadek rzadki; a jeżeli się zdarzy, to właśnie dla uzdolnionego będzie bardzo łatwo przejść z jednej szkoły do drugiej,

chociażby przez dopełnienie egzaminu z przedmiotów, do których okazuje szczególne uzdolnienie. Ja tedy z tego powodu nie obawiam się żadnych niebezpieczeństw.

Nie przeczę, że zdarzyć się może wypadek, iż młodzieniec, mający uzdolnienie do pewnego kierunku studyów, poświęca je, z własnej, czy też rodziny woli, innemu kierunkowi, jak n. p., kiedy ten, kto ma zamiłowanie do nauk matematycznych i technicznych, studyuje w gimnazyum, a potem oddaje się zawodowi prawniczemu. Ale takie same wypadki zdarzać się będą chyba i po zaprowadzeniu szkoły jednolitej, ze względu na przesąd czy tendencye, jakie w społeczeństwie naszem panują, że zawody akademickie dają lepsze stanowisko społeczne i materyalne. Punkt ciężkości sprawy nie leży tu w organizacyi szkoły średniej, ale w upowszechnionych obecnie u nas zapatrywaniach na sprawę wyboru przyszłych zawodów.

Przypuśćmy jednak, że wy, Panowie realiści, macie racyę, i że zaprowadzoną została szkoła jednolita, taka, w której się uczy łaciny, a prócz tego w szerszym zakresie realiów. Zobaczmy teraz, jak się tu przedstawiać będzie sprawa szczególnego uzdolnienia? Oto każdy będzie musiał chodzić do jednej i tej samej szkoły; jeżeli zatem znajdzie się uczeń, który ma uzdolnienie do nauk technicznych, a nie ma go do filologii, to ten już stanowczo będzie musiał paść ofiarą systemu; dziś bowiem może jeszcze przejść do innej szkoły, w której filologii klasycznej nie uczą; ale wtedy będzie już musiał pozostać w tej jedynej, jaka jest. Szkoła jednolita będzie zatem te szczególne zdolności uwzględniała w daleko mniejszym stopniu, ani-

żeli szkoła dzisiejsza; obawiam się też, że sami Panowie, jeżelibyście zechcieli być konsekwentnymi, i mieli odwagę przyznać się do błędu, w krótkim czasie potem musielibyście żądać szkoły dwudzielnej.

Poruszono tu jeszcze z obu stron sprawę greki; z jednej w sposób charakterystyczny: bo twierdzenie o potrzebie zatrzymania tej nauki w szkołach średnich nazwano kłamstwem konwencyonalnem. Określenie to nadaje się zwykłe zapatrywaniom, z któremi na każdym kroku spotkać się można, mimo że uzasadnienia niema dla nich żadnego. Ja z mało którem twierdzeniem spotykałem się tak często, zarówno w życiu potocznem, jak i w dziennikach, jak z tem, że greka jest niepotrzebna — najczęściej bez przytoczenia rzeczowych powodów. Gdzie tu szukać kłamstwa konwencyonalnego, pozostawiam ocenie Szanownych Panów.

Nie mam zamiaru wznawiać zasadniczej o tym przedmiocie dyskusyi, przeprowadzonej już i tutaj niejednokrotnie w Sejmie, i na szerszy rozmiar poza Sejmem; zwrócę się tylko do kilku pytań szczegółowych, przedewszystkiem takich, które odnoszą się głównie do naszych stosunków, a w dyskusyi bliżej dotknięte i podniesione zostały.

Powód, dla którego żąda się zniesienia greki, jest w ogóle dwojaki. Naprzód ten, że dzisiejsza nauka tego przedmiotu nie prowadzi do pożądanych wyników; i drugi, że się w ogóle naukę greki uważa za rzecz niepotrzebną. Otóż, co do pierwszego motywu, wybaczcie Panowie, jeśli powiem otwarcie — zachochodzi nielogiczność. Bo jeżeli się powie, że dzisiejsza nauka greki nie prowadzi do dobrych wyników, to stąd mogłoby wynikać tylko żądanie poprawienia

metody tej nauki, ale nie jej usunięcia. Ten więc argument nie powinien tu być przytaczany. Jeśli się zaś mówi, że nauka greki nie przynosi w ogóle pomyślnych wyników, to zdaje mi się, że się tu jest jeszcze pod wrażeniem tych stosunków, które do niedawna u nas panowały, ale które na szczęście już ustały. Niedawno jeszcze w systemie nauczania greki nie kładziono należytego nacisku na poznanie ducha świata starożytnego, lecz raczej na stronę gramatyczną języka. Wprawdzie i wtedy nie brakło profesorów, którzy na rzecz, nie na formę, główną zwracali uwagę; ja n. p. miałem szczęście pod takimi profesorami się uczyć, a to, co z tej nauki wyniosłem, uważam sobie za bardzo cenny kapitał. Wszelako przyznaję, że dawniej możliwe były zboczenia, a zatem też i usprawiedliwione skargi. Dziś ta niewłaściwość ustała od czasu wydania instrukcyi z roku 1884, za któremi poszły usiłowania, podjęte przez Radę szkolną. Od tego czasu zwraca się już przedewszystkiem uwagę na to, ażeby nauka greki prowadziła do poznania ducha cywilizacyi greckiej. Zmiana ta więc dokonana została niedawno, i dzisiaj nie można jeszcze znać dokładnie wyników, jakie ta nowa metoda przyniesie. Dlatego z krytyką należałoby się wstrzymać przynajmniej do czasu, kiedy ze szkół wyjdzie generacya, wedle nowej metody kształcona.

Żądanie, żeby z gimnazyów wychodzili dobrzy grecy, nie zostanie zapewne i wtedy spełnione, jak wiemy, że nie wychodzą z niego uczeni matematycy, historycy i t. p. Żądanie to polega jednakowoż na pomięszaniu pojęć; szkoła średnia nie jest bowiem zakładem, którýby miał na celu dostarczać uczonych specyalistów, ale takim, który ma dać wykształcenie

ogólne; a pod tym względem nauka greki niemniejszą chyba przynosi korzyść, aniżeli nauka historyi albo nauki przyrodnicze.

Potrzebę greki Panowie realiści przyznają sami z pewną wstydliwością; uznają oni, że nauka ta prowadzi do poznania świata starożytnego. Powiadają oni: należy czytać Homera, Sofoklesa i innych, ale nie w oryginale, lecz w przekładzie. Pytam jednak, czy dziś moglibyśmy w szkole zaprowadzić czytanie przekładów? Rozumię, że takie przekłady musiałyby być same arcydziełami w swoim rodzaju, zbliżonemi o ile możności do oryginałów; my jednak nie mamy jeszcze w literaturze polskiej przekładów wszystkich arcydzieł świata starożytnego tak doskonałych, ażeby porwały umysły młodzieńcze. Jeśli damy im przekłady zanadto może ciężkie, może nieudolne, to wzbudzą one w nich raczej odrazę, zamiast zamiłowania. Wątpię zaś, iżbyśmy z chwilą reorganizacyi szkolnictwa średniego znaleźć mogli zaraz talenty, któreby takich doskonałych przekładów dla użytku szkół dokonały. Ważniejsza rzecz ta, że nawet najlepsze przekłady nie zastąpią nigdy oryginałów pod względem odtworzenia ducha i kolorytu cywilizacyi starożytnej; a przecież o ich poznanie musi nam chodzić koniecznie, skoro cywilizacya ta w tak znakomitej mierze na dzisiejszą naszą cywilizacyę wpłynęła.

Zwrócę jeszcze uwagę na historyczne momenty podniesione w dyskusyi, a w szczególności na tylokrotnie wspomnianą Komisyę edukacyjną.

Że Panowie odwołujecie się do faktu historycznego, to dobrze; ale źle, że go nie bierzecie historycznie. W historyi każdy fakt jest ogniwem łańcucha, w którym nie tylko są ogniwa poprzednie, ale i następne.

Przy całej więc czci dla tego, co zdziałała Komisya edukacyjna, nie można powiedzieć, żeby stworzona przez nią organizacya miała być już ostatnim wyrazem w rozwoju naszego szkolnictwa, opartego na zasadach narodowych. Gdybyśmy byli mieli możność samoistnego kształtowania edukacyi w następnych czasach, kto wie, czy nie bylibyśmy tych zasad, które Komisya edukacyjna ustaliła, zmienili; a nie można przesądzać, czy nie właśnie w tym kierunku, jak je wiwidzimy urzeczywistnione w systemie szkolnym dzisiejszym. Zwrócę uwagę na instytucyę, w której również przywykliśmy upatrywać odzwierciedlenie idei narodowych w naszej edukacyi, na liceum krzemienieckie. W korespondencyi Czackiego, jaką prowadził z innymi uczonymi w czasie, kiedy to liceum organizował, znajdujemy zapatrywanie jego tej treści: wszystko prędzej, nawet języki nowożytne opuściłbym z zakresu wychowania, ale żadną miarą nie usunąłbym obu języków klasycznych. Ciekawsza jeszcze rzecz, że w tej sprawie Kołłątaj, twórca ustaw Komisyi edukacyjnej, przyznał racyę Czackiemu. To stanowisko Kołłątaja tłómaczy nam pośrednio, dla czego Komisya edukacyjna nie zaprowadziła greki w swoich szkołach; stało się to tylko dla tego, jak zresztą przyznał sam poseł Rotter, że nie było prawie nikogo w kraju, komu byłoby można poruczyć naukę greki. Wszakże sam Czacki dla swego liceum zdołał pozyskać tylko jednego profesora greki, i to — cudzoziemca.

Skoro już jesteśmy przy faktach historycznych, niech mi będzie wolno dotknąć jeszcze jednego, który czerpię z historyi ludzkości; żeby go zaś należycie oświetlić, muszę naprzód wspomnieć o pewnym objawie, który należy do teraźniejszości.

Jesteśmy wszyscy pod wrażeniem wielkich zdobyczy dzisiejszych na polu nauk matematycznych i przyrodniczych. Widzimy olbrzymi postęp, jaki one w ostatnich czasach osiągnęły, i cieszymy się z tego, rozumiejąc, że ludzkość niezmiernie wiele przez to zyskała. Po stronie tych, którzy w kierunku tym pracują, wyrodziła się pewna, łatwo zresztą usprawiedliwić się dająca duma z osiągniętych wyników; ale zdaje mi się, że w dalszej konsekwencyi doprowadza ona do pewnej jednostronności, do wzgardzenia tem wszystkiem, co nie należy do zakresu tych zdobyczy. Powiedziano sobie z tamtej strony: Cywilizacya, to my, a poza nami nic. Czy słusznie? Wątpię. Oto fakt historyczny, o którym wspomniałem:

Od czasu, kiedy się wytworzyła cywilizacya grecka ze swymi doskonałymi ideałami piękna w literaturze i sztuce, z szczytnem pojęciem człowieczeństwa i obywatelstwa, jakie postawiła, przypadło jej w udziale kilkakrotnie wpływać rozstrzygająco na rozwój cywilizacyi ludzkości. Naprzód w Rzymie; bo wiemy, że cała literatura, poezya epiczna, liryczna i dramatyczna, toż filozofia, kształtowały się pod wpływem greckim; a nawet to, co było najdoskonalszym i najbardziej samoistnym tworem narodowego geniuszu rzymskiego, prawo, z początku w wysokim stopniu pozostawało pod wpływem prawa greckiego. Potem przyszła wielka zawierucha dziejowa, która obaliła porządek starożytny, a stworzyła porządek średniowieczny, sam w sobie nowy i oryginalny, ale taki, który na długo nie wystarczył. Okazało się, że ten porządek rozwoju cywilizacyi na stałe posuwać naprzód nie potrafi; poczem zrodziła się potrzeba nawrócenia do cywilizacyi starożytnej. Zjawił się wtedy renesans,

humanizm, częściowo już w wieku XIV, a potem w wieku XV i XVI.

I znowuż później przyszło osłabienie wpływu cywilizacyi starożytnej z powodu, że kierunek humanistyczny wypaczono, że zamiast badać i poznawać ducha starożytności, dążono do naśladowania samej tylko dawnej formy literackiej i stylistyki. Jako reakcya przyszedł kierunek inny, mniej więcej od połowy XVII wieku, t. z. kierunek realny, który poprzedni usunął, a sam niemało około idei postępu się zasłużył. Ten jednak okazał się znowu jednostronnym; zrodziła się potrzeba usunięcia tej jednostronności przez to, że zwrócono się znowu do humanizmu. Powstał t. z. nowy humanizm, uprawiany po dziś dzień, który za cel uważa już nie gramatykę, ale poznanie literatury samej, i tych elementów cywilizacyjnych, jakie w niej starożytność złożyła, jednem słowem, poznanie i przejęcie się duchem cywilizacyi starożytnej.

Przepraszam za ten wywód historyczny; chciałbym z niego wyprowadzić dwie konsekwencye. Widzimy tu naprzód, że wpływ humanizmu upadł dwa razy, raz z powodu najazdu barbarzyńców, a drugi raz dla tego, że samą jego treść wypaczono. Nie było zatem dotąd wypadku, żeby cywilizacya starożytna i jej wpływy same w sobie się zużyły; jeśli upadły, to działo się to tylko z przyczyn zewnętrznych. To jest rzecz znamienna, o której pamiętać należy. Dziś nie ma takich powodów; nie ma wypaczenia rzeczy, bo my wszyscy dążymy do tego, ażeby poznać ducha starożytnego, a i o najeździe barbarzyńców mówić chyba nie chcielibyśmy; są tylko ataki panów realistów na grekę. To jedna konsekwencya; a druga — je-

szcze ważniejsza. Trzy razy ludzkość nie była w możności sama przez się cywilizacyi posunąć naprzód, trzy razy znajdowała się w położeniu, że musiała zaczerpnąć soków żywotnych skądinąd; i trzy razy zwracała się do tego, co nam w spuściźnie pozostawiła cywilizacya starożytna, rzymska i grecka.

Czy Panowie macie pewność, że gdybyśmy dziś zerwali z tą cywilizacyą, nie trzeba będzie po raz czwarty wracać do tego źródła? A w takim razie to, co dziś jest zamierzone, czyż nie należy uważać za krok wsteczny?

My, humaniści, nie chcemy twierdzić: — cywilizacya, to my, — ale coś więcej: cywilizacya, to my, i ci, co przed nami byli, zwłaszcza ci najlepsi, na których tylokrotnie opieraliśmy się, z istotnym dla rozwoju kultury pożytkiem. I dla tego zupełne usunięcie jednego z głównych, powiedzmy wyraźnie: zasadniczych elementów owej cywilizacyi starożytnej z naszego wychowania szkolnego, uważamy za rzecz wręcz szkodliwą.

Na jubileusz najstarszego Towarzystwa akademickiego we Lwowie.

Przemówienie na uroczystym obchodzie trzydziestej rocznicy założenia Towarzystwa Bratniej Pomocy słuchaczów wszechnicy lwowskiej, dnia 8 marca 1896 [1].

Imieniem Komitetu, urządzającego obchód trzydziestej rocznicy założenia Towarzystwa Bratniej pomocy słuchaczów Wszechnicy lwowskiej, mam zaszczyt powitać obecnych. Witam naprzód tych, którzy, choć członkami Towarzystwa nie byli, przybyć raczyli na tę uroczystość, ażeby dać świadectwo swojej dlań życzliwości, i za to im szczerem sercem dziękuję; witam też tych, którzy w instytucyi tej i przez nią zacnej myśli niegdyś służyli lub teraz służą, a tutaj zgromadzili się do apelu, wydanego w imię koleżańskiej idei, jaka się w niej zrodziła, i dotąd widocznie w sercach nie wygasła, na znak, że to hasło, jakie ona sobie wybrała, ukochali nie tylko przelotnie, w czasie akademickich studyów swoich, ale ukochali na trwałe i czczą statecznie.

Naprawdę, jubileusz to już więcej niż trzydziestoletni; bo, zanim Bratnia Pomoc zorganizowała się jako Towarzystwo przez władze uznane, ze statutem przez nie zatwierdzonym, istniała już przedtem w rzeczywistości jako samorzutny przejaw koleżańskiego zmysłu pośród młodzieży naszej, i tej poczciwej dążności

---

[1] Druk. w Gazecie lwowskiej z 10 marca 1896 nr. 57 str. 4.

serc jej — niesienia pomocy kolegom uboższym. Że zaś ci, którzy tę Bratnią Pomoc przedstatutową tworzyli, byli ci sami, lub tacy sami, jak ci, którym się udało przekształcić ją w Towarzystwo uznane, przeto trzeba powiedzieć, że pomiędzy tym okresem dawniejszym, a nowszym, istnieje organiczny związek i łączność wewnętrzna, nie tylko co do celów i zadań Towarzystwa, ale i co do substratu, z którego się składało; zaczem słuszna, biorąc na wzgląd nie tylko formę zewnętrzną, ale samą treść i istotę rozwoju instytucyi, datować jej początek od tych czasów, kiedy pośród młodzieży naszej pojawiają się pierwsze ślady zorganizowanej pomocy koleżańskiej. Wiemy zaś, że te ślady są o dziesięć lat wcześniejsze od formalnego uznania Towarzystwa; możemy tedy mówić o jubileuszu właściwie czterdziestoletnim. Ta data jest uwagi godna: bo świadczy, że Bratnia Pomoc jest Towarzystwem najstarszem, nie tylko pośród wszystkich istniejących obecnie Towarzystw akademickich lwowskich, czem byłaby nawet, gdyby uwzględnić tylko czas jej formalnego zawiązania, ale w ogóle najstarszem pośród wszystkich Towarzystw akademickich, jakie dzisiaj przy wszystkich wyższych zakładach naukowych polskich, nie tylko tutaj we Lwowie, istnieją.

Ale ponadto ma Bratnia Pomoc w tem pierwszem stadyum swojego istnienia znaczenie z innego jeszcze względu; bo wtedy niesienie materyalnych wsparć kolegom, choć było celem głównym, to jednak nie było zadaniem wyłącznem; stanowiła ona podówczas jedyne ognisko, w którem skupiało się i utwierdzało koleżańskie pożycie młodzieży, a są ślady, że już i wtedy nie brakło w niem pracy około wzajemnego

pouczania się i kształcenia; i nawet jeszcze w pierwszych czasach po formalnem zatwierdzeniu statutów Towarzystwa, przed założeniem Czytelni akademickiej, służyło ono przynajmniej częściowo temu ostatniemu celowi. Sfera pierwotnej działalności Bratniej Pomocy obejmowała tedy cały zakres zadań, któremi obecnie podzieliły się oba dzisiejsze Towarzystwa akademickie o zasadniczem znaczeniu, t. j. Czytelnia i dzisiejsza Bratnia Pomoc, a obok nich cały szereg innych Towarzystw, które się później z tamtych dwu wyłoniły, przejmując na siebie pewne ściślejsze jeszcze i bardziej szczególne cele do przeprowadzenia. W pierwotnej organizacyi Towarzystwa objęty był tedy ogół zadań, jakim dzisiaj służy szereg Towarzystw osobnych; i dla tego słuszna nazwać tę pierwotną Bratnią Pomoc zawiązkiem i macierzą Towarzystw akademickich polskich we Lwowie — tytuł, sam przez się już zaszczytny, i tytuł zasługi rzetelnej, jaką daje każde sformułowanie myśli zacnej, pożytecznej i żywotnej, i każde jej urzeczywistnienie; zasługi tem większej, im szerszą była myśl pierwotna, tem bardziej uznania godnej, że samo jej urzeczywistnienie kosztowało wysiłków wiele i wymagało zwalczenia licznych przeszkód.

Wszelako, żeby pozostać tylko przy tem, co Bratnia Pomoc zdziałała i zdziałać mogła w owym szczuplejszym zakresie, jaki jej wyznacza statut z roku 1865, powiedzieć trzeba, że i tutaj ma ona słuszne tytuły zasługi. Naprzód: była dla całego szeregu generacyj studenckich szkołą — nie tylko serc, krzewiąc pośród nich współczucie dla niedostatku, potęgując ideę koleżańskiej pomocy dla biednych, ale też była szkołą charakterów, ucząc ich solidarności: nie

tej, która jest wspólnością działania jednostek równie silnych, ale tej lepszej, i trudniejszej, a przez to tem cenniejszej, w której dla osiągnięcia wytkniętego celu silniejsi podają rękę słabszym, ażeby dojść tam nie tylko sami, ale wspólnie z tamtymi, którzy bez nich możeby tam nie doszli; tej solidarności, która w życiu każdego narodu, a naszego przedewszystkiem, jest rzeczą najpożądańszą, która prócz elementów silnych pociąga do pracy społecznej elementy słabsze, i przez samo już cyfrowe zwiększenie zasobu pracowników, pracy tej zapewnia skutek wydatniejszy. Taką szkołą było Towarzystwo dla wszystkich, którzy w niem udział brali; a czem było dla tych słabszych, którzy doń należeli? Było przedewszystkiem moralną dźwignią w chwilach zwątpienia i upadku na duchu, bo spiesząc ze wsparciem w położeniach trudnych, stwierdzało, że ta, zawsze szlachetna i zawsze pożądana dążność zdobycia wyższej wiedzy, mogąca się rozbić o przeszkody materyalne, liczyć może na zrozumienie i na pomoc; było też tarczą przeciw zgorżknięciu i opuszczeniu rąk w pracy; ostoją, która niejednemu zapewne nie tylko chwilowo, ale przez chwilową pomoc na całe życie uratowała wiarę i zaufanie do tych wyższych, szlachetniejszych celów, jakie sobie obrał, i utrzymała chęć do pracy nad ich urzeczywistnieniem. Wszelako, żeby nawet pominąć to, w czem Towarzystwo krzepiło ducha jednostek, a zapytać tylko, jaki przez działalność swoją przyniosło dorobek dla społeczeństwa, to zapewne i tutaj trzeba będzie mówić o jego zasługach osobnych. Ściśle i dokładnie obliczyć i określić ich nie zdołamy, bo trzebaby wiedzieć, ilu młodych ludzi stanęłoby wobec konieczności przerwania i porzuce-

nia studyów, gdyby w Towarzystwie nie byli znaleźli wsparcia w chwilach ciężkich — a wiemy, że statystyki takiej nie ma; ale gdyby była, to liczby jej w dziejach instytucyi trzebaby zapisać cyframi złotemi, bo to są ci, których ona dla społeczeństwa i narodu, dla zwiększenia warstwy jego inteligencyi, uratowała.

Oto, dla czego działalność Bratniej Pomocy, lubo tylko stowarzyszenia akademickiego, nie ogranicza się ściśle i wyłącznie do sfer młodzieży, ale w skutkach swoich sięga dalej i szerzej, a przeto na zrozumienie i uznanie ze strony społeczeństwa liczyć może i musi. Ale jeśli sam jej wynik jest rzeczą dodatnią i uznania godną, to tem większą pociechą napawać nas musi zjawisko, że jest stałym i trwałym; że dla tej pracy Towarzystwa znalazła się możność nie tylko jej rozpoczęcia, ale i jej kontynuowania przez okres czasu stosunkowo tak długi. Jeżeli samo założenie Bratniej Pomocy uważać można za szczęśliwy i pożądany przejaw szlachetnej myśli i zacnej dążności, to czterdzieści, a choćby tylko trzydzieści lat istnienia jej jest dowodem, że myśl sama jest żywotną, i żywotną praca, którą w jej urzeczywistnienie włożono. Po tych kilkudziesięciu latach wiernej służby obranemu hasłu — słuszna zatrzymać się na chwilę, rzucić okiem na ubiegłą przeszłość i rozważyć jej wyniki. Oto geneza i powód dzisiejszego obchodu; o którym jednak pamiętać trzeba, że się złożył nie dla ostentacyi, ani dla próżnej chwalby, jeno dla utwierdzenia starych węzłów koleżaństwa pomiędzy tymi, którzy niegdyś w Towarzystwie działali, a dla ukrzepienia ducha tych, którym dzisiaj przypadło lub na przyszłość przypadnie w niem i dla niego pracować.

Przed tablicą pamiątkową Szujskiego.

Przemówienie imieniem Uniwersytetu lwowskiego przy uroczystości odsłonięcia tablicy pamiątkowej Józefa Szujskiego w Collegium novum Uniwersytetu Jagiellońskiego r. 1896[1].

Uroczystość dzisiejsza daje powodów kilka, dla których Uniwersytet lwowski uważał sobie nie tylko za obowiązek, ale i potrzebę serca wziąć w niej udział przez swoich delegatów. Naprzód dla tego, że to uroczystość naszej siostrzycy, i starszej, i jedynej, jaką mamy, z którą nas łączy — mało powiedzieć — wspólność celów naukowych i wspólna dla nauki służba; ale więcej: odpowiedzialność łączna za tej nauki naszej rozwój, tak silnie tu ześrodkowana, ile że prócz tych dwu nie ma już gdzieindziej takich samych dla niej przybytków; a przeto taka spójna, że ten węzeł, jaki między nami zadzierżga, jest i być musi i mocny, i bliski bardzo, i taki co do swej treści istotny a prawdziwy. Dla tego ta chwila dla was uroczysta, jest uroczystą i dla nas, i nastrajając nas temi samemi, co i was uczuciami, rodzi potrzebę dania im wyrazu na zewnątrz.

A potem dla tego, że to uroczystość Szujskiego, którego nazwisko i działalność tak ściśle się związały z dziejami tej tu wszechnicy z ostatnich lat kilkudziesięciu, i rozkwitem nauk, jaki się w niej w tym czasie objawił. Czem był dla niej Szujski, wiadomo; ale

[1] Druk. w Kronice Uniwersytetu lwowskiego I. str. 60—61.

stwierdzić potrzeba, że ta cześć i żywa wdzięczność z powodu zasług tutaj położonych utrzymywały się dotąd w całej swojej pierwotnej sile, niezmniejszone i nieosłabłe, nie tylko w tych tu murach, gdzie mu działać przypadło, ale i u wszystkich, którym losy i rozwój naszej najstarszej skarbnicy wiedzy leżą na sercu.

A wreszcie dla tego, że to uroczystość nawet nie wyłącznie tylko uniwersytecka, ale i nauki polskiej, dla której Szujski, prócz własnej, znamienitej działalności naukowej, zasłużył się też przez to, że był organizatorem naukowej pracy, że dla innych prostował drogi, przysposabiał środki i wskazywał kierunki, stwierdzając odwieczną prawdę, że wielki umysł i duch potężny nie tylko sam tworzy, ale i twórczo przyszłość zapładnia.

Ma więc ta wszechnica słuszny powód wspominać z dumą pamięć męża i święcić uroczyście chwilę, w której składa hołd jego zasługom; bo to, czem się na kartach jej historyi zapisał, zostanie już na zawsze, i będzie tej historyi ozdobą trwałą. Z tem uczuciem zadowolenia krzyżuje się, co prawda, inne, żałosne: że ten, który, po ludzku biorąc, mógł tu być jeszcze pośród nas, ażeby roztaczać dalej skarby swej wiedzy i twórczości, już od lat kilkunastu działać przestał, i dzisiaj już nie on sam, ale tylko pamięć jego odbiera hołdy. Wszelako przyjmując rzecz, jak nią pokierowała Opatrzność, trudno nie dać wyrazu nasuwającemu się spostrzeżeniu, że to, choć przypadek, to przecież znamienny, iż ten, który w dziejach odrodzenia tego uniwersytetu tak wybitne zajął stanowisko, i jest jednym z duchowych twórców tej dzisiejszej, n o w e j Jagiellońskiej szkoły, jest też pier-

wszym, który w tem tu Collegium novum otrzymuje pamiątkową dla siebie tablicę. Niechaj w tem wolno będzie upatrywać najlepszą na przyszłość wróżbę: że, jak już i przedtem było tu wielu znamienitych, tak też i odtąd znajdą się zawsze liczni, godni zająć miejsce obok tamtych, a przedewszystkiem obok tego pierwszego, którego nazwisko tutaj wypisano. My z naszej strony przynosim wam życzenia, żeby na tę chwilę, w której dla tych najzasłużeńszych stawać już będą miały tablice, zawsze przyszło czekać najdłużej, a tych, którzy ich będą godni, było w tem gronie po wszystkie czasy najwięcej — na pożytek nauki polskiej, a na chwałę tej od wieków przesławnej Macierzy Jagiellońskiej.

Pamięci Czerkawskiego.

Przemówienie na pogrzebie dnia 23. września 1896 imieniem Uniwersytetu lwowskiego [1].

Stoimy nad zwłokami męża, przejęci serdecznym żalem — nie tylko my bliżsi, których łączył z nim węzeł zawodowego koleżaństwa w pracy naukowej i uniwersyteckiej, ale my wszyscy, którzy się czujemy synami tego kraju i społeczeństwa. Rozumiemy, że to strata, sięgająca znaczeniem daleko po za mury jednej instytucyi, odbijająca się żywem a bolesnem echem w sercach ogółu. Nie często schodzi do grobu człowiek, po którym tyle w spadku pozostałoby dla społeczeństwa, wśród którego żył, jak ten oto pracownik, którego obecnie żegnamy. A jednak wiemy, że choć działalność jego publiczna była wielostronna, to przecież to, czem się przedewszystkiem zasłużył — to była praca nad sprawami edukacyi narodowej w ogóle, a zwłaszcza także nad rozwojem naszego Uniwersytetu; i właśnie to, co zmarły w tym kierunku zdziałał, stanowi główny tytuł jego zasług publicznych. Jest więc racya, ażeby w tej chwili pożegnania z ciałem, która jest zarazem przypomnieniem i obrachunkiem działalności ducha, pamiętać o tem, co zdziałał dla wychowania publicznego w ogóle,

[1] Druk. w Gazecie Narodowej z 24 września 1896 nr. 266 i w Kronice Uniwersytetu lwowskiego I. str. 63—65.

i przypomnieć to, czem był dla Uniwersytetu lwowskiego.

W czasie, w którym obejmował katedrę uniwersytecką, miał już pół wieku życia i przeszło ćwierć wieku pracy publicznej za sobą. A wnosił już wtedy sławę wytrawnego pedagoga i organizatora szkolnictwa, i, żeby pozostać tylko przy rzeczy najważniejszej, twórcy ustawy o języku wykładowym w szkołach średnich i ludowych. Jakie znaczenie ustawa ta miała i po dziś dzień ma dla dalszego rozwoju edukacyi narodowej w naszym kraju, przypominać nie potrzeba; a choć wiadomo, że właściwy powód jej dojścia do skutku miał tło szersze i głębsze, to przecież szczególną wdzięczność zachować należy dla tego, który śmiało o nią w pierwszym szeregu walczył i myśli samej nadał odpowiednie kształty. Profesura uniwersytecka, choć sumiennie i z oddaniem się spełniana, nie przerwała poczętej przedtem działalności politycznej zmarłego, ani też nie umniejszyła jego żywego zajęcia się sprawami szkolnictwa w ogóle. Zdawało się, że zdwoił energię pracy, i wiemy, że pracował z całym wysiłkiem nawet wtedy, kiedy siły już ustawały; wiemy też, że na czas jego profesury przypadają lata najwydatniejszej pracy parlamentarnej i żywy jego współudział w dalszej organizacyi szkolnictwa krajowego.

Jakąż jednak była jego działalność w Uniwersytecie samym i dla Uniwersytetu? Więc naprzód działalność jego jako profesora: żyje po dziś dzień wielu z tych, którzy słuchali jego wykładów, i mogą wydać sąd o ich wartości; ale gdyby nie było tego świadectwa żywego, mógłby je zastąpić sam fakt, że Czerkawski pozostawił u c z n i ó w; a to jest najlepszy

dowód skutecznej działalności profesorskiej: bo świadczy naprzód, że ten, po którym pozostali uczniowie, miał wielką miłość dla nauki, skoro ją tchnąć i utrzymać potrafił u młodszych, a zarazem potrzebny zasób wiedzy i znajomości sposobów badania naukowego, skoro innym wskazał drogę dochodzenia tajników naukowych.

Ale ponad to wznoszą się zasługi Czerkawskiego około naszej wszechnicy ogólniejszej natury. W chwili, w której rozpoczynał zawód parlamentarny, roku 1866, Uniwersytet lwowski, choć zdawna pośród nas istniejący, był przecież czemś dla społeczeństwa naszego jakoby zupełnie obcem, instytucyą, sztuczny żywot wiodącą, bo nie narodową, w zasadzie niedostępną nauce polskiej i nieuczącą po polsku, w rozumieniu wielu, którzy na nim i po za nim działali, umyślnie stworzonym rozsadnikiem germanizacyi. Wielkie i doniosłe dla nas pytanie, kiedy się naprawdę otworzą wrota dla nauki polskiej, i kiedy młodzież znajdzie możność pobierania wyższego wykształcenia w języku ojczystym, musiało wprawdzie na razie umilknąć, jak długo trwał stary system; dopiero zmienione stosunki wewnętrznego życia państwowego pozwołiły je wysunąć naprzód. I tutaj godzi się przypomnieć, z wdzięcznością i uznaniem, że jednym z pierwszych, który sprawę tę poruszył — już na sejmie z r. 1867 — a później kilkakrotnie ją ponawiał, jeszcze zanim wszedł w skład Uniwersytetu, był ś. p. Czerkawski. Już potem, kiedy uzyskał katedrę, niemal równocześnie z chwilą, w której Uniwersytet nasz otrzymał charakter narodowy, spotykamy go zawsze jako jednego z pierwszych w szeregu tych, którzy z ostatkami pokutującej tu jeszcze przez pe-

wien czas niemieckości upartą toczyli walkę. W tym samym duchu działa też i w latach następnych: w Radzie Państwa daje należną odprawę przedwczesnym zapędom, zmierzającym do zwinięcia naszej wszechnicy, jego też inicyatywie parlamentarnej zawdzięczyć należy, iż spełnionem zostało długo żywione życzenie i zaspokojona istotna potrzeba naszego Uniwersytetu, przez ustanowienie w nim katedry historyi polskiej.

Ale ponad to wszystko góruje jego wytrwała, tak wytrwała, że aż uporna, przed żadną przeszkodą nie cofająca się, wielokrotnie ponawiana i rozlicznymi sposobami, więc w memoryałach od senatu, wnioskach sejmowych i w Radzie Państwa prowadzona akcya o uzupełnienie Uniwersytetu naszego wydziałem lekarskim; to też kiedykolwiek jest mowa o intelektualnem ojcowstwie tej pierwszorzędnej zdobyczy naszej wszechnicy, trzeba będzie przytem wspominać zawsze imię Czerkawskiego. Można to uważać za szczególną nagrodę Opatrzności, że mu dozwoliła dożyć chwili, w której myśl jego przybrała rzeczywiste kształty.

Oto, co przypomnieć należało z najważniejszych zasług Czerkawskiego około naszego Uniwersytetu. My je mamy zapisane w szczerze wdzięcznej pamięci, i dla tego żegnamy z czcią i boleścią w sercu śmiertelne szczątki jednego z najbardziej zasłużonych synów tej wszechnicy. Ale byłoby błędem, jego zasługi tutaj położone rozważać i oceniać w oderwaniu: naprawdę były one tylko częścią większej całości, i to taką, która z innemi łączy się organicznie. Trzeba zestawić fakty i pamiętać o tem, że praca organizacyjna zmarłego obejmowała tak dobrze uniwersytet, jakoteż inne szkoły niższe, jak niemniej, że w mniej-

szym lub większym stopniu, jak na to stosunki pozwoliły, przyłożył rękę do przetworzenia wszystkich naszych szkół w zakłady naukowe o charakterze narodowym. Widnieje w tem myśl szeroka, ogólna i jednolita, a przeto wielka, która rozważona w całości, daje pojęcie, jak głęboko sięgnąć musiała działalność Czerkawskiego w organizm naszego szkolnictwa. Że zaś była rozumną i uczciwą, i z dobrej woli płynęła, przeto ma za nagrodę nie tylko trwałą, pięknie zapisaną kartę w historyi tegoż szkolnictwa, ale więcej: wynik istotny i żywy, w skutki obfity, społeczeństwu użyteczny: najlepszy pomnik, jaki stanąć może dla jakiejkolwiek działalności publicznej. Komu pod takim pomnikiem przyjdzie głowę złożyć, ten może się spokojnie układać do snu wiecznego.

Kultura słowiańska i germańska.

List otwarty do dra Teodora Mommsena, profesora uniwersytetu berlińskiego, z powodu jego odezwy: „An die Deutschen in Oesterreich“, umieszczonej w „Neue Freie Presse“ z 31 października 1897 nr. 11923 [1].

Raum für alle hat die Erde.
Schiller.

Jaśnie Wielmożny Panie!

Wypowiedziałeś Pan doniosłe słowa. Pokąd z ław wzburzonego parlamentu padały obelżywe przeciw Słowianom wyrazy o ich „niższej wartości“, można je było zbyć krótkiem: *Guarda e passa*, bo się nie zrodziły ani z zastanowienia, ani ze znajomości rzeczy, a jedynym ich argumentem i poparciem była piana na ustach mowców i bicie w pulpity. Ale obecnie rzecz się zmieniła. W tej samej sprawie zabiera głos mąż nauki, który pracami swemi zdobył sobie rozgłos w Europie, którego zdanie, jeśli w rozgrywającym się sporze politycznym ma mieć jakie znaczenie, to chyba przez to, że się wspiera na jego powadze

[1] Druk. w Słowie polskiem z 20 listopada 1897 nr. 272 i osobno p. t.: List otwarty do dra Teodora Mommsena, Lwów, 1897, str. 28; toż w tłómaczeniu niemieckiem: Offenes Schreiben an Dr. Theodor Mommsen, Lwów 1897, str. 16, i w tłómaczeniu czeskiem Pawła Papacka: Otevreny list dru Theodoru Mommsenovi, Praha 1898, str. 13.

naukowej, o którym przypuszczać winniśmy, że go praca całego życia zaprawiła dążnością szukania i głoszenia prawdy. Odzywa się mąż, który wykazał, że umie się wznieść ponad małostkowe uprzedzenia narodowościowe, kiedy w najbliższym czasie po ukończeniu wojny z r. 1870—71 tak usilnie i skwapliwie starał się o nawiązanie stosunków naukowych z Akademią francuską. Głos jego idzie dalej i rozbrzmiewa donośniej, niż głosy pospolitych szowinistów politycznych; świat, który naukę czci w jej przedstawicielach, uważając ich za głosicieli prawdy, skłonny jest dać wiarę twierdzeniom, jakie z ust ich padają.

Surowe to słowa, jakie Pan wypowiedziałeś; surowsze od tych, na jakie się odważyli rozbijający pulpity mężowie stanu. Nie ma tu już mowy o „niższej wartości“ Słowian; nazwałeś ich Pan wprost „apostołami barbarzyństwa, którzy niemiecką pracę półtysiąca lat pogrzebać pragną w przepaściach swojej dzikości“. Nie było dotąd historyka, któryby twierdzenie takie, nie powiem, udowodnił, ale chociażby tylko gołosłownie poważył się wypowiedzieć. Musimy przypuszczać, żeś Pan rozmyślał nad słowami, które tak łatwo wypłynęły z pod Twego pióra, musimy oczekiwać, że podejmiesz przynajmniej usiłowania, aby je uzasadnić. Pójdziesz Pan zapewne za zdaniem jednego z najszlachetniejszych swoich ziomków, Roepella, który w panteonie historyografii niemieckiej godne obok Pana pod względem naukowym zajmuje miejsce, a który powiedział: „Nie łatwo nam Niemcom pojąć i ocenić przedmiotowo narodowego ducha Słowian; ale prostem jego zaprzeczaniem, bezwzględnem jego potępianiem, jak się to za naszych czasów zbyt często dzieje, z pewnością nie dotrzemy do se-

dna rzeczy". Oczekujemy dowodów. Wymaga tego Pańska powaga naukowa, wymaga tego Pański siwy włos, który zbielał w pracy nad szukaniem prawdy; wymaga tego Pańska godność człowiecza, która, żądając szacunku dla siebie, nie powinna targać nikogo bez uzasadnionej i wykazanej podstawy.

Zanim Pan dowód ten przeprowadzisz, pozwól, że ja z mojej strony zwrócę uwagę na kilka objawów, których w sprawie tej nie należy spuszczać z uwagi.

Słowianie, o których Panu chodzi, którzy w Austryi zaprowadzić mają panowanie barbarzyństwa i ciemnoty, to są w przeważnej części wielkie odłamy Słowiańszczyzny zachodniej, przedewszystkiem Czesi i Polacy; a nawet ci ze Słowian południowych, którzy w skład monarchii wchodzą, należą w przeważnej części, od całego szeregu wieków, do koła cywilizacyi zachodniej. O tych to ludach słowiańskich mówić tu chcę wyłącznie, dla uproszczenia rzeczy; a sądzę, że i Pan zgodzisz się na to ograniczenie, skoro w liście swoim tych tylko Słowian miałeś na myśli.

Słowianie ci, wszyscy bez wyjątku, byli niegdyś barbarzyńcami. Byli nimi w zaraniu swych dziejów, u progu wystąpienia w historyi. Byli nimi — Pan wiesz to najlepiej — w pewnym okresie czasu także i Germanie. Za czasów Cezara i Tacyta są oni barbarzyńcami; są nimi w czasie wędrówek narodów; zwycięstwo Arminiusa nad legionami rzymskimi było zwycięstwem barbarzyństwa nad światem cywilizowanym, który w stare germańskie gaje, wraz z swoją przewagą orężną i państwową, chciał nieść także kulturę; rozbicie państwa rzymskiego przez napływające plemiona germańskie było tak samo chwilową przewagą barbarzyństwa nad tem wszystkiem, co starożytny

świat wytworzył z siebie pod względem cywilizacyjnym. A jednak owe zwycięstwa barbarzyńskich Germanów, owo założenie ich państw na gruzach wszechświatowego imperyum, zaliczają nie tylko Niemcy, ale w ogóle cała historyografia do najdonioślejszych wypadków w dziejach ludzkości. I słuszna: bo młode, żywotne, pełne siły plemiona germańskie zluzowały rozpadające się wewnętrznie społeczeństwo i państwo starożytne, i przejąwszy odeń jego wysoką kulturę, zapewniły jej dalszy byt i dalszy rozwój. O półtysiąca lat później poczynają i Słowianie wychodzić z pierwotnego stanu dzikości, wstępują w koło ludów cywilizowanych. Ich udział w kulturalnej pracy ludzkości jest zatem późniejszy, aniżeli u Niemców; wątpić jednakże należy, żeby sprawiedliwy sąd historyka miał w tem cokolwiek do wytknięcia, podobnie jak nikt nie może winić Niemców, ani też obniżać wartości ich pracy cywilizacyjnej z tego powodu, że jej nie objęli zaraz w spadku po Grekach, uprzedzając w tem Rzymian. Taki, a nie inny porządek ewolucyi dziejowej niosły ze sobą siły wyższe, powiedziałbym elementarne, od woli szczepów niezawisłe.

Pytanie, które sobie postawić musi prawdziwy historyk i nieuprzedzony sędzia, jest raczej to, czy Słowianie, rozpocząwszy raz pracę cywilizacyjną, prowadzić ją byli zdolni i skłonni, i czy ją rzeczywiście ze skutkiem prowadzili. Nie mam zamiaru poruszać kwestyi, jaki charakter kultura ich przybrać miała; czy miała to być kultura wschodnia, zapośredniczona przez Bizancyum, czy zachodnia, jaka szła z Rzymu, i jakiej służyli także Niemcy. Gdybyś Pan miał możność dokładniejszego zaznajomienia się z współcze-

sną literaturą, jaka się pojawia poza wschodnią ścianą dzisiejszego państwa niemieckiego, mógłbyś Pan naczytać się niemało o wyższości owej kultury wschodnio-bizantyńskiej nad zachodnią. Może znalazłbyś Pan w niejednem sposobność do polemiki z tego powodu; w tej mierze miałbyś mnie Pan niewątpliwie po swojej stronie. Było wielkiem szczęściem zachodniego odłamu Słowiańszczyzny, że mógł korzystać bezpośrednio z owoców cywilizacyi zachodniej, i w pracy nad jej utrwaleniem i rozszerzeniem czynny wziąć udział; bo w cywilizacyi tej złożony jest w całości i w obfitszej mierze, niż gdzieindziej, dorobek kulturalny świata i całej ludzkości. Spór o wyższość jednej lub drugiej kultury jest zresztą w tym wypadku bezprzedmiotowy, bo Słowianie, których Pan masz na myśli, wchodzą w koło cywilizacyi zachodniej; możemy więc obaj, zgodni w zasadniczej kwestyi, przystąpić do dalszych szczegółów.

Elementy zewnętrzne, które się na cywilizacyą Słowian zachodnich złożyły, były dwa: chrześcijaństwo i świecka kultura zachodnia. Nasza słowiańska cywilizacya nie jest zatem na wskróś samorodną, wsiąknęły w nią w pewnej mierze czynniki obce, choć nie wyłącznie, i nie niewolniczo przejęte; jako czynnik trzeci działał geniusz narodowy, który je odpowiednio do swych potrzeb i właściwości przetwarzał i w organiczną całość spajał. Taki sam początek i charakter ma też i cywilizacya Niemców; i na nią złożyło się chrześcijaństwo i świecka kultura zachodnia, jaką w chwili wystąpienia swego na widownię dziejową zastali, przetwarzając ją potem na swoją narodową modłę. Oba szczepy nie są tedy twórcami żadnej na wskroś samorodnej kultury; oba

rozpoczynały pracę swoją kapitałem przeważnie pożyczonym, i wątpić należy, żeby którykolwiek z nich mógł sobie pod tym względem rościć prawo do wyższości. Różnica zachodziła tylko w tem, że Niemcy korzystali wprost z cywilizacyi starożytnej, my zaś nadto jeszcze z tego, w czem oni ją dalej rozwinęli. Mogą sobie Niemcy rościć z tego powodu prawo do wdzięczności u Słowian, i my im jej odmawiać nie chcemy; niechże jednak w tym razie postępują konsekwentnie, i nie zarzucają nam braku kultury; bo zarzut ten byłby wtedy właśnie usprawiedliwiony, gdybyśmy z dawniejszego dorobku cywilizacyjnego, jaki zastaliśmy, występując w historyi, korzystać nie byli chcieli i umieli.

Co było z początku, to powtarzało się i później; w wielu kierunkach przyszło nam w dalszym naszym rozwoju, aż po dzień dzisiejszy, czerpać z zasobu kultury niemieckiej, choć już nie wyłącznie z niej samej; bo tymczasem rozwinęły się także potężne cywilizacye romańskie, które nam również nie pozostały obcemi. Ale nieinaczej było także i w Niemczech samych. Rozwój życia miejskiego, który tak ważną tu odegrał rolę pod względem gospodarczym i społecznym, a w następstwach swoich także pod względem intellektualnym, oparł się, jak wiadomo, na wzorach lombardzkich; wielkie odrodzenie duchowe narodu, dokonane pod koniec wieków średnich i w początkach czasów nowszych, przyniosło ze sobą studyum dawnych i nowoodkrytych skarbów literatury i sztuki starożytnej; a i ono nie urodziło się w Niemczech samych, tylko przyszło tu z Włoch. W dwu przedostatnich stuleciach nie tylko książątka niemieckie wzorowały swe dwory na przykładzie francuskim, ale

i literatura niemiecka, która w w. XVII nie miała Molièra i Corneilla, a i w XVIII nie potrafi się wykazać Wolterem i Monsteskiuszem, czerpała z Francyi wiele soków żywotnych. Wiadomo Panu, jakie o tem zapatrywania głosił Fryderyk II. Na polu kultury materyalnej, żeby poprzestać na jednym tylko przykładzie, wystarczy przypomnieć, jak niedoścignionym wzorem przez długie czasy, a po części do dziś dnia, pozostał dla Niemców przemysł artystyczny francuski, i wiele mu oni mają do zawdzięczenia, że przemysł ten obecnie zdołał się u nich lepiej rozwinąć. Pragnąłbym zobaczyć minę Niemca, jakąby nastroił, gdyby dziś z tego powodu jakiś Włoch lub Francuz rzucił w twarz jego narodowi: nie powiem już, zarzut braku kultury, ale chociażby tylko jego „niższej wartości“ cywilizacyjnej.

Jak ocenić, czy Słowianie zachodni brali udział w rozwoju kulturalnym, i czy w ogóle byli doń zdolni? Pozwól mi Pan przypomnieć kilka faktów. Oto jeden bardzo charakterystyczny: że dwa pierwsze uniwersytety, jakie w ogóle w Europie środkowej powstały, przypadają: jeden na Pragę, drugi na Kraków; stają one w stolicach dwu państw Słowiańszczyzny zachodniej. O uniwersytecie praskim mówi się wprawdzie pospolicie, że był pierwszym uniwersytetem niemieckim; o ile nim był w wiekach średnich, należałoby jeszcze udowodnić. Nauka miała podówczas charakter na wskróś kosmopolityczny. Profesorami byli zarówno Niemcy, jak Czesi, jak zresztą także Włosi i Francuzi; nie sami tedy Niemcy nieśli tu kaganiec oświaty. Założył uniwersytet władca, który wprawdzie był obranym królem rzymskim, ale zarazem także dziedzicznym królem czeskim, i który interesu Czech nie pod-

porządkowywał interesom Niemiec, tak, że go nawet dowcipnie nazwano „ojcem narodu czeskiego, arcyojczymem świętego rzymskiego imperyum niemieckiego narodu“. Czeski charakter wszechnicy zarysowuje się tak dosadnie w początkach wieku XV, że niemieccy profesorowie i studenci opuszczają ją gromadnie. Największą postacią, która w dziejach tej wszechnicy w wiekach średnich wynosi się daleko ponad przeciętną przeważnie rzeszę profesorów, jest osoba o słowiańskiem nazwisku i słowiańskiego pochodzenia — mistrz Jan Hus. Idźmy dalej. W w. XV pisze w Polsce wielką swoję historyą Długosz, a choć wiele mu jeszcze, na sposób ówczesny, przypadło bajać o pierwotnych dziejach swego narodu, choć w przedstawieniu stosunków współczesnych okazał się mężem stronnictwa, to jednak całem ujęciem przedmiotu i szerokim poglądem na istotę spraw dziejowych wybiegł bardzo daleko poza ograniczone stanowisko współczesnych kronikarzy środkowej Europy. Niemcy znaleźliby się w niemałym kłopocie, gdyby im przyszło wymienić kogoś z średniowiecznych swoich kronikarzy, któryby mógł zająć godne obok Długosza miejsce. W wieku XVI wysuwa się w Polsce na widnokrąg całej Europy wielki, błyszczący geniusz Kopernika; trzeba też przypomnieć, że Kopernik uczył się astronomii na uniwersytecie polskim, pod kierunkiem wytrawnego polskiego profesora. Obok niego, w temże samem stuleciu, błyszczy nazwisko wielkiego statysty Modrzewskiego i wielkiego poety Kochanowskiego. W wieku XVII dostarczają Czechy głośnego na cały świat cywilizowany reformatora edukacyi, Komenskiego. W stuleciu bieżącem, zachodnie ludy słowiańskie mają do wykazania w nauce nazwiska Palac-

kiego, Szafarzyka, Śniadeckiego, Szujskiego i Kalinki, w poezyi nazwiska Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Nerudy, Halka, Vrchlickiego, Sienkiewicza; w innych działach sztuki: Brożika, Grottgera, Matejki, Siemiradzkiego i Chopina. Nie są to wszyscy, którychby tu wymienić można; ale wystarczą zapewne już ci, których przytoczyłem, kilka tak potężnych, że niejedna wielkość, która prawi o braku kultury u Słowian, powinnaby wobec nich zatrzymać się z szacunkiem w przyzwoitem oddaleniu. Narody, roszczące sobie monopol kultury i cywilizacyi, stawiałyby ich niewątpliwie w szeregu swoich najzasłużeńszych, gdyby miały szczęście zaliczać ich do swego grona. Z szczególnym naciskiem podnieść należy, że ci wielcy pionierowie cywilizacyi, nie tylko słowiańskiej, ale i europejskiej, występują w tak pokaźnej liczbie w ostatniem stuleciu, w czasie, kiedy rozwój narodowy Słowian zachodnich z tak ciężkiemi miał walczyć przeszkodami zewsząd, i po dziś dzień jeszcze walczy z niemi w przeważnej części. Popęd i zdolność cywilizacyjna tych narodów musiały i muszą być zaiste wielkie i niespożyte, jeżeli mimo wszystkie te przeszkody mogą się wykazać takim dorobkiem kulturalnym. Bądź co bądź, zarówno ci nowsi, jak i wszyscy dawniejsi, składają w obliczu historyi świadectwo, że ich narody są narodami cywilizowanymi, i są żywym protestem przeciw niedowarzonym zarzutom barbarzyństwa; barbarzyństwo nie byłoby mogło wytworzyć z siebie tego, co oni wnieśli do skarbca cywilizacyi ludzkości.

Pozwól Pan, że tym razem sięgnę poza sferę Słowian zachodnich, do wielkiego odłamu Słowiańszczyzny wschodniej. I Rosyanie mają swojego Puszkina i Tołstoja, swojego Wereszczagina. Słowiański duch

wytworzył widocznie tyle siły cywilizacyjnej w sobie, że nawet bez tak silnego oddziaływania kultury zachodniej, jak gdzieindziej, wykazać może pokaźny dorobek cywilizacyjny. Na tronie rosyjskim w początkach tego stulecia zasiadał monarcha szlachetnego serca i szerokiego, zachodniego poglądu na świat; któż chciałby twierdzić, że to będzie ostatni w tem państwie władca tego pokroju? Mimo wszystko, co w Rosyi mówią, i przeciw czemu walczą zwolennicy t. z. partyi starorosyjskiej, nie pozostała Rosya obcą wpływom kultury zachodniej; od czasów Piotra I. wsiąka ona tu coraz bardziej i coraz widoczniej, w czasach nowszych z niepowstrzymanym pędem; i nie można dziś przesądzać, czy po upływie jednego lub kilku stuleci jakiś przyszły historyk nie będzie miał do rozstrzygnięcia pytania, azali Rosyą zaliczać jeszcze do państw kultury wschodniej, czy też już zachodniej. Prawda, że na ocenę stanowiska ludów narodowości nierosyjskiej wpływają tam jeszcze w wielkiej mierze poglądy wschodnie; ale w tem, zdaje się, nie tkwi wyłączna właściwość tamtejszej kultury, bo takie samo postępowanie nie jest też obcem i państwom zachodnim, które roszczą sobie pretensyą do przewodnictwa w cywilizacyi.

Wracając do ludów zachodnio-słowiańskich, zaznaczam, że nie mam bynajmniej zamiaru ukrywać ujemnych stron ich rozwoju dziejowego. Jako takie strony ujemne przedstawia się, czasem z przesadnym naciskiem, stosunki ich życia społecznego i państwowego, przewagę stanów wyższych, ucisk i poniewieranie stanów niższych, rozluźnienie silnej władzy państwowej, niezdolność utrzymania potężnego organizmu politycznego. Przyznaję, że i to się zdarzało w pe-

wnych okresach czasu. Ale ubliżyłbym Panu, jako wytrawnemu historykowi, gdybym tu chciał tłómaczyć szeroko, że w życiu każdego narodu, który około cywilizacyi położył zasługi, i który je w przyszłości jeszcze położyć może, zajść mogą stany osłabienia, nawet chwilowego upadku, który niekoniecznie jest upadkiem stanowczym, po którym przyjść może odrodzenie, okres nowego rozkwitu. Nie chciałbym Mu też tłómaczyć, że wiele z tych ujemnych objawów nie jest też szczególną właściwością narodów słowiańskich, że powtarzają się one gdzieindziej, u ludów, stojących na czele cywilizacyi. Przewaga stanów wyższych złamana została w Europie dopiero przez wielką rewolucyą, w czasie, kiedy Czechy już od trzech prawie wieków przestały być państwem na wskróś samoistnem, a równocześnie z chwilą, kiedy rozbierano Polskę. Poddaństwo osobiste znoszono w niektórych krajach pod panowaniem niemieckiem dopiero pod koniec wieku XVIII, znowuż w tym czasie, kiedy Polska upadała jako państwo; a i ona jeszcze w Konstytucyi Trzeciego Maja obwieściła nieścieśnioną niczem wolność osobistą wszystkich obywateli państwa. Ale nie było żadnego władcy w Czechach lub w Polsce, którýby, sprzedając mięso ludzkie, wynajmował obcym potęgom, za pieniądze, całe oddziały swojego wojska, jak się to zdarzało u niektórych książąt niemieckich jeszcze pod koniec zeszłego stulecia. Miejski, niemiecki żywioł w Polsce używał swego języka ojczystego jako urzędowego tak długo, pokąd tego chciał; kiedy go zmienił na język polski, stało się to z dobrej woli, bez ustawy, któraby go do tego zmuszała, bez przymusu ze strony Polaków. Dzieci Niemców uczyły się w szkołach niższych po niemiecku; języka ich nie

usuwano systematycznie z planu nauk. Osławione *liberum veto*, zrywanie sejmów przez mniejszość, zostało przez samych Polaków częściowo ograniczone w r. 1768, a zupełnie zniesione w r. 1791, i nie ma dzisiaj Polaka, któryby go nie potępiał; oto jednak pod sam koniec XIX stulecia wznawiają go w całym jego nagim kształcie ci, którzy głoszą teoryą o niższej wartości cywilizacyjnej Słowian.

Słowianie ci, nie tylko że pracowali nad rozwojem kultury u siebie; bronili oni jej także z orężem w ręku przed naporem wschodu, nadstawiali za nią swą pierś, kiedy tego wymagała potrzeba. Na polach Lignicy książę polski położył głowę, usiłując wstrzymać nawałę tatarską, która nie tylko jego krajowi, ale i całej środkowej Europie groziła. R. 1683, król polski, dając odsiecz zagrożonemu przez Turków Wiedniowi, spełnił dostojnie swój obowiązek wobec kultury zachodniej. Od wieku XIV do XVII Polska, w ustawicznych, ciągle odnawiających się walkach z Tatarami i Turkami, przeżyła na wschodnich kresach całą epopeję rycerską, nie zaznawszy ani razu pomocy ze strony świata zachodniego, który jednak chętnie i obficie wysyłał posiłki Zakonowi niemieckiemu, kiedy tenże walczył z Polską. O czynach, spełnionych w tych wielkich, czterowiekowych zapasach Rzeczypospolitej polskiej z wschodniem barbarzyństwem, nie świadczą żadne napisy; gdyby były pozostały, możnaby z nich ułożyć pokaźne *Corpus inscriptionum*, które w niejednem dałoby historykowi więcej do myślenia, aniżeli ten lub ów nowo odszukany napis rzymski, dozwalający ustalić wątpliwą datę rządów pewnego konsula.

Ale co większa, Słowianie zachodni nieśli ochoczo kulturę zachodnią na przestrzenie, które jej poprze-

dnio były obcemi: świadomi wielkiego jej znaczenia, świadomi zadań i obowiązków, jakie przyjęli na siebie, wstępując w koło cywilizacyi zachodniej. Pogańska Polska otrzymała chrześcijaństwo za pośrednictwem Czech; syn pierwszego chrześcijańskiego władcy polskiego, Bolesław Chrobry, popierał, jeszcze pod koniec przeszłego tysiąclecia, rozszerzenie chrześcijaństwa u pogańskich Prusaków, znalazłszy gorliwego wykonawcę swych myśli w osobie świątobliwego biskupa czeskiego, potomka książęcego rodu słowiańskiego. Za sprawą Bolesława Krzywoustego przedsiębierze Otton bamberski apostolskie wyprawy na Pomorze, które odtąd pozyskane zostaje dla chrześcijaństwa i kultury zachodniej. Kiedy Niemcy i Romani w wyprawach krzyżowych walczyli o grób Zbawiciela, książęta polscy przedsiębrali wyprawy krzyżowe na Prusaków, ażeby ich nawrócić na chrześcijaństwo; jeden z nich położył głowę w tych walkach. Dla ostatecznego schrystyanizowania tego ludu Konrad mazowiecki nie wahał się ustąpić przywołanemu Zakonowi niemieckiemu pokaźnej części swych dziedzin, nie przypuszczając nawet, że potęga, która z ramienia Polski miała szerzyć chrześcijaństwo i kulturę zachodnią pośród pogan, zwróci się potem przeciw samej Polsce. Wreszcie, pod koniec wieku XIV, zdobywa Polska dla cywilizacyi zachodniej, nie orężem i przemocą, ale przez dobrowolne połączenie, wielkie przestrzenie Litwy i znaczną część krajów ruskich, obszarem swym nie o wiele mniejsze od całego państwa niemieckiego; i tutaj pracę swą cywilizacyjną prowadzi przez cały szereg wieków. Olbrzymie to zadanie osłabiło ją po części na wewnątrz, i wywołało groźny, zasadniczy antagonizm świata wschodniego, który

ją przyprawił ostatecznie o upadek polityczny; bądź co bądź, spełniła ona swoje zadanie wobec kultury zachodniej, i spełniła je nie bez trwałych skutków, których wszystkie zapędy przeciwne dotychczas usunąć nie zdołały.

Warunki zewnętrzne, wśród których rozpoczynali pracę cywilizacyjną Germanie z jednej, a Słowianie z drugiej strony, były zgoła odmienne. W czasie, w którym powstawały młode państwa germańskie, waliła się spróchniała budowa starego imperyum rzymskiego; bezpośredni jego spadkobierca, cesarstwo wschodnio-rzymskie, było za słabe, ażeby wystąpić do jakiejś poważniejszej akcyi. Już na polach Adryanopołu pokonali je barbarzyńscy Wizygoci, a późniejsze zwycięstwa Belizaryusza i Narsesa odniosły tylko chwilowy skutek. Starożytna kultura, która zapłodniła cywilizacyą niemiecką, nie miała przedstawiciela w jakiejś większej, silniejszej organizacyi państwowej, która, powołując się na wyższość swojej cywilizacyi, byłaby stąd chciała zarazem wyciągnąć korzyści w kierunku przewagi państwowej i narodowej. Germanie, choć początkujący, stanęli od razu sami, niekrępowani przez nikogo, niepodciągani pod żadną cudzą opiekę; mogli swobodnie, bez żadnych przeszkód, rozwijać kulturę, i przez pewien czas rozwijali ją rzeczywiście sami. To było ich szczęście, ale nie ich zasługa. Słowianie, kiedy poczęli swą pracę cywilizacyjną, znajdowali się w zgoła odmiennem położeniu. Nie budowali oni na gruzach dawniejszego porządku rzeczy: w starych swoich dziedzinach, które zasiedlili od prawieku, lub innych, które zajęli po dobrowolnem wyjściu Germanów, chcieli się wprząc — i wprzęgli się — w koło cywilizacyi zachodniej; obok nich istniał

i istnieje po dziś dzień potężny, kulturalny naród niemiecki, mający za sobą dłuższą od nich przeszłość cywilizacyjną. Powstały — nie powiem: dwie cywilizacye odmienne, bo jedna i druga wspierają się na tych samych podstawach; ale dwa osobne ogniska cywilizacyjne,ześrodkowujące około siebie pracę każdego szczepu. „Starszy brat“ chciał jednak skupić wszystko w jednem ognisku, i dla tego rozciągnął od razu opiekę nad młodszym, postanowił wciągnąć go w zakres swojego wpływu, a o ile się dało, podbić i wcielić do swoich dziedzin, nie przebierając, jak wiadomo, w środkach. Formalnie może tu kto zechce usprawiedliwić Niemców, o ile chodzi o te plemiona słowiańskie, które, jak n. p. Słowianie połabscy, trzymały się upornie pogaństwa, gdyż pogaństwo było negacyą kultury; trzeba ją było tedy szerzyć przemocą. Ale co sądzić o zapędach Niemców wobec tych narodów słowiańskich, które, przyjąwszy chrześcijaństwo i elementy kultury zachodniej, otwarcie do łączności z nią się przyznały i pracować dla niej postanowiły? I tym nie chcieli Niemcy przepuścić. Czeski Wacław I., który za sprawę chrześcijaństwa i zachodniej kultury dał życie, zmuszony został pierwszy nawiązać trwały stosunek zawisłości wobec Rzeszy; polski Bolesław Chrobry, który nawracał Prusaków i pomagał Niemcom w podboju pogańskich Słowian nadłabskich, musiał toczyć długą i zaciętą walkę z państwem niemieckiem, ażeby narodowi swemu zapewnić niepodległość. Czy te ludy słowiańskie, dla swej młodszości, nie były zdolne pracować same, bez opieki? Wszakże Germanie tak samo zrazu, z stanu barbarzyństwa wychodząc, odbywali primicye cywilizacyjnej pracy bez obcej pomocy; a wątpić należy,

czy byliby się zgodzili na cudzą opiekę, gdyby im ją kto był chciał narzucić. A przecież i bez tej opieki zdołali wytworzyć wielką kulturę. Może więc Słowianie w ogóle nie mieli zdolności pracować w tym kierunku? Widzieliśmy, że jednak potrafili; i szczególnej uwagi godną jest rzeczą, że właśnie te narody, które nie przeszły wcale w poddaństwo Niemiec, i albo tylko w luźnym na wskróś, na wewnętrzną ich samodzielność zgoła niewpływającym stosunku zawisłości do Rzeszy zostawały, jak Czesi, albo też już rychło, jak Polska, wybiły się z pod wszelkiej wobec niej zależności, posunęły swoję kulturę najdalej i najwyżej; podczas gdy inne plemiona, które używały dobrodziejstw panowania niemieckiego, jak Sorbowie, kulturę swoję słabo tylko rozwinąć zdołały. Opieka i przewaga niemiecka była zatem zbędną i niepowołaną; a jeśli chodzi o wynik pracy cywilizacyjnej, obojętną, ta bowiem byłaby się dokonała i bez niej, a byłaby się może nawet dokonała lepiej. Samo starszeństwo cywilizacyjne Niemców nie dawało im również moralnego prawa do supremacyi. Kiedy Rzym podbijał Achaję, nie liczył się bynajmniej z tem, że z Grecyi wziął w przeważnej części zasoby swojej cywilizacyi; mnie zaś w dziele Pańskiem, które na każdym kroku sławi bezwzględną, zaborczą politykę rzymską, nie udało się bynajmniej odszukać jakiegokolwiek protestu przeciw takiemu obrotowi rzeczy. Kiedy Germanie, burząc państwo rzymskie, zakładali tam swoje siedziby, wyższość i starszeństwo cywilizacyjne świata starożytnego były dla nich rzeczą zgoła obojętną; przypomniałem też już, że kiedy wschodnie cesarstwo usiłowało zapewnić sobie przewagę nad nimi, sprzeciwili się temu uroszczeniu i z bronią w ręku odparli

mężnie jego zapędy. Trzeba mierzyć równą miarką dla wszystkich, szczególnie, kiedy się jest historykiem. Dorobek cywilizacyjny pewnego narodu nie jest wyłączną jego własnością; to, w czem ten naród, jako część ludzkości, posunął kulturę naprzód, jest dobrem wspólnem i zyskiem całej ludzkości, i cała ludzkość ma prawo zeń korzystać, podobnie jak on sam korzystał z dawniejszych dorobków cywilizacyjnych. Mieli więc Słowianie prawo spożytkować to, w czem przed nimi zasłużyli się Niemcy około postępu cywilizacyi; nie byliby oni tu zaprzeczali ich ojcowstwa i autorstwa, nie mieli zamiaru stroić się w cudze pióra, a gdyby go nawet byli mieli, historya byłaby im w tem kłam zadała i zasługi Niemców uratowała. Ale nie było w tem tytułu do przewagi Niemców, państwowej i plemiennej, nad Słowianami.

Czy zresztą w istocie w tem dążeniu Niemców do supremacyi odgrywały rozstrzygającą rolę względy kulturalne? Oto naprzód szczegół drobny, ale bardzo charakterystyczny, a chyba niepodlegający wątpliwości, bo przez niemieckiego kronikarza poświadczony. Kiedy część Słowian nadłabskich, pokonana orężem przez Niemców, przyjęła wraz z chrześcijaństwem poddaństwo państwowe wobec nich, i zdawało się, że na przyszłość wszystko już pójdzie po myśli cywilizatorów, stało się nagle, iż szczep ten odpadł od chrześcijaństwa, które w pojęciu swem łączył z poddaństwem niemieckiem, a odpadł dla tego, że mu się bardzo we znaki dała chciwość *(avaritia)* Sasów. Widzimy, że cywilizatorowie, obok wielkich zadań kulturalnych, mieli tu także swoje uboczne cele, i zaprawdę nie chowali ich pod korcem. Ale bez porównania ważniejszym i bardziej pouczającym jest szereg innych

faktów, wykazujących, że w czasie, kiedy Słowianie znacznie już naprzód postąpili w cywilizacyi, i z całą stanowczością idee zachodnie nieść chcieli na wschód, służąc tej samej wielkiej myśli, której wiernymi wykonawcami przedstawiają się zawsze Niemcy — ci sami Niemcy nie tylko im w tem nie pomagali, ale wielokrotnie stawiali przeszkody w drodze. Kiedy Jagiełło przedsięwziął apostolską wyprawę na Litwę, ażeby tamtejszy naród, dopiero co połączony z Polską, nawrócić do chrześcijaństwa, Zakon krzyżacki, nieposiadający się ze złości, że mu się wymknęła z ręki ta dawno upragniona zdobycz, przedsiębierze wyprawę wojenną na Litwę, w sojuszu z dwoma schizmatyckimi książętami ruskimi. On to, razem z królem rzymskim Zygmuntem, podnieca Witołda i popiera go najgorliwiej w usiłowaniach o nabycie korony króla litewskiego i zupełnego oderwania krajów litewsko-ruskich od Polski, nie troszcząc się o to, że tym sposobem wpływ kultury zachodniej zostałby tu zniweczony, i w krajach tych zapanowałaby znowu niepodzielnie kultura wschodnia. Kiedy w najbliższym czasie potem żywioły, ciążące ku wschodowi, w obronie zagrożonej swojej kultury wschodniej, podniosły bunt przeciw Polsce pod wodzą Świdrygiełły, wtedy to Zakon krzyżacki udzielił im znowu moralnego i materyalnego poparcia, a zakon inflancki posiłkował je zbrojnie. W ostatniej, wielkiej walce, którą Polska podjęła przeciw wschodniemu carstwu moskiewskiemu, ażeby nie tylko rozszerzyć granice państwa, ale zarazem w nabytych krajach zapewnić przewagę kulturze zachodniej, w walce Stefana Batorego z Iwanem Groźnym, „rzymskie“, „święte“ imperyum niemieckiego narodu było znowu po stronie — Mo-

skwy. A kiedy zbliżała się chwila, w której na zegarze dziejowym wybić miała ostatnia godzina państwowego bytu starej Polski, znalazł się znowu władca niemiecki, który ułudnemi przyrzeczeniami poparcia rozdmuchał zarzewie wojny między Polską a Rosyą, ażeby potem w chwili stanowczej wymierzyć Polsce cios śmiertelny. Rozszerzył przez to granice swego państwa, mało się troszcząc o to, że równocześnie znaczna część upadającej Rzeczypospolitej wydana została na pastwę, pod wpływ i panowanie świata wschodniego.

Nikt z nas nie będzie miał nic przeciwko temu, jeżeli się te i tym podobne czyny sławi jako wielkie dzieła postępu niemieckości, jako zwycięstwa roztropnej i przezornej polityki i dyplomacyi, jako powodzenia oręża i walecznego ducha Niemców. Prosimy tylko, aby tego wszystkiego nie ubierano w płaszczyk szczególnych zasług około kultury i cywilizacyi. Dla znacznej części plemion niemieckich interesy kultury łączyły się zawsze z interesem państwowym, i to tak, że interes państwowy stał na pierwszem miejscu. Oni nieśli cywilizacyą na słowiański wschód, ażeby przysporzyć sobie korzyści politycznych, a nie wahali się porzucać jej sprawy wtedy, kiedy ich własne, samolubne cele polityczne wymagały jakiegoś poświęcenia. W wyższym stopniu politycy i germanizatorowie, aniżeli cywilizatorowie, utożsamili pojęcie kultury z pojęciem swojego państwa i narodowości; rozumieli i chcieli wmówić w świat, chcieli nawet, żeby świat w to uwierzył, że droga do cywilizacyi prowadzi tylko przez Niemcy, i że nie ma większego szczęścia dla innych ludów, jak dostać się tą drogą do wyższej doskonałości. Ogłosili się patentowanymi opiekunami

wszystkich, którzy później od nich poczęli pracę cywilizacyjną, nie pytając wcale o to, czy tamci tej opieki pożądają, i nie licząc się z tem, że mogą samodzielnie pracować dla kultury, otrzymawszy w posagu od Boga to samo, co i Niemcy, uzdolnienie. Zdrowy i trzeźwy pogląd na rzecz został przez to w wysokim stopniu zamącony. Nie jest to zapewne przypadkową rzeczą, jeżeli jeden z nowszych, zresztą bardzo tęgich i uzdolnionych historyków niemieckich, mając do rozstrzygnięcia pytanie, co było największym wypadkiem w dziejach Niemiec, uważa za wypadek taki germanizacyą części słowiańskiego wschodu. Określił on tu, może nieświadomie i wbrew własnym zamiarom, istotną treść i wartość dziejowego rozwoju Niemiec. Nie ma dowodu, że owe zgermanizowane plemiona słowiańskie nie byłyby w możności rozwinięcia wysokiej kultury, gdyby im było danem pracować nad nią samodzielnie, jak ją rozwinęły inne, którym w tem opieka Niemców nie przeszkadzała. Znaczenie tego faktu wobec kultury stoi tedy właściwie pod znakiem zapytania; pozostała tylko wielka korzyść polityczna i narodowa, jako najważniejszy czyn w dziejach Niemiec. Nie mamy żadnego powodu zazdrościć im tej zasługi wobec historyi, jeżeli to ma być zasługa największa.

A więc precz z ogródkami! Okrzyk zgrozy, jaki się wydarł z piersi Pańskiej, to nie było wołanie o pomoc z powodu zagrożonej kultury, to był jęk boleści i rozpaczy z powodu wysuwającej się z rąk Niemców supremacyi. Trzeba rzeczy nazywać po imieniu, i nie uciekać się pod płaszczyk kultury, tam gdzie chodzi o inne widoki i cele. Leży to nie tylko w interesie prawdy, ale i Niemców samych. Bo rzucony

Słowianom w twarz zarzut barbarzyństwa i dzikości, gdyby miał być prawdziwy, byłby zarazem wielkiem oskarżeniem Niemców przed Bogiem i trybunałem świata. Niemcy nieśli kulturę pomiędzy Słowian przeważnie tylko za cenę wyrzeczenia się ich najwyższego dobra, swojej narodowości; gdzie Słowianie tej ceny zapłacić nie chcieli, tam stawiali oni wprost przeszkody ich samoistnemu rozwojowi cywilizacyjnemu, tam nie dozwalali im rozszerzać kultury dalej, choć chełpią się sami, że jej bez przestanku wiernie służyli. Narody słowiańskie, które nie straciły swej narodowości, a przecież stały się narodami kulturalnymi, stały się nimi mimo, a nawet wbrew woli Niemców. Oto, dla czego się im podoba nazywać ich dzikimi i barbarzyńskimi. Gdyby to było prawdą, któż ponosiłby w tem winę?

Słowianie nie mają zamiaru słowiańszczyć miejsc, gdzie stoją groby Mozarta i Grillparzera. Historya wykazuje, że nie słowiańszczyli dziedzin niemieckich; stwierdza ona tylko, że Niemcy germanizowali dziedziny słowiańskie. Słowianie chcą tylko, ażeby miejsca, gdzie niegdyś Przemysł Ottokar zasiadał na tronie, gdzie Jan Nepomucen poniósł śmierć męczeńską, gdzie stoją groby Palackiego i Szafarzyka, pozostały słowiańskiemi, jak niemi były od czternastu wieków. Nie można im zabierać ich w imię kultury; bo oni sami dla niej pracować chcą i umieją, bez obcej, nieproszonej opieki. Kultura niemiecka nie jest ani pierwszą, ani ostatnią, ani jedyną, któraby prowadziła do doskonałości. Jako równi z równymi będą oni ręka w rękę z narodem niemieckim znosić cegły do budowy wielkiego gmachu cywilizacyi ludzkości. Na tem sprawa postępu budowy niewątpliwie zyska.

Z usprawiedliwioną dumą narodową wspomniałeś Pan w swojej odezwie nazwisko Schillera. Słowianie czczą go nie mniej niż Pan i wszyscy Niemcy; czczą w nim nie tylko Niemca, ale zarazem wielką, świetlną pochodnię w cywilizacyjnym pochodzie ludzkości. Czczą jednak nie tylko jego grobowiec, ale zarazem i wielkie myśli, które wypowiedział genialny mistrz. Byłoby dobrze, gdyby i u Niemców nie ograniczano się tylko do zewnętrznego kultu jego płyty grobowej. A wtedy głębokie słowa poety, które umieściłem na czele niniejszego pisma, dałyby może Niemcom pobudkę do wejścia w siebie, i do właściwego urządzenia stosunku swego wobec Słowian.

Nie przemówiłeś Pan jak Schiller. Nie przemówiłeś Pan też jak Ranke, wielki, niezapomniany, nieprześcigniony mistrz dziejopisarstwa niemieckiego, który pisał historyą, szukał i głosił prawdę, i sądził sprawiedliwie. Z pod jego pióra nie wypłynęło twierdzenie o barbarzyństwie i dzikości Słowian, choć badania jego stykały go bardziej niż Pana z dziejami tego szczepu. Nie miał po temu uzasadnionego powodu; owszem, znalazł też sposobność do podniesienia niejednej dodatniej strony w dziejach Słowiańszczyzny. Tego rodzaju wyrażenia stały zresztą poniżej godności dostojnego męża nauki.

„Kochajmy się“ — historyków.

Przemówienie na uczcie Trzeciego Zjazdu historyków polskich w Krakowie d. 5. czerwca 1900.

Nie dla nas, którzy tu jesteśmy u siebie i między sobą, ale dla informacyi Wielce Szanownych gości czeskich i słowieńskich, z których nie wszyscy znają może nasze zwyczaje, przypomnę, iż zwykliśmy kończyć każdą ucztę toastem „Kochajmy się“. Widoczna: przy stole biesiadnym rozgrzewają się nie tylko głowy, ale i serca, i jest jakaś wewnętrzna potrzeba, żeby ci, których złączyła jedna myśl, jedno pragnienie, czy jednakowa praca zawodowa, złączyli się także — sercami. Przypuszczam zresztą, że tak samo dzieje się wszędzie indziej na świecie przy ucztach; jeżeli jednak tutaj jest to, czego tam nie ma, osobny, konieczny toast, który myśl tę wyraża, to już może dla tej — nie wiem — zalety, czy może nawet niekiedy wady naszej narodowej, że u nas, co w sercu, to i na ustach, i że jest jakieś żywe poczucie potrzeby dostrojenia formy do treści, przybrania uczuć, jakie w nas płoną, w należną im szatę zewnętrzną.

Żeby jednak w tem naszem tu zgromadzeniu wychylić ten toast, którym wszyscy naprawdę, szczerze i na seryo moglibyśmy przypić do siebie, potrzeba niezbędnie dodać pewien komentarz i poczynić niektóre zastrzeżenia.

Więc naprzód: musimy pamiętać o tem, że nasze — historyków — „kochajmy się“ nie da się wytłómaczyć w znaczeniu zbyt sielankowem. Wykładnikiem tego hasła pomiędzy nami nie może być gołębia ustępliwość i zgodność przykładna. Któż potrafiłby się doliczyć, ile już razy spieraliśmy się między sobą i zwalczali wzajemnie w naszych poglądach i zapatrywaniach; i nie ma tu z pewnością nikogo, ktoby przypuszczał, że w przyszłości będzie inaczej. I daj Boże, żeby nie było inaczej, bo byłoby gorzej. Na tej naszej swarliwości zyskuje tylko prawda, której służymy. Nie ma podłoża niebezpieczniejszego dla rozwoju nauki, jak: adoracya, i szkodliwszej drogi, jak: *iurare in verba;* a wiemy, że niejedna już polemika posunęła naukę znaczniej naprzód, aniżeli całe biblioteki wykończonych po formie rozpraw. Więc powiem naprzód: Spierajmy się.

Ale to nie przeszkadza, żebyśmy się kochać nie mieli i nie mogli. Tylko że znowu, kiedy mowa o kochaniu, na pierwszem miejscu, w tem tu naszem zgromadzeniu, postawić trzeba nie tę, która łączy serca osobników, jeno inną, *sui generis* miłość, której tło obszerniejsze i bardziej zasadnicze, a takie, że się na niem zrodzić może miłość zbiorowa, i szacunek zbiorowy. Odrębne po części warunki, w jakich się rozwija praca naukowa, pewien odmienny kąt widzenia, pod jakim się ją w różnych stronach prowadzi, sprawiają, iż wszędzie wytworzyć się mogą pewne miejscowe właściwości w sposobie opracowywania czy pojmowania historyi, mniej lub więcej między sobą różne. U nas niewątpliwie nie brak ich także; są one tu może nawet bardziej jaskrawe: granice państwowe, jakie nas rozdzielają, zrobiły tu po

części swoje. Pokąd pomiędzy tymi różnymi odcieniami jest walka, czy to o fakty, czy o poglądy — jednem słowem, o rzecz, — to dobrze; z walki tej nauka wynosi pożytek istotny, i dla tego trzeba jej sobie nawet życzyć z pełni serca. Ale byłoby źle, gdyby poza tym momentem rzeczowym miał dojść do znaczenia jakikolwiek moment inny, więc: czy to wzajemna dla obustronnej działalności naukowej obojętność, czy to wzajemne jej lekceważenie, czy wreszcie wzajemna odporność w przyjmowaniu nawet tego, co jest bezwarunkowo do przyjęcia. Byłoby źle, gdyby zapanować miał jakiś antagonizm zaściankowy, rzecz, w całej swojej treści i w całej rozciągłości potępienia godna; naprzód dla tego, że to antagonizm, a powtóre dla tego, że zaściankowy. Podobno dzisiaj — Bogu dziękować — nie mamy już powodu biadać nad tym niedostatkiem; ale niedawno jeszcze działo się nieco inaczej, i to nie po jednej tylko stronie. Gdyby tedy przypadkiem dziś jeszcze w najtajniejszych zakątkach serca miały tlić gdzieniegdzie dopalające się zgliszcza dawniejszych uprzedzeń, zalejmy je doszczętnie tym toastem, żeby się okazało, że jest w nim treść prawdziwa. Uznajmy się; a wtedy, nie wyrzekając się walki o rzeczy, będziemy mogli stwierdzić na pociechę dla siebie, a na pożytek nauki, że jest tu między nami wszystkimi, zwolennikami czy przeciwnikami, wzajemna wszystkich dla wszystkich miłość i wzajemne poważanie pracy.

To przedewszystkiem dla nas i o nas. Ale mamy tu jeszcze wielce miłych gości, i to najbliższych nam, bratnich pracowników na niwie naukowej, których wszyscy z całego serca objąć pragniemy naszym toastem. Co dla nich czujemy, wypowiedziały już wy-

mowniejsze usta; mnie niech będzie wolno z tego samego, co i przedtem, stanowiska łączności w nauce i przez naukę, przypomnieć hasło, które samo przez się ciśnie się na usta: Poznajmy się. Nie potrzeba dlań dalszych komentarzy, ile że wszyscy wiemy, jak wiele na tem polu zaniedbaliśmy, i ile jeszcze pozostaje tu do odrobienia. Nie przystoi w tem tu zgromadzeniu mówić o korzyściach, jakie stąd wzajemnie odniesiemy; poznajmy się zresztą, a korzyści same staną nam jasno przed oczami. Dobrą wróżbą niech tu będzie okoliczność, że na tym tu Zjeździe mamy tych gości uczonych więcej, niż na obu poprzednich, i że każdy z nich, w mniejszym lub szerszym zakresie, tknął się w swych pracach już także naszych dziejów; wreszcie i to, że gościmy pośród siebie czcigodnego spadkobiercę idei Jelinkowych.

Po tych rzeczach poważnych dajmy wreszcie folgę uczuciom i sercu. Niewątpliwie, zawód nasz nie należy do tych, któreby dawały zadowolenie łatwe i wszechstronne. Musimy go szukać przedewszystkiem w sobie samych; to, co nam jest głównym bodźcem i zachętą do pracy, co nas w tej pracy podtrzymuje — to rozkosz odkrywania prawdy. Zapewne: czynnik potężny, który każdemu z nas wystarczyć może i musi. Pozatem jednak — zewnętrzna atmosfera, otaczająca prace nasze, nie taka promienna i słoneczna, jakby się na pozór zdawało. W społeczeństwie — takich, którzyby o nas wiedzieli, nie zawsze jest wielu; tych, którzyby nas czytali, bez porównania mniej, a pośród czytających jeszcze mniej takich, którzy nas zawsze dobrze rozumieją. Więcej jest już takich, którzy o nas mówią. Jedni nie skąpią nam uznania, choć nie zawsze widzieli książkę, i znają

nas tylko ze słychu; inni przyznają nam w tem lub owem rzekomą zasługę, która, gdyby była prawdziwą, tobyśmy się jej nieraz odrzec musieli. Inni na podstawie takich samych źródeł pośrednich krytykują nas; są wreszcie i tacy, których krytyka nie ma żadnych zgoła źródeł; ci zazwyczaj potępiają najostrzej. W tem wszystkiem jest nam zawsze pociechą zetknięcie z towarzyszem pracy. Wiemy, jak go nieraz szukamy, i jaką ono jest dla nas czasem potrzebą. Otwierają się serca, łączą się ze sobą uczucia. Dziś taka nas tu wielka rzesza; zgromadziliśmy się razem ze wszystkich stron, któryśmy tylko przybyć mogli. Po latach dziesięciu żmudnej pracy zebraliśmy się, ażeby nie tylko podzielić się jej wynikami i omówić program działania na przyszłość, ale zarazem ogrzać się wzajemnie przy sobie. To nasze święto, nasza uroczystość. W chwilach takich rozgrzewają się i topnieją serca, i jak kruszec płynny, stają się podatniejsze do zespolenia ze sobą. Wiemy, że z takiego zespolenia powstaje czasem aliaż, szlachetniejszy od każdej z osobna jego części składowych, w taką organiczną związany ze sobą całość, że już niełatwo owe części oddzielić od siebie. Niechże i to zespolenie serc naszych zadzierżgnie między nami węzły życzliwości, przyjaźni, ukochania wzajemnego — nierozerwalne.

Kochajmy się...

W sprawie założenia Towarzystwa dla popierania nauki polskiej we Lwowie.

Memoryał ogłoszony w grudniu 1900 r.[1]

Poruszam myśl założenia we Lwowie Towarzystwa, którego zadaniem byłoby udzielać materyalnego poparcia badaniom naukowym polskim, podejmowanym w jakiejkolwiek gałęzi wiedzy ludzkiej.

Materyalna pomoc naukowa, w najobszerniejszem znaczeniu pojęta, da się pomyśleć w trojakim kształcie i sposobie.

Przedewszystkiem jako pomoc, udzielana młodym adeptom nauki, którzy ukończywszy zwyczajne studya wyższe, z wyrobionem już zamiłowaniem do pewnej umiejętności, z stałem postanowieniem poświęcenia jej dalszej swojej pracy życiowej, pragną jeszcze w odpowiednim zakładzie wydoskonalić sobie metodę badania, a zarazem pogłębić i rozszerzyć swą wiedzę w zakresie danego przedmiotu. Jest to zadanie jakoby przygotowawcze, zmierzające do przysporzenia społeczeństwu pewnego zasobu dobrych, należycie wyszkolonych sił naukowych.

Powtóre, można pomocy materyalnej udzielać samym już pracownikom naukowym, dla ułatwie-

---

[1] Druk. jako dodatek do 3 zesz. Kwartalnika historycznego z r. 1900 i osobno pod powyższym tytułem, Lwów, str. 9.

nia, a czasem wprost umożliwienia pewnych badań, które wymagają znacznych wkładów pieniężnych. Jest to pomoc materyalna dla badań naukowych w ścisłem i właściwem tego słowa znaczeniu.

Wreszcie może owa pomoc przybrać jeszcze inne kształty: jako materyalne wynagrodzenie, a pośrednio także i moralne zadośćuczynienie za poniesione trudy w służbie nauki, zwłaszcza w odniesieniu do wybitniejszych dzieł i znamienitszych pisarzów. Tutaj należą nagrody za najlepsze dzieła naukowe, jako też wsparcia, udzielane materyalnie podupadłym uczonym. Stanowią one poniekąd bodziec moralny, zachęcający pośrednio do wytężonej i usilnej pracy naukowej.

Byłoby próżną i bezowocną rzeczą zastanawiać się nad tem, które z owych trzech zadań jest ważniejsze. Przedstawiają one każde dla siebie wielką doniosłość, a nawet rozważone w związku ze sobą, warunkują się wzajemnie. Nie mogłoby być mowy o podejmowaniu i dokonywaniu badań naukowych, gdyby społeczeństwo nie wykształciło sobie pewnego zasobu mężów nauki, jak nie byłoby czego opatrywać nagrodami, gdyby niedostawało dobrych prac naukowych. Jeżeli jednak chodzi o wskazanie, który z tych trzech kierunków pomocy materyalnej przynieść może pożytek najbezpośredniejszy dla nauki, to nie można wątpić, że będzie nim ten, o którym poprzednio wspomnieliśmy na drugiem miejscu. Boć ostatecznie każdej umiejętności chodzi przedewszystkiem o jak największą ilość dobrych badań naukowych, które same przez się stanowią o jej wartości i rozwoju. Wynagradzanie znamienitszych prac jest

już tylko aktem wdzięczności ze strony społeczeństwa wobec zasłużonych; nie na wiele też przyda się przygotowywanie młodych sił naukowych, jeżeli później zabraknie im środków do prowadzenia badań.

Dostarczenie tych środków — jak powszechnie wiadomo — wymaga częstokroć znacznych wkładów materyalnych. Poszukiwania archeologiczne, podróże archiwalne i badania rękopisów w rozrzuconych po świecie bibliotekach, podróże i wędrówki geologiczne czy etnograficzne, mozolne w różnych stronach zbieranie dat statystycznych, długoletnie nieraz doświadczenia przyrodnicze, inne wreszcie podobne, kosztowne prace przygotowawcze, są w wielu wypadkach warunkiem ostatecznego rozwiązania pewnej kwestyi naukowej. Na tego rodzaju zadania nie starczą zazwyczaj środki materyalne badacza. Tak tu, jak zresztą i w tych nawet razach, gdzie zebranie materyału przygotowawczego nie wymaga znaczniejszego nakładu, nasuwa się ponadto najczęściej inna jeszcze trudność: pokrycie kosztów wydania samej publikacyi. Niełatwo znaleść nakładcę, któryby chętnie ogłaszał dzieła naukowe, zazwyczaj bowiem pokup ich jest stosunkowo słaby i nie wraca nawet kosztów nakładu. Do dawniejszych ofiar w pieniądzach, czasie, wytężonej nieraz i długiej pracy, potrzebną jest zatem wielokrotnie nowa jeszcze ofiara materyalna ze strony badacza, który pracę swą ogłasza własnym sumptem, mając z góry pewność, iż rozsprzedaż dzieła wydatku tego nie pokryje. Cóż dopiero mówić o szczególnie kosztownych publikacyach z zakresu niektórych gałęzi wiedzy, jak n. p. z różnych działów nauk przyrodniczych, wymagających licznych, dokładnie wykończonych, kosztownych tablic, o publi-

kacyach z zakresu historyi sztuki, wydawnictwach kartograficznych i t. p. O pokryciu kosztów tego rodzaju dzieł, jednostka, przy największej nawet ofiarności z swojej strony, najczęściej nawet myśleć nie może.

Wobec wielkich, coraz bardziej rosnących i coraz obszerniejszych zadań, jakie sobie nauka stawić musi, należyty jej rozwój i postęp zależą dziś bardziej, niż kiedykolwiek przedtem, nie tylko już od samej ilości pracowników i tęgości głów pracujących, ale także od materyalnego poparcia, jakiego jej społeczeństwo użyczyć może. Gdzie tego poparcia nie ma, gdzie ono jest nieznaczne lub w ogóle niedostateczne, tam też zazwyczaj i sama nauka na szersze rozmiary rozwinąć się nie może. Zakres pytań naukowych, jakie ogarnia, jest w tym razie szczupły; najczęściej pozostają na uboczu pytania ważniejsze, obszerniejsze, bardziej zasadnicze, wymagające dłuższych, kosztownych badań przygotowawczych; uczeni poprzestają zwykle na rozwiązywaniu zagadnień mniejszych, podrzędniejszych, zmuszeni nieraz i tutaj zadowolnić się wynikami połowicznymi; wreszcie, kiedy się nawet zwrócą do rzeczy ważniejszych, brak potrzebnych środków materyalnych paraliżuje często najlepsze ich usiłowania. Oceniając słusznie ujemne strony takiego stanu rzeczy, państwa i społeczeństwa nowożytne przeznaczają coraz większe kwoty z funduszów publicznych na popieranie badań naukowych. Subwencyj udzielają nieraz same rządy bezpośrednio; liczne Akademie Umiejętności, czy to dawno istniejące, czy też nowo zakładane, opatrywane z funduszów publicznych czy prywatnych kapitałami, do bardzo znacznej nieraz wysokości dochodzącymi

przyczyniają się do rozwoju nauki nie tylko samą właściwą pracą naukową swoich członków, ale zarazem także poparciem materyalnem, na podejmowanie badań naukowych udzielanem. Powstają setki i tysiące towarzystw naukowych, z pewnym, ściśle określonym celem pracowania nad rozwojem danej gałęzi umiejętności, czasem nawet jednego jej działu, poświęcające również pewne mniejsze lub większe kwoty na popieranie badań naukowych. Powstają wreszcie czasem instytucye, same niemające charakteru związków naukowych, które ograniczają swe zadanie wyłącznie do udzielania materyalnej pomocy na cele naukowe; przez to jednak pośrednio przyczyniają się nieraz w wydatny sposób do poparcia i rozwoju nauki. A jednak, nawet w tych szczęśliwych krajach, gdzie ilość wszystkich tych instytucyj jest stosunkowo bardzo znaczna, a dotacya ich materyalna wysoka, daje się ciągle jeszcze odczuwać brak dostatecznych środków, potrzebnych do urzeczywistnienia wszystkich nasuwających się zadań naukowych, odzywają się coraz nowe głosy, wskazujące na potrzebę pomnożenia funduszów. W ostatnich czasach powstała na Zachodzie myśl, częściowo już urzeczywistniona, stworzenia związku większej ilości Akademij Umiejętności, z których każda rozporządza setkami tysięcy rocznego dochodu, ażeby w ten sposób nie tylko wspólną pracą naukową swych członków, ale zarazem wspólnymi funduszami dokonać pewnych większych zadań, na których przeprowadzenie nie stać nawet owe bogate Akademie, każdą z osobna.

Przypatrzywszy się bliżej odnośnym stosunkom na przestrzeni ziem polskich, musimy z ubolewaniem

stwierdzić, że materyalne poparcie, jakiego nauka nasza doznaje, jest tu w ogóle bardzo niedostateczne. Niektóre rządy odsuwają zasadniczo myśl udzielania jej jakiejkolwiek pomocy, inne opatrują jej cele szczupłemi tylko dotacyami. Społeczeństwo samo, w części ze względu na trudne warunki ekonomiczne, w jakich się rozwija, w części dla tego, że nie wszędzie i nie we wszystkich warstwach zdaje sobie dokładną sprawę z doniosłości, jaką zbiorowa jego pomoc w tym kierunku przedstawiaćby mogła dla cywilizacyjnego i kulturalnego rozwoju narodu, również słabe tylko daje poparcie materyalne nauce. Stąd poszło, że zarówno ilość naszych instytucyj naukowych jest stosunkowo nieznaczna, jako też środki pieniężne, któremi one rozporządzają, wielce niedostateczne. W szeregu tych instytucyj, jedyna, nie tylko co do swej organizacyi i charakteru, ale zarazem co do wielkich, niespożytych zasług, oddanych nauce w stosunkowo krótkim czasie, stoi na pierwszem miejscu nasza Akademia Umiejętności w Krakowie. A jednak Akademia ta należy do najgorzej uposażonych w całym świecie; cały jej dochód roczny (odliczając fundusze szczególne, w zarząd jej oddane), wynosił w r. 1899 niespełna 69.000 zł. W stosunku do wielkich, wszechstronnych zadań, jakie ma do spełnienia każda Akademia Umiejętności, a zwłaszcza polska, która nie tylko liczyć się musi z bieżącym rozwojem nauki, ale zarazem odrobić to, co skutkiem niepomyślnych warunków zaniedbano u nas dawniej, jest to dochód tak nieznaczny, że prawie dziwić się można, jakim sposobem zdołała przecież dokonać tylu ważnych i tak licznych prac, jakiemi już dzisiaj zarówno ona, jak i nauka nasza słusznie pochlubić się

może. Nie można jednak zapominać o tem, że mimo to wiele zadań, bardzo doniosłych i bardzo pilnych, które byłaby mogła przeprowadzić, trzeba jej było zaniechać dla braku środków; że pośród badaczów naszych zmarnowało się niemało dobrych chęci, dla tego tylko, że praca ich nie mogła doznać należytego materyalnego poparcia. Prawie że nie przebrzmiały jeszcze słowa, wypowiedziane przez męża, najbardziej powołanego do sądzenia o tej sprawie, generalnego sekretarza Akademii, który w ogłoszonej przed kilku laty broszurze wymownie na niedostateczne uposażenie Akademii wskazywał, i ujemne skutki, jakie stąd dla nauki naszej wypływają, należycie oświetlił.

Poza Akademią, na całej przestrzeni ziem dawnej Polski, wskazać można zresztą jeszcze tylko jednę instytucyą naukową o charakterze ogólnym, t. z. z wyraźnie określonym celem uprawiania różnorodnych gałęzi wiedzy ludzkiej. Mam tu na myśli Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu. Żeby się tu jednak ograniczyć do samej tylko strony materyalnej, stwierdzić trzeba, że Towarzystwo to, w porównaniu z Akademią, rozporządza środkami pieniężnymi znacznie jeszcze mniejszymi, tak, że pomoc jego materyalna na cele naukowe przedstawia się jako bardzo niewydatna; prócz wydatku na utrzymanie i uzupełnianie zbiorów naukowych, Towarzystwo to ogranicza się prawie wyłącznie do wydawnictwa „Roczników“ w ilości jednego tomu na rok lub na lat kilka. Zresztą posiadamy jeszcze tylko szereg towarzystw naukowych specyalnych, uprawiających poszczególne gałęzie wiedzy, rozrzuconych w ważniejszych miastach polskich, gdzie tworzenie takich towarzystw jest rzeczą możliwą. Ilość ich jest stosunkowo nieznaczna;

zatem i pod tym względem daleko nam jeszcze do tego, ażeby się choć w przybliżeniu zrównać z zagranicą. Wiele jeszcze gałęzi nauk nie posiada u nas osobnych dla siebie towarzystw naukowych, a nawet i te, które istnieją, znachodząc niedostateczne poparcie w społeczeństwie samem, rozporządzają stosunkowo nieznacznymi funduszami, tak, że i one nauce wydatniejszej materyalnej pomocy nieść nie mogą. Dość przypomnieć wypadek, bardzo niedawny, że jedno z tutejszych towarzystw naukowych, w którego nakładzie wychodzi organ, cieszący się dość powszechnem uznaniem, musiało, wbrew swym intencyom i rzeczywistej potrzebie, zmniejszyć znacznie jego objętość — dla braku środków pieniężnych.

Odmienny od wszystkich poprzednich instytucyj charakter wykazuje warszawska Kasa pomocy naukowej im. Mianowskiego. Nie jest to instytucya naukowa, jak Akademia lub wymienione poprzednio Towarzystwa; ogranicza się ona wyłącznie do udzielania pomocy materyalnej na cele naukowe. Założona nie dawniej, jak przed 19 laty, rozporządza już dzisiaj (koniec 1899 r.) rocznym kapitałem obrotowym przeszło 48.000 rubli. Szereg poważnych publikacyj naukowych, z zapomogi Kasy wydanych, świadczy chlubnie o jej działalności; samo zaś istnienie i rozwój instytucyi daje najpiękniejsze świadectwo o ofiarności tamtejszego społeczeństwa na cele naukowe, o trafnem zrozumieniu korzyści, jakie poparcie tych celów dla rozwoju cywilizacyjnego przynieść może.

Ostatecznie stwierdzić należy, że zarówno ilość instytucyj, niosących pomoc materyalną naszej nauce, jest stosunkowo bardzo mała, jako też zasób funduszów, jakimi rozporządzają, nader szczupły i niezna-

czny. Dwie najbogatsze obracają łącznie rocznym dochodem około 130.000 zł., do czego jeśli dodamy dochód wszystkich innych naszych Towarzystw naukowych, otrzymamy sumę, nieprzekraczającą z pewnością 200.000 złr. rocznego wydatku na poparcie badań naukowych polskich. W porównaniu z milionami i dziesiątkami milionów, których gdzieindziej nie szczędzi się na cele naukowe, jest to suma znikająco mała. W tem zgoła niedostatecznem uposażeniu materyalnem naszej nauki leży klucz do zrozumienia, a zarazem i usprawiedliwienia wielu jej niedostatków, jej nie tak wszechstronnego i żywego rozwoju, jakim się poszczycić mogą inne narody; jej braków, jakie szczególnie pewne, znaczniejszego poparcia wymagające gałęzie wiedzy przedstawiają. Można też powiedzieć, że jeśli mimo to nauki naszej nie mamy przecież powodu wstydzić się przed światem, jeżeliśmy nawet pod tym względem wyprzedzili niektóre narody, a wobec tych, które nas wyprzedziły, możemy się pochlubić niejedną znamienitą pracą, to zasługa w tem nie tyle poparcia materyalnego, jakiego ona doznaje, ile raczej wytężonej, pełnej poświęcenia i zamiłowania pracy wielu naszych badaczów, i tego szczęśliwego zrządzenia, że nam w ich szeregu Opatrzność nie poskąpiła wielu, czasem wielkich talentów. Byłoby jednak zdrożną lekkomyślnością i niedarowanem niedbalstwem, na tem, co jest, poprzestać, i pocieszać się na przyszłość wiarą w dobrą gwiazdę i wyłączną łaskę Opatrzności. Społeczeństwo żywotne, po męsku działające, musi sobie samo, pomocą własną, stwarzać i zdobywać warunki rozwoju kulturalnego, nawet tam, gdzie ta praca jego natrafia na ciężkie przeszkody zewnętrzne; musi ich zdobyć

sobie przynjmniej tyle, na ile starczą wszystkie jego siły. Żeby się ograniczyć do sprawy, która nas tu bliżej zajmuje, musimy tedy stwierdzić wielką, piekącą, nieodzowną potrzebę stworzenia nowych instytucyj, które dostarczałyby materyalnej pomocy naszej nauce, przysparzania coraz to nowych funduszów, których na ten cel możnaby używać. Każda taka nowa instytucya stanie się jedną z dźwigni naszego rozwoju kulturalnego, każdy wydatek, na powyższe cele poniesiony, iskrą, zapalającą nowe światła.

Powyższe uwagi wystarczyłyby same przez się do uzasadnienia poruszonej na wstępie myśli założenia nowego Towarzystwa o wskazanym powyżej celu. Są jednak szczególne powody, przemawiające za tem, ażeby Towarzystwo to założyć we Lwowie. Dziwnym zbiegiem okoliczności, z trzech kształtów pomocy naukowej, wspomnianych na wstępie, znalazły tu bliższe uwzględnienie przedewszystkiem te, które wymieniono na miejscu pierwszem i trzeciem. Tak istnieje we Lwowie szereg stypendyów, dostępnych ukończonym uczniom wyższych zakładów naukowych, którzy w innych zakładach zagranicznych pragną uzupełnić i pogłębić swoją wiedzę w danej gałęzi nauki: więc trzy t. z. stypendya cesarskie i stypendya Sapieżyńskie; nawet stypendya im. Barczewskiego, dostępne już w czasie zwykłej nauki uniwersyteckiej, mogą być przez zdwojenie użyte na uzupełnienie studyów w zakładach zagranicznych; nie wspominam o tem, że także inne, poza Lwowem utworzone stypendya, jak n. p. stypendyum Pileckiego, są w zasadzie dostępne również lwowskim adeptom nauki. Są także fundacye, przeznaczone na nagrody za najlepsze dzieła, jak fundacya Kochmana, i inne, dostar-

czające wsparć uczonym, do jakich pod pewnym względem zaliczyć można fundacyą im. Szajnochy; dodać tu trzeba różne fundacye konkursowe, utworzone gdzieindziej, z których korzystać mogą także uczeni lwowscy, poczynając od wielkiej nagrody im. Barczewskiego, rozdzięlanej corocznie przez Akademią Umiejętności. Stosunkowo najmniej zdziałano dotąd we Lwowie w kierunku stworzenia funduszów, które wprost i bezpośrednio mogłyby służyć do popierania badań naukowych. Cały niemal ciężar tego zadania spoczywa dziś na barkach ośmiu, względnie dziewięciu Towarzystw naukowych, jakie tu istnieją. A trzeba dodać, że spoczywa na nich niecałkiem właściwie. Zadaniem Towarzystw naukowych jest bowiem przedewszystkiem uprawianie nauki samej, nie zaś wyszukiwanie środków materyalnych, dających się użyć do jej poparcia. Przytem, ze względu na słabe zajęcie się publiczności, Towarzystwa te, z dochodów własnych, ledwie że mogą pokryć najpilniejsze wydatki; o rozwinięciu jakiejś materyalnej akcyi pomocniczej na szersze rozmiary nawet myśleć nie mogą. Najczęściej wyczerpuje się ona w dostarczeniu funduszów na wydawnictwo własnego organu, którego czasem nie można nawet odpowiednio rozwinąć dla braku środków pieniężnych. Są zresztą i takie Towarzystwa, które nie stać nawet na wydawnictwo organu. Poza Towarzystwami i poza Zakładem im. Ossolińskich, który z szczupłej przewyżki wydatków bibliotecznych, muzealnych i administracyjnych, przeznacza od czasu do czasu pewne kwoty na wydawnictwo publikacyj historycznych, wskazać można we Lwowie jeszcze tylko dwa fundusze, każdy z ściśle oznaczonym, szczególnym celem, służące do popie-

rania zadań naukowych: fundacyą hr. Stadnickiego na wydawnictwo *Aktów grodzkich i ziemskich*, tudzież utworzoną niedawno czasową fundacyą Wawelberga z Warszawy, dla popierania prac z zakresu historyi żydów w Polsce. Instytucyi o znaczeniu ogólnem, udzielającej pomocy materyalnej badaniom naukowym we wszystkich gałęziach wiedzy, a zarazem rozporządzającej na ten cel pewnymi znaczniejszymi funduszami, we Lwowie nigdy nie było i dotąd nie ma. Ze wszystkich ważniejszych centrów dawnej Rzeczypospolitej, przynajmniej z pośród tych, w których można dziś myśleć o stworzeniu tego rodzaju instytucyj, pozostał tedy Lwów całkiem w tyle; co większa, dał się on tu wyprzedzić innym centrom, w których warunki do podjęcia tego zadania były trudniejsze i przeszkody większe. Czas już chyba pomyśleć o naprawieniu złego.

Nie potrzeba dodawać, że mimo wszystko, instytucya, o której stworzenie chodzi, nie miałaby i nie mogłaby mieć charakteru lokalnego, że nie możnaby jej pomocy materyalnej ograniczyć wyłącznie do popierania badań uczonych lwowskich, czy chociażby galicyjskich. Takie zaściankowe pojmowanie rzeczy szkodziłoby tylko sprawie; zadaniem Towarzystwa winno być w ogóle popieranie nauki polskiej. Skądkolwiek przyjdzie apel o poparcie, jeżeli tylko chodzi o pracę uczciwą, pożyteczną i poważną, winna się tu dla niej znaleść pomoc, w miarę zasobów, jakimi Towarzystwo rozporządzać będzie.

Osobnych kilku uwag wymaga rozbiór pytania, jaki pod względem zasadniczym charakter należałoby

nadać Towarzystwu. Sądzę tedy i podnoszę z naciskiem, że nie ma potrzeby organizować go jako towarzystwa w ścisłem tego słowa znaczeniu naukowego, zatem takiego, którego zadaniem byłoby bezpośrednio, w swojem łonie, uprawiać naukę. O ile chodzi o szczególne pod tym względem potrzeby miejscowe, zadaniu temu czynią w pewnej mierze zadość specyalne Towarzystwa naukowe, istniejące, lub w przyszłości jeszcze powstać mogące we Lwowie. O ile znowu miałoby chodzić o scentralizowanie naukowej pracy, o stworzenie jakiegoś „Towarzystwa przyjaciół nauk“ w znaczeniu ogólnem, uprawiającego wszystkie gałęzie wiedzy, podnieść należy, że poważne i nauce istotną korzyść przynoszące urzeczywistnienie takiego celu, wymagałoby, wobec dzisiejszych stosunków, od razu bardzo znacznego zasobu funduszów, jakimi Towarzystwo ani przy założeniu, ani zapewne przez długie lata potem rozporządzać nie będzie. Tak więc, bez dalej idącego pożytku, mogłoby nastąpić rozbicie owej centralizacyi pracy naukowej polskiej, którą tak szczęśliwie przeprowadziła i tak rozumnie prowadzi krakowska Akademia, oparta na łącznem współdziałaniu wszystkich, którzy po temu chęć mają, uczonych polskich. Jak na nasze obecne stosunki, decentralizacya byłaby więc może niebezpieczną; w każdym razie byłaby przedwczesną. Towarzystwo nasze winno się zatem ograniczyć wyłącznie do dostarczania pomocy materyalnej samym badaniom naukowym. Co do istoty swojej będzie zatem wykazywało najbliższe pokrewieństwo z Kasą pomocy naukowej im. Mianowskiego. Mimo to działalność jego może przynieść pośrednio najdonioślejsze dla nauki korzyści; po części może ono także

przyczynić się do ulżenia zadań Akademii, zdejmując z jej bark niektóre ciężary, które dotąd sama jedna ponosić musiała.

Żeby cele owe tem łatwiej osiągnąć, tem wydatniej i skuteczniej poprzeć i urzeczywistnić, należałoby działalność Towarzystwa ograniczyć do jego głównego i właściwego zadania, nie rozbijając jej na inne, chociażby pokrewne kierunki i dziedziny. *Qui trop embrasse, mal étreint,* wiadomo zaś, że wszelkie rozszczepianie sił osłabia ich energię. Więc naprzód: poparcie Towarzystwa musiałoby wyłącznie odnosić się do spraw naukowych: inne działy twórczej pracy duchowej ludzkiej, jak praca literacka, artystyczna, musiałyby tu pozostać nieuwzględnione. Ale nawet i w odniesieniu do samej nauki należałoby działalność Towarzystwa ograniczyć do udzielania bezpośredniej pomocy materyalnej samym badaniom naukowym, nie rozpraszając funduszów na cele, wymienione na wstępie niniejszych uwag na miejscu pierwszem i trzeciem, t. j. na stypendya naukowe i nagrody; zwłaszcza że, jak wspomniano poprzednio, cele te znajdują zaspokojenie — przynajmniej częściowe — w innych, istniejących już fundacyach.

Możnaby tu poruszyć jeszcze pytanie, czy założenie nowego, osobnego Towarzystwa, obliczonego na popieranie badań naukowych, nie spowoduje obniżenia dochodu innych, poprzednio już założonych, pokrewnych instytucyj, a zwłaszcza, czy nie należałoby starać się, ażeby fundusze, jakie zebrać ma Towarzystwo, dostały się raczej w ręce Akademii krakowskiej, która ich z równym dla nauki pożytkiem użyć może. Na to odpowiedzieć trzeba, że główny substrat dochodów Towarzystwa, t. j. drobne wkładki

członków, jak i niektóre inne uboczne dochody, n. p. z odczytów, są niedostępne dla Akademii. Założenie Towarzystwa nie może zatem wpłynąć na umniejszenie tamtych dochodów, jak jego niezałożenie nie zdołałoby ich przysporzyć. Założenie nie skieruje płynącego już dochodu na inne tory, jeno stworzy nowe, dotąd nieistniejące źródło zasiłku na zaspokojenie potrzeb naukowych.

O ile społeczeństwo nasze myśl tę poprze, o ile Towarzystwu temu rokować można na przyszłość pomyślny rozwój, nie tutaj miejsce przesądzać. Zbyt daleko idące nadzieje byłyby może przedwczesne i nieuzasadnione. Musimy jeszcze niejednego się nauczyć, zanim apel o poparcie tego rodzaju zadań znajdzie oddźwięk w sercu wszystkich. Tu wystarczy przytoczyć, skąd to poparcie mogłoby przyjść, i skąd należałoby się go spodziewać. Więc naprzód: od rządu i kraju, a potem od różnych instytucyj, zwłaszcza finansowych. Z jednostek — niewiadomo, kogo pominąć: uczeni i profesorowie, t. z. inteligencya, i wreszcie wszyscy inni, w kapocie, choćby nawet w siermiędze, wszyscy, którzy się nauką trudnią lub z niej korzystają, i ci, którzy się nią nie zajmują lub korzystać z niej bezpośrednio nie mogą, ale odczuwają jej doniosłość i mają serce dla sprawy narodowej, wszyscy, nie tylko stąd, najbliżsi, ale i dalsi, skądkolwiekbądź, mogą tu sobie podać wspólną dłoń, ażeby skromną wkładką przyczynić się do urzeczywistnienia ważnego celu. W spisie członków Towarzystwa znajdą się może Curzydłowie, którzy, jeżeli już nie dziesiątkami tysięcy, to przynajmniej małym datkiem rocznym poprą sprawę nauki polskiej; tym, których zdobi biret doktorski, wstyd będzie, jeśli ich

w tym spisie zabraknie. Gdyby wszyscy, na których ciąży moralny obowiązek poparcia nauki, uczynili mu zadość, Towarzystwo stanęłoby od razu na silnej podstawie i mogłoby rozwinąć szeroką, skuteczną działalność. Może zrazu wypadnie mu jednak poprzestać na skromnych początkach. Ale i taka pomoc przyniesie już pewien pożytek nauce; byłoby zaś smutno, gdyby z postępem czasu Towarzystwo nie znalazło uznania i poparcia w coraz szerszych warstwach społeczeństwa, i przez to stanowiska swego nie umocniło, działalności swej coraz wszechstronniej rozwinąć nie zdołało.

Trzeba jednak raz zacząć...

Po wyroku o Morskie Oko.

Przemówienie na uczcie, urządzonej przez Kasyno ziemiańskie d. 10. listopada 1902 [1].

Dziękuję, z całego serca, p. Prezesowi za jego łaskawe słowa; dziękuję wszystkim obecnym Panom z naszego tu ściślejszego, towarzyskiego koła za wyświadczony mi wysoki zaszczyt i okazaną życzliwość; dziękuję wszystkim innym Panom, z poza tego koła, którzy obecnością swoją do uświetnienia tej chwili przyczynić się raczyli.

Zebraliśmy się pod świeżem wrażeniem sprawy, która dziś jest już tak dobrze jakby załatwiona, ale przez długi szereg lat bardzo nas zaprzątała, a w ostatnich czasach, przez ciąg jednego miesiąca, poruszała umysły i serca — można powiedzieć bez przesady — całej Polski; mnie zaś przypadł ten wysoki zaszczyt w udziale, że z okazyi tej odbieram uznanie.

Nie w moim ręku, chociażby w części, spoczywało rozstrzygnięcie sporu. Więc w pierwszym rzędzie zwrócić się musimy z uczuciem wdzięczności do tych, których wyrokowi zawdzięczyć należy, iż sprawa nasza nie poszła na marne. I nie ma pośród członków sądu polubownego ani jednego, któremu nie by-

[1] Druk. w Gazecie Lwowskiej z d. 12. listopada 1902 nr. 259 i os. p. t.: Przemówienie prof. O. Balzera na bankiecie, urządzonym przez Kasyno ziemiańskie, Lwów, 1902, str. 15.

libyśmy winni wdzięczności, szczerej i głębokiej, i pełnego uznania. Więc najpierw panu superarbitrowi szwajcarskiemu, już choćby za to, że objął niewdzięczną rolę rozjemcy, narażonego zwykle na niezadowolenie jednej strony; a potem — i przedewszystkiem — za jego bezstronność, która nam przyniosła zwycięstwo w procesie. Następnie panu arbitrowi węgierskiemu, którego lojalność, prawidłowe postępowanie w procesie, jedyną rzecz, jakiej mieliśmy prawo żądać od niego, stwierdzić trzeba z naciskiem i pełnem uznaniem. Że w toku rozpraw brał w nim czasem górę temperament, to nie zmienia rzeczy w niczem; jeżeli to grzech, to trzeba przyznać, że grzeszono temperamentem także i z polskiej strony; ja zaś ze wszystkich polskich członków sądu czułbym się najmniej powołanym i uprawnionym wytaczać z tego powodu jakiekolwiek zarzuty wobec strony przeciwnej. Wreszcie nie potrzebuję podnosić szczegółowo, co winniśmy naszemu, polskiemu panu arbitrowi. Wiemy wszyscy, jak przy wydaniu wyroku pogodził obywatelskie swoje obowiązki z bezstronnością sędziego, i byłoby zbyteczną rzeczą rozwodzić się tu nad tem dłużej. Ale przypomnieć warto, o czem zapewne niewielu wie, a na co ja miałem sposobność patrzeć z bliska, z jakiem przejęciem i oddaniem się, mimo innych ważnych zajęć, prowadził przez szereg miesięcy żmudną nad wyraz pracę studyowania materyału procesowego, przystępując do procesu z gruntowną znajomością wszystkiego, co zawierały dostarczone mu akty, nieoczekując informacyj ze strony obrony. Z osobistych wspomnień dodam jeszcze, że stykając się z nim nieraz wśród pracy przygotowawczej do procesu, widziałem, jak miał chwile szczerej, wielkiej radości,

kiedy się odnalazł nowy dokument, popierający nasze roszczenia, i chwile prawdziwego strapienia, kiedy mu raz zwróciłem uwagę na to, że dawniejsza argumentacya nasza co do pewnej tezy dowodowej utrzymać się nie da. W związku z tem niech mi tu będzie wolno jeszcze dać wyraz wdzięczności osobistej za jego prawdziwie życzliwe, przyjacielskie odnoszenie się do mnie, i za chętne poparcie, jakiego mi w rzeczach, z sprawą związanych, nigdy nie szczędził.

Skoro już mowa o tych, którym winniśmy wdzięczność, to należy się jeszcze osobne wspomnienie naszemu znawcy procesowemu, prof. Beckerowi. Niezwykły to człowiek; najpierw dziwnie wszechstronny: przewodnik górski egzaminowany; możnaby dodać: urodzony, prawdziwy góral, który nawet w obcych sobie górach od razu czuje się i oryentuje jakby w domu; uczony i profesor, wyposażony szeroką i gruntowną wiedzą, wreszcie pułkownik artyleryi, widocznie i w tym zawodzie wysuwający się naprzód, skoro należy do generalnego sztabu. W tych różnych kierunkach szczególnie uzdolniony, chciałoby się powiedzieć: w każdym lepiej. Przytem dziwnej prostoty umysłu i przejrzystości charakteru; po chwili rozmowy zdawało się, że to stary znajomy, i widziało się dno jego duszy, jak w czystej krynicy. Nie zapomnę wrażenia, jakie odniosłem, słuchając jego wywodów w sądzie; miałem wtedy uczucie, że dokonywa wiwisekcyi na stronie przeciwnej, z zimną krwią i zupełnym spokojem, jakie dają: nie brak uczucia, ale miłość prawdy, poczucie sprawiedliwości, świadomość przyjętego i dobrze spełnionego obowiązku. Równocześnie miałem jednak uczucie drugie — i przeświadczenie: że takiej samej wiwisekcyi z tym samym spokojem byłby do-

konał na nas, gdyby przypadkiem konfiguracya terenu spornego była korzystniejszą dla Węgrów. Powiem tyle: nie tylko my, jako strona, ale i sama uosobiona sprawiedliwość nie mogła marzyć o bardziej powołanym i doskonałym znawcy. Takim był jako człowiek w urzędzie; osobiście, jako rozmiłowanego w pięknościach swej Ojczyzny górala, ujęło go to gorące przywiązanie, jakie widział u nas dla przedmiotu spornego; i dla tego ostatnie jego słowa, jakie mi miał do powiedzenia na pożegnanie, brzmiały: *Grüssen Sie mir die Polen.*

Nie wyczerpałem jeszcze wszystkich podziękowań; te zaś, które mi pozostały, mają z mojego osobistego stanowiska znaczenie więcej bezpośrednie. Spór o Morskie Oko ciągnął się blisko wiek cały, a w ostatnich latach kilkunastu tak się zaostrzył, że prawie nie schodził z porządku dyskusyi publicznej. Zakrzątano się z naszej strony około zgromadzenia jak największego materyału dowodowego na poparcie naszych roszczeń, i materyał ten niejednokrotnie opracowywano i wyjaśniano. Jednostki prywatne, władze krajowe i władze państwowe współzawodniczyły tu ze sobą w tej pracy. Podejmując się obrony, miałem tedy drogę znacznie już utorowaną przez poprzedników, i z pracy ich musiałem korzystać, skoro jako obrońca kraju miałem obowiązek przytoczyć wszystko, co za nami przemawia. Żeby pominąć liczny bardzo szereg prac dawniejszych, prywatnych, czy urzędowych, żeby nawet nie wspominać obszernie o tem, czego w nowym materyale dowodowym dostarczyli mi tuż przed procesem, albo w ciągu procesu, p. delegat Kozłowski i p. Eliasz Radzikowski, przytaczam przedewszystkiem dwie najbardziej wyczerpujące prace,

które w pewnej mierze użytkowały zresztą z poprzednich: wywód p. Czołowskiego i referat ministeryalny p. Róży. Obie prace znakomicie uzupełniają się nawzajem. Referat ministeryalny podaje gruntowny, szczegółowy, czasem wprost drobiazgowy rozbiór dowodów naszych z czasów przynależności Galicyi do Austryi, nie dotykając prawie stosunków dawniejszych; praca p. Czołowskiego, w tej swojej części, która omawia okres austryacki, referatem ministeryalnym znacznie prześcignięta, ma niespożytą zasługę przez to, że wyjaśniła pierwsza historyczny przebieg sporu granicznego jeszcze z czasów istnienia Rzeczypospolitej i pierwszych lat panowania austryackiego; nadto w sposób prawie wyczerpujący zestawiła pierwsza wiadomości, zaczerpnięte z literatury, i znaczenie niektórych ważnych zabytków kartograficznych należycie oceniła. P. Czołowskiemu zawdzięczam też wiadomość o rękopisie, w którym zebrane były dokumenty dowodowe Węgrów; prócz najważniejszych, które znałem już z aktów, dostarczonych mi przez Rząd, znalazłem tu niektóre inne, przedtem nieznane.

Wszystkim tym Panom, którzy w jakikolwiek sposób przygotowali czy ułatwili mi obronę, składam podziękowanie najserdeczniejsze. A że usłużyli przez to sprawie samej, więc zdaje mi się, że mogę to podziękowanie wypowiedzieć od wszystkich. I niech mi będzie wolno zarazem stwierdzić, że z tych licznych, wielkich dowodów uznania, jakie po ukończeniu procesu zewsząd otrzymywałem, odnoszę przynależną część do każdego, w miarę, jak ona komu przypada, niczego nie zatrzymując dla siebie wbrew słuszności.

Na tem mógłbym zakończyć to, co miałem do powiedzenia, ażeby uczynić zadość pierwszemu, naj-

milszemu obowiązkowi wdzięczności, gdyby nie inna okoliczność, która zmusza mnie zatrzymać się jeszcze na chwilę przy poruszonej sprawie. Zaraz bowiem po rozprawach w Gradcu zaczęły się pojawiać w dziennikach notatki, odnoszące mniej lub więcej zasadnie zasługę przeprowadzonego dowodu do różnych osób, niektóre nawet całkiem pod tym względem bezzasadne. Szczególnie znamienną była wiadomość, którą umieszczono w jednym z dzienników tutejszych, że wszystko, cokolwiek przedstawiłem w Gradcu, wziąłem od jednego z moich poprzedników. Wiadomość ta wymaga sprostowania, naprzód w interesie poprzedników innych, gdyż zasługa jest tu podzieloną; a potem z innego także względu. Wyznaję otwarcie, że gdy po ukończeniu studyów przygotowawczych zabrałem się do zestawienia materyału dowodowego, byłem prawie zdziwiony, jak wiele jeszcze, mimo wszystkie prace dawniejsze, pozostało pola do samoistnych wywodów. Stwierdzam najpierw, że wszystkie poprzednie referaty, nie wyjmując obu najważniejszych, ograniczyły się albo wyłącznie, albo prawie wyłącznie do wywodów pozytywnych, t. j. tych, które przemawiały za nami. Cały niemal dowód negatywny, t. j. zbicie argumentów węgierskich, w tamtych referatach, mniejsza o to: z umysłu czy przypadkiem pominięty — był do zrobienia. Żeby uwzględnić wymiar, przypomnieć muszę, że ów dowód negatywny zajął większą połowę wywodów w Gradcu. Ale nawet dowody pozytywne, dotknięte w poprzednich pracach, wymagały nieraz nowego oświetlenia. Interpretacya dawniejsza dokumentów białczańskich, stanowiących jeden z najwalniejszych dowodów posiadania polskiego w w. XVII. i XVIII., zaczepiona przez

Węgrów, mojem zdaniem słusznie, musiała być zastąpiona całkiem nową interpretacyą. Jeden z najważniejszych dowodów referatu ministeryalnego, iż terytoryum sporne stanowiło przedmiot wpisu w galicyjskim katastrze Józefińskim i z r. 1820, przeprowadzony był w odniesieniu do jednej tylko parceli, lasu; sprawy wpisu parceli drugiej, pastwiska, nie poruszono wcale; i znowu rzecz tę, wytkniętą przez Węgrów, trzeba było w Gradcu zasadniczo i szczegółowo wyjaśnić; zwłaszcza, że od tego zależała dowodność argumentacyi co do parceli lasowej. W tymże samym referacie ministeryalnym znajdował się cenny, bardzo szczegółowy wywód o publikacyach kartograficznych, przeszło siedmdziesięciu, ale że mapy podawały raz wersyę polską, raz węgierską, więc trzeba było odważyć ich dowodność i wzajemny stosunek, zgrupować w pewne chronologiczne działy, wyjaśnić motywy, dla których raz są błędne, raz prawdziwe — ażeby ostatecznie zdać sobie sprawę, dla czego wersya polska jest jedynie usprawiedliwioną. Na tych kilku przykładach poprzestaję; możnaby je bardzo znacznie powiększyć. Mam zamiar, skoro mi czas pozwoli, mój wywód gradzki ogłosić drukiem [1]; i żałuję bardzo, że z owymi sądami nie dało się zaczekać do tego czasu; wtedy bowiem znalazłaby się dopiero właściwa podstawa do ocenienia sprawy. Tutaj wspomniałem o tych rzeczach tylko z konieczności, dla usprawiedliwienia, dla czego czułem się w prawie przyjąć łaskawe zaproszenie Sz. Panów; gdyby bowiem

---

[1] Obecnie ogłoszony drukiem p. t.: O Morskie Oko, wywód praw polskich przed sądem polubownym w Gradcu, Lwów, 1906 str. 254.

prawdą było to, co napisano, z tego tu miejsca w tej chwili powinienby przemawiać — kto inny.

Mimo to, z innych zgoła powodów, z głębi przekonania i z całą szczerością, stwierdzam, że mnie tu na tem miejscu posadziła tylko wielka łaskawość i wielka życzliwość Sz. Panów. Ja nie mam prawa odbierać podziękowań za moją obronę. Mam dumę powiedzieć, że ta tyle dla wszystkich droga sprawa nie była dla mnie osobiście mniej drogą, niż dla kogokolwiek innego. Podejmując się obrony, uczyniłem tedy zadość nie tylko obowiązkowi, ale i potrzebie serca, a jeśli wyrok potrzebie tej odpowiedział, to nie w większym stopniu czyjejkolwiek, aniżeli mojej.

I to jest powód pierwszy; a drugi, to ten, że zasługę zwycięstwa ma tu właściwie nie obrońca, ale sprawa, która się broniła sama, szeregiem niewątpliwych dowodów. Wyznaję otwarcie, że, gdyby studyum materyału dowodowego nie było mnie przekonało o pełnej zasadności naszych praw, nie byłbym się był podjął obrony; nie potrafiłbym bowiem bronić tego, w co nie wierzę. Ta zasadność roszczeń, wypływająca z naszych dowodów, dała mi wiarę, zrodziła zapał, z jakim mogłem bronić. Tylko, kiedy się mówi o tem, że sprawa broniła się sama, należy się wystrzegać zasadniczego, bardzo przykrego nieporozumienia. Broniła się ona nie tylko samemi topograficznemi właściwościami terenu spornego, ale i licznymi innymi dowodami dokumentowymi, literackimi, kartograficznymi, które stwierdzały i odwieczne nasze posiadanie i odwieczne prawo. Nie tylko zaznaczona przez samą przyrodę granica naturalna wystarczała do ocalenia naszej sprawy. Mam to przekonanie, że gdyby nawet granica ta nie rzucała się tak

sama w oczy, gdyby nawet była całkiem zatarta, mieliśmy, na zasadzie naszych dowodów dokumentowych, prawo do zwycięstwa. Że w szeregu tych dowodów nie dał się przytoczyć żaden taki, któryby stwierdzał, że w pewnej chwili obie strony ustaliły dobrowolnie za obopólną zgodą pewną między sobą granicę, przyznaję; w takim jednak wypadku byłoby prawdopodobnie nie przyszło do sporu. Zarówno ja, jak i mój kolega, obrońca węgierski, staliśmy na tem stanowisku, że się przytoczyć dadzą głównie dowody t. z. jednostronne; jeżeli zaś obie strony dowody takie przytoczyły, to nie wynika stąd bynajmniej, żeby się one nawzajem znosiły. Są środki do odważenia ich dowodności i wzajemnego między sobą stosunku; a krytyka taka, rozpatrująca obok momentów formalnych także istotę rzeczy, sięgająca do gruntu, do jądra sprawy, wystarczyć może, ażeby i na tej podstawie wyświetlić prawdę, i wyznaczyć owym dowodom, formalnie jednostronnym, materyalne znaczenie dowodów pełnych.

Na ten moment pozwalam sobie zwrócić uwagę szczególną. Bo gdybyśmy zwycięstwo nasze zawdzięczać mieli przedewszystkiem konfiguracyi terenu, całe nasze głębokie przeświadczenie, że w sporze tym broniliśmy dobrze nabytych, odwiecznych, niewątpliwych praw, stanęłoby pod znakiem zapytania. Konfiguracya terenu nie jest tu rzeczą obojętną, ale w każdym razie nie pierwszorzędną. Są jeszcze inne dowody naszego prawa, a dowodów tych mieliśmy poddostatkiem. I tego przeświadczenia musimy się trzymać; bo gdyby miało być inaczej, cała moralna wartość zwycięstwa naszego zmalałaby do niepoznania. A ta jest tu ważniejszą, niż zwycięstwo mate-

ryalne. Nie można się łudzić: w tem wielkiem naprężeniu, z jakiem społeczeństwo nasze oczekiwało wyroku, w tej wielkiej radości, prawie że uniesieniu, z jakiem go powitało, mimo całą szczególną wartość samego przedmiotu sporu, sprawa zadośćuczynienia moralnego wysuwała się na pierwsze miejsce. Od czasu rozbiorów żyjemy pod znakiem walki o ziemię ojczystą przeciw wrogim żywiołom, i nie można powiedzieć, żeby natężenie tej walki w naszych czasach zmalało. Owszem, przybrało na rozmiarach i wydatności. Bo dawniej, jeśli była walka po jednej stronie kresów, to bywał zwykle spokój z innej strony. A dzisiaj złożyły się okoliczności tak, że nie ma spokoju znikąd; bo jeśli nawet napór nie idzie z góry, to się podnosi z dołu. Brutalna przemoc i brutalna napastliwość sprzysięgły się przeciwko nam. My wiemy, że w tej walce nie będziemy mieli żadnych sądów polubownych, i że jedyną w niej naszą ostoją: nasza wewnętrzna siła, nasza odporność i — sąd Boży. Ale to ciągłe, bezbożne gwałcenie naszych praw zrodziło w nas wielką gorycz i wielkie pragnienie sprawiedliwości, i wielką chęć wykazania na zewnątrz, że jeśli czego bronimy, to dla tego, że mamy prawo. I oto pierwszy raz, a może już i po raz ostatni, dzięki szlachetnemu stanowisku, jakie tu ostatecznie zajęli Węgrzy, spór nasz o kawałek ziemi ojczystej miał być rozstrzygnięty nie siłą, przemocą, ale wywodem praw, przed bezstronnym sądem polubownym. Materyalnie, w porównaniu z tem, o co walczymy gdzieindziej, była to znikająca drobnostka, ale moralnie rzecz bardzo ważna: miało się okazać, że my bronimy tego, co się nam słusznie i z prawa należy. Więc skoro mamy prawa tego dowody samoistne, musimy im

wyznaczyć należne znaczenie, przedniejsze w porównaniu z momentami konfiguracyi terenu — na pociechę i otuchę w dalszych, cięższych walkach, jakie nas czekają.

Powracam do przerwanego toku myśli, ażeby jeszcze raz stwierdzić, że mnie ta dobroć, to pełne uznanie, jakiego zewsząd po ukończeniu procesu doznawałem — wprost zawstydzają. Społeczeństwo nasze umie hojnie wynagradzać. Wy, Szan. Panowie, okazaliście się w tem znowu nieodrodnymi społeczeństwa tego synami, i tylko temu zawdzięczyć mam wysoki zaszczyt, jaki mnie dzisiaj spotyka. Więc — zawstydzony znowu tą dobrocią, z całego serca raz jeszcze dziękuję, i wznoszę toast na cześć wszystkich tu zebranych, na powodzenie tego Koła, które nas łączy, a wreszcie, co tu przed wszystkiem innem ważne: na cześć i powodzenie tej idei, która nas tu zgromadziła, która była drgającą struną całego zebrania: na całość i nietykalność naszej świętej, ukochanej ziemi ojczystej!

Kultura duchowa.

Przemówienie przy uroczystym akcie promocyi na doktora filozofii honoris causa Uniwersytetu lwowskiego d. 4. czerwca 1903[1].

Wasza Magnificencyo! Panie Dziekanie i Panie Promotorze! Zwracam się przedewszystkiem do Was z podziękowaniem najszczerszem za dopełnienie aktu, który mi daje prawo noszenia tej zaszczytnej godności. Akt, sam sobie w formalny, mógłby był pozostać takim w wykonaniu; ale to, coście przytem domówili, wlało weń treść, i życie, i ciepło serca. Dziękuję też z głębi serca.

Tobie, Panie Dziekanie, czuję potrzebę wyrazić jeszcze podziękowanie osobne, najszczersze, bardzo głębokie, nie tylko jako przewodniczącemu Wydziału, któremu tę godność zawdzięczam, ale i dla tego, że doświadczyłem i wiem, z jak szczerą życzliwością odnosiłeś się do tej sprawy. Wraz z Tobą dziękuję niemniej serdecznie wszystkim Kolegom z Wydziału filozoficznego za objawioną przez nich wolę, za ten wielki, cenniejszy i droższy nad inne zaszczyt, jakim mnie obdarzyli. Ubliżyłbym dostojeństwu tego fakultetu i znaczeniu godności, o której mowa, gdybym chciał powiedzieć, że mam ją do zawdzięczenia Waszej tylko, Szanowni Panowie, koleżańskiej życzliwo-

---

[1] Druk. w Gazecie Lwowskiej z d. 6. czerwca 1903 nr. 128 i osobno pod tytułem jak w napisie, Lwów, 1903, str. 15.

ści; ale wolno mi stwierdzić to, co silnie tkwi we mnie jako przekonanie, i co z przekonania, nie z pozornej skromności podnoszę: że ta nagroda, jaką otrzymałem, przenosi moje wobec nauki zasługi, że jest nagrodą nie tyle zasług, ile pracy, a zapewne także wypływem pewnego pokrewieństwa i związku tej pracy z dziedziną jednej z nauk, pielęgnowanych na Wydziale filozoficznym. Mówię tu o pracy naukowej w znaczeniu właściwem; bo to, co z nauki miałem sposobność spożytkować czy to w artykułach polemicznych, czy w obronie przed sądem polubownym, choć niewątpliwie dla tamtych spraw bardzo ważne, usuwa się tu na dalsze miejsce jako drobnostka. W naszej zwykłej kuźnicy naukowej nastręczają się zagadnienia bez porównania trudniejsze, a praca na ich rozwiązanie wyłożona, jest jakościowo odmienna.

Mam w istocie uczucie, że lubo ponad zasługę, nie wchodzę przecież całkiem obcy w grono doktorów filozofii. Mniejsza to, że jako student prawa odbywałem równocześnie studya filozoficzne, mniejsza i to, że po skończeniu praw byłem później przez pewien czas uczniem Wydziału filozoficznego. Węzły tego rodzaju mogły były zachować charakter mniej lub więcej zewnętrzny, jak się to nieraz zdarza w podobnych wypadkach. Nie śmiem też kłaść nacisku na prace, które ogłosiłem później z zakresu historyi w ścisłem tego słowa znaczeniu. Ale jest węzeł inny, istotny i bardzo silny, który już w czasie nauki uniwersyteckiej związał mnie najściślej z Wydziałem filozoficznym, tak trwały, że go już nic później osłabić nie zdołało. Mam tu na myśli to, co z Wydziału tego na całą dalszą przyszłość wyniosłem dla siebie, dzięki

kierownictwu naukowemu jednego z profesorów, ś. p. Liskego. I jeśli z dumą stwierdzić mogę, że w szeregu byłych moich profesorów prawa liczę mężów, którzy byli chlubą tego Uniwersytetu, są zaszczytną tradycyą naszego Wydziału prawniczego, a pozostaną na zawsze ozdobą nauki polskiej, niemniej przeto winienem dać świadectwo prawdzie, że tym, który mnie wprowadził w tajniki naukowych dociekań, odsłaniał drogi metody badawczej, zawsze do pracy zagrzewał i zachęcał, był przedewszystkiem Liske, niezapomniany, najlepszy mistrz, w którego sercu taka była miłość nauki i spraw naukowych, że mógł ją rozrzucać pełną dłonią pomiędzy licznych swoich uczniów, taki dla niej zapał, że starczył do rozniecenia nowych ognisk zapału pośród nas wszystkich. I tak zdarzyło się, że ten pierwszy, przed laty zadzierżgnięty węzeł z Wydziałem filozoficznym, stał się zarazem aktem wyświadczonego mi dobrodziejstwa, tytułem wdzięczności z mojej strony, najżywszej, najgłębszej: jak gdyby zapowiedź i uprzednie odbicie tego drugiego aktu, który się dokonywa dzisiaj, jako nowy tytuł tego samego związku ścisłego, nowe źródło tych samych uczuć wdzięczności.

Ale poza znaczeniem zasadniczem, jakie przedstawia udzielona mi zaszczytna godność, ma ona dla mnie inne jeszcze znaczenie, bardziej szczególne, powiedziałbym, ściśle osobiste. Od pierwszej chwili, w której nie tylko dla nauki pracować, ale do pracy naukowej przygotowywać się i sposobić mogłem, związał mnie los z tą oto lwowską Wszechnicą. Tutaj odbyłem znaczną część studyów uniwersyteckich, tutaj habilitowałem się jako docent, tutaj po dziś wykładam z katedry profesorskiej. Uczniowstwo, do-

centura, profesura, oto szereg węzłów, które mnie najściślej z tym naszym Uniwersytetem połączyły. Brakowało dotąd węzła doktoratu, gdyż pierwszy mój doktorat praw uzyskałem u Macierzy Jagiellońskiej. Zaszczyt, jaki mi się dziś dostaje w udziale, wypełnia i tę lukę. Za to poczuwam się do wdzięczności szczególnej; skoro bowiem na tej tu Wszechnicy danem mi było rozwinąć to, co mogę nazwać pracą całego życia mojego, więc nie dziw, żem się z nią zrósł, żem ją ukochał, i że każdy nowy łącznik, który mnie z nią sprzęga, jest dla mnie tak drogi: nowy zarazem bodziec do tego, ażeby temu dostojnemu przybytkowi nauki polskiej służyć dalej według najlepszych sił i możności.

Pracowałem dla nauki dla tego, że taką była, jest i będzie wewnętrzna potrzeba mojej duszy. Mógłbym był dla niej pracować z tem samem przejęciem i oddaniem się nawet wtedy, gdybym był przekonany z góry, że mnie żadno za to nie spotka uznanie. My, pracownicy nauki, nie jesteśmy z rzędu tych, którzyby zażywali zbytku uznania z zewnątrz, i wiemy, że niejedna inna praca, może nie tak żmudna, może nieraz bez tak istotnych i rzetelnych wyników, jak nasza, zdobywa sobie łatwiej uznanie większe i szersze, czasem dla tego tylko rozgłośna, że — głośna. Ale my mamy to, co nie każdemu innemu pracownikowi dane: rozkosz docierania do prawdy, zbliżania się do tego wielkiego światła, o którem wiemy, że błyszczy w całym majestacie, czujemy, że samo jest majestatem, choć go dla ludzkiej naszej ułomności nigdy w całym majestacie oglądać nie możemy. Ale już i te snopy promieni, jakie zeń prześwietlają, wzrokowi naszemu dostępne, pracą naszą wydobyte, są taką

siłą potężną, że nas przykuwają i pochłaniają. W służbie naszej bierzemy więc nagrodę najwyższą, bo zdobywamy dla siebie, a przez siebie dla innych, cząstkę tego, co jest wiecznem i nieśmiertelnem. Ta nagroda starczy za inne, tłómaczy nie tylko trud, wytłómaczy nawet poświęcenie. Więc, jeśli do tego przyłączy się jeszcze uznanie, to się tu bierze nagrodę podwójną, tem cenniejszą, tem bardziej istotną, jeśli ono wychodzi od grona, które samo dla nauki pracuje. A czasem tkwi w niem taka siła, tyle w niem jest dostojnego znaczenia, że, gdyby się nawet przeceniało wartość swej pracy, gdyby się, po ludzku, oczekiwało i żądało dla niej zewnętrznych objawów jakiegoś szacunku, powiedzieć przecież trzeba: oto nagroda nad miarę, z nawiązką. Taką nagrodę odbieram dziś z rąk Waszych, Panowie Koledzy, więcej szczęśliwy, niż zasłużony.

Pracowałem dla nauki także dla tego, ażeby, chociażby w najskromniejszej mierze, w miarę, jak mnie na to stać było, usłużyć sprawie pospolitej. My wiemy, że nam naszej pracy nie wolno miarkować wyłącznie skłonnościami osobistemi, że bardziej, niż inni, musimy ją dostosować do ogólnych, istotnych potrzeb narodu. Więc niech mi tu będzie wolno przypomnieć, o czem się nieraz zapomina, że praca naukowa jest z rzędu tych prac społecznych, które znaczeniem i doniosłością idą na czele. Idzie na czele, bo obejmuje jeden potężny dział kultury duchowej narodu. Dwa wielkie, niedające się zmierzyć pola, stoją otworem działalności życiowej narodów: kultura materyalna i kultura duchowa. Pierwsza — środek; druga — posłannictwo; pierwsza łącznik z tem, co czysto ziemskie; druga pomost do Boga, bo prawie

że zdobywająca dla ludzkości to, co należy do najistotniejszych pierwiastów bóstwa: dobro, piękno, prawdę. Pierwsza niewątpliwie potrzebna jako najbliższy warunek bytu, druga konieczna jako wyraz i objaw celowego istnienia narodów. Dla tego pierwsza nie tylko przemienna, ale i w poszczególnych przejawach znikoma, druga istotnie trwała; i wiemy, że to, co w spuściznie wieków, po narodach istniejących czy wymarłych, pozostało ludzkości jako dorobek prawdziwy, to tylko ich kultura duchowa, lub takie wytwory kultury materyalnej, na których kultura duchowa wycisnęła swoje piętno. W niej tkwi dusza narodu — więc pierwiastek życia i nieśmiertelności. I to niezależnie od tego, czy się ona rozwija w obrębie własnej, narodowej organizacyi państwowej, czy też poza nią. Państwo nie jest nie tylko duszą, nie jest nawet ciałem narodu; jest ono tylko pewną ramą, w którą pospolicie ujęte jest jego życie, a zarazem stosowną organizacyą dla urzeczywistnienia jego zadań zarówno w zakresie kultury materyalnej jak i duchowej. Stąd niewątpliwie wielka tej organizacyi doniosłość w życiu narodów, stąd nieprzeparte dążenie do jej stworzenia, utrzymania i odzyskania. Ale jedynym, koniecznym warunkiem tego życia organizacya owa nie jest. Nie jest nawet koniecznie miarą jego tętna, miarą wydatności pracy w kierunku urzeczywistnienia posłannictwa w zakresie kulturalnym. Nie każdy naród, pozbawiony własnej organizacyi państwowej, pomieniałby swe losy z każdym innym, który ją posiada, gdyby miał równocześnie także zamienić z nim swoją cywilizacyę. Jest w tem pewne zadośćuczynienie dla tych, których los skądinąd doświadcza; jest, na czarną godzinę,

otucha, usuwająca zwątpienie. Ale o jednem nie można tu zapomnieć: że kultura duchowa jest dla tych narodów w daleko wyższym stopniu kwestyą bytu, aniżeli dla innych; gdyż w braku zewnętrznych form i ram ich działalności, jest ona głównem świadectwem ich życia, jest życiem samem i — bytem. Są moce ludzkie, które w zapamiętaniu poważają się wydawać wyroki śmierci na całe narody; ale nie ma mocy ludzkiej, któraby ten wyrok przeprowadzić, któraby to życie zabić zdołała, pokąd naród wysoko dzierży sztandar cywilizacyjny. Znamy rozliczne upadki państw, nawet kwitnących, ale cała historya nie wykazuje ani jednego upadku narodu, który pozostał wiernym posłannictwu swemu w zakresie kulturalnym. Gdy mu się sprzeniewierzy, kiedy o niem zapomni, nie znajdzie się znowu żadna moc ludzka, któraby go od upadku uchroniła. Narody nie giną od zabójstwa, tylko od samobójstwa; ich los, ich przyszłość, cokolwiek je spotka z zewnątrz, są przedewszystkiem w ich ręku; a tem słowem zaklęcia, które tu rozstrzyga o życiu lub śmierci, jest: kultura duchowa, jej rozwój lub upadek, jej stopień napięcia. O tem trzeba nam pamiętać ciągle, i dla przypomnienia obowiązków, i na otuchę i zachętę. Wtedy ta praca nasza, którą inni mienią czasem pracą Mohikanów, którą my sami nieraz, w chwilach upadku na duchu, uważamy za pracę desperatów, okaże się pracą żywotną, celu świadomą, protestem przeciw złowróżbnym proroctwom, kordyałem przeciw własnemu zwątpieniu, bijącem tętnem życia w teraźniejszości, rodzicielką życia przyszłego.

A teraz zwracam się jeszcze na chwilę do wspomnień osobistych. Przed laty niespełna dwudziestu

stałem oto tak samo przed dostojnem zgromadzeniem trzech przedstawicieli Uniwersytetu Jagiellońskiego, ażeby z rąk ich odebrać pierwszy mój doktorat prawa. Młodą pierś rozpierały wtedy sprzeczne uczucia: i radość z uzyskanego pasowania do pracy naukowej, i niepewność, czy nałożonym na mnie obowiązkom zdołam odpowiedzieć. Za pomocą formułki: *spondeo ac polliceor* miałem ślubować wierne służby nauce. Rwały się do niej serce i umysł, ale pytało sumienie: czy starczą siły, czy nie przyjdzie chwila zwątpienia i zniechęcenia, czy nie znajdą się jakie przeciwności, które mnie od niej odwrócą? Minęło lat dwadzieścia; dziś jedno mam prawo stwierdzić: że starczyło wytrwałości, aby przyjętym obowiązkom pozostać wiernym. Ale przyszła oto chwila tej drugiej promocyi i zrodziła w mej duszy rozterkę jeszcze większą. Bo ta nowa, zaszczytna godność wkłada na mnie już nie tylko sam obowiązek pracy, ale stawia nowe wymagania co do jej jakości. Czy temu wymogowi sprostam, chociażby w części, nie wiem, wątpię. Ale to, co w dłuższym okresie lat mogłem wypróbować i doświadczyć na sobie, pozwala mi z pełnem przeświadczeniem i całą ufnością odpowiedzieć przynajmniej na jedno pytanie, które dawniej mogło być dla mnie wątpliwem: że w tej służbie dla nauki, która była mojego życia dążeniem, stała się jego słońcem, w y t r w a m, dopokąd starczy sił, do ostatniego tchu. Przyrzekam — ślubuję!

Wydziały filozoficzne w organizacyi i nauce uniwersyteckiej.

Przemówienie na uczcie, wydanej przez Uniwersytet lwowski z powodu promocyi na doktora filozofii honoris causa dnia 10 czerwca 1903.

Dziękuję, z całego serca dziękuję i Waszej Magnificencyi, i Panu Dziekanowi, i Wszystkim Szanownym Panom Kolegom. Powtarzam się, dziękując, a jednak nie mogę inaczej wyrazić tego, co mi na sercu leży, jak tylko zaczynając od podziękowań i kończąc na nich. Uczucie wdzięczności za tę wielką życzliwość, jakiej doznaję, góruje nad wszystkiemi innemi i szuka sobie koniecznego ujścia. Przed kilku dniami dziękowałem za zaszczyt, teraz dziękuję przedewszystkiem za ten objaw koleżańskiej życzliwości, za to, co mi Panowie dajecie z serc Waszych. Dziękuję zawstydzony, bo wiem, że na tyle łaskawości nie zasłużyłem; a przecież chwytam skwapliwie wszystko, co odbieram, takie to dla mnie drogie.

Złączony z Wami, Panowie Koledzy, tym nowym węzłem, tem wyżej cenię sobie węzły dawniejsze, nieraz osobiście bardzo blizkie i ścisłe, jakie mnie od początku z wielu wiązały. Gdzie nie było bliższych osobistych, była przecież nić nie tylko koleżaństwa w znaczeniu ciasnem, ale, jak sobie pochlebiam, i przyjacielskiej sympatyi, ale i życzliwych uczuć; może nie-

raz co do treści taka sama, jak tam, gdzie stosunek był bliższy osobiście. Zrodziły je wspólność usiłowań i wspólność pracy. W gronie, jak nasze, związanem jednością celu, jednością ideału, wystarczy współpracownictwo dla idei, ażeby nawiązać ścisły łącznik uczucia między współpracownikami; bo ta idea jest każdemu tak droga, jak gdyby była własnem jego dobrem: więc, ktokolwiek inny dla niej pracuje, zda się, jak gdyby nam samym czynił dobrze.

Za te Wasze uczucia szczere dziękuję Wam wszystkim, Panowie Koledzy; ale pozwólcie, Wy, z trzech pierwszych Wydziałów, że z podziękowaniem szczególnem zwrócę się do Kolegów z Wydziału filozoficznego; bo oni są tu nie tylko uczestnikami, ale zarazem sprawcami tej radosnej, jasnej chwili mojego życia.

Drogi skarb koleżańskich uczuć z ich strony chowam z tem większą dumą, pomny zaszczytnej tradycyi, jaką Wydziały filozoficzne przedstawiają w ogólnym rozwoju życia uniwersyteckiego. Żeby się wytłómaczyć jaśniej, pozwolę sobie na krótką dygresyą historyczną.

Jakkolwiek pojmować będziemy genezę organizacyi i życia uniwersytetów w wiekach średnich, jedno nie ulega wątpieniu, że najpierwszym momentem twórczym, który je powołał do życia, było poczucie pewnych potrzeb praktycznych ludzkości, chociażby nawet wyższych. To, co dzisiaj nauce uniwersyteckiej przyświeca jako gwiazda przewodnia i cel najwyższy: nauka dla nauki samej, wobec których wszystkie inne zadania, chociażby nawet wykształcenie fachowych pracowników w zawodach umysłowych, grupują się tylko jako cele uboczne

i dodatkowe — ta myśl była pod pewnym względem obcą owym czasom dawniejszym. Wieki średnie, zwłaszcza wcześniejsze ich stulecia, miały wprawdzie swoje ideały dla ideałów, ale te wyczerpywały się głównie w dziedzinie życia religijnego, dochodząc tu chociażby do takich skrajności, jak asceza i mistycyzm. Pozatem grubsze, szorstkie obyczaje i pojęcia ówczesne szukały przedewszystkiem zaspokojenia tego, co się przedstawiało jako potrzeba praktyczna, nawet wtedy, kiedy chodziło o organizacyą uniwersytetów. Że zaś ludzkość ma trzy głównie dobra na oku: zbawienie duszy, zdrowie ciała i całość majątku, więc nie dziw, że w średniowiecznem życiu uniwersyteckiem wysunęły się na pierwsze miejsce wydziały teologiczny, lekarski i prawniczy. Co prawda, potęga i znaczenie nauki jako takiej były już nawet wtedy tak wielkie, że trzeba było przynajmniej w części liczyć się także z innemi umiejętnościami, i zapewnić im, chociażby dodatkowo, jakieś miejsce na uniwersytetach. Że jednak owe gałęzie nauki nie dały się podciągnąć pod żadną z tamtych trzech kategoryj głównych, więc zbito je razem — w jednę *facultas artium*; i ta czterodzielność nauki uniwersyteckiej, wytworzona przedewszystkiem pod działaniem czynników praktycznych, siłą tradycyi utrzymała się po dziś dzień w organizacyi uniwersytetów, jako rzecz zasadniczo niecałkiem może konsekwentna i logiczna.

Takie pojmowanie rzeczy odbiło sią w wiekach średnich w niejednym kierunku ujemnie na stanowisku i losach Wydziałów filozoficznych. Zaprowadzano je nieraz dopiero dodatkowo, kiedy wszystkie trzy pierwsze Wydziały lub niektóre z nich dawno już przedtem istniały; a nawet po zaprowadzeniu

wyznaczano Wydziałom filozoficznym stanowisko, wobec tamtych podrzędniejsze, nierównorzędne. Ale mimo to, a raczej właśnie przez to, owe *facultates artium*, kopciuszek średniowiecznej organizacyi uniwersyteckiej, stały się ze wszystkich Wydziałów przedstawicielami, w najczystszej formie, tej myśli, która dziś w urządzeniu uniwersytetów góruje nad innemi: nauka przedewszystkiem dla nauki. Nie chcę oczywiście zaprzeczać przez to wiadomemu faktowi, że inne Wydziały zasłużyły się także około rozwoju nauki jako takiej, nieraz nawet potężnie i znamienicie. Wystarczy przypomnieć teologię paryską, prawo w Bononii, medycynę w pewnych okresach w Salerno i Montpellier. Przeciwstawić chcę tylko momenty twórcze i wypływający stąd charakter działalności Wydziałów, z których jedne, jeśli nawet naukę znacznie posunęły naprzód, to jednak celów praktycznych z oka nie spuszczały, inny, filozoficzny, przedewszystkiem do służby dla nauki samej powołany został.

Ta dystynkcya ma znaczenie nie tylko czysto teoretyczne i platoniczne. Przyszedł czas, w którym już nie tylko nauka sama, ale rzecz bez porównania ogólniejsza i donioślejsza: cały podkład cywilizacyjny świata zachodniego, cały jego charakter kulturalny miał ulec gruntownemu przeobrażeniu przez odrodzenie i humanizm. Dokonało się ono nie tylko samą pracą uniwersytetów; ale o ile uniwersytety brały w niej udział, główna w tem zasługa Wydziałów filozoficznych. A potem przyszedł inny czas — wiek XVII. i znaczna część XVIII. — kiedy naukowość na uniwersytetach Europy prawie że zamarła, kiedy cel praktyczny: przygotowanie przyszłych pracowników, możnaby powiedzieć: rzemieślników, w zawodach:

urzędniczym, lekarskim i t. d., wziął tu stanowczo górę. Uniwersytety zeszły do znaczenia prostych szkół fachowych, do tego lichych. Wtedy z Wydziałów filozoficznych wyszło pierwsze hasło reformy. Kiedy w drugiej połowie XVIII. stulecia znakomity twórca badań nad Homerem stworzył pierwsze seminaryum filologii klasycznej, zaświtał brzask nowej ery, nowych dążności w życiu uniwersyteckiem, a przez to pośrednio w rozwoju nauki.

Dziś, na szczęście, zmieniły się stosunki; naukowość jest wspólnem znamieniem wszystkich Wydziałów uniwersyteckich, służba wobec nauki dla nauki samej wspólnem wszystkich dążeniem i ideałem. Ale Wydziałom filozoficznym należy się pamięć tej roli, jaką w rozwoju naukowości odegrały, należy się także przypomnienie, że i dziś, wierne tradycyi, sztandar nauki dzierżą pospolicie wysoko.

Nasz lwowski Wydział filozoficzny, powołany, jak sam uniwersytet, stosunkowo późno do życia, nie przechodził tych wszystkich faz rozwojowych, o których wspomniałem; a część jego historyi jest nam nawet pod pewnym względem obca, dopokąd nie przywrócono tu nauki, opartej na właściwej, narodowej podstawie. Ale jak gdyby dla zadokumentowania starej tradycyi, że hasło odrodzenia wychodzi z Wydziałów filozoficznych, stało się, że i tutaj, jeszcze w przededniu owej reformy, wcześniej niż na innych naszych wydziałach, zaczęło na Wydziale naszym filozoficznym rozbrzmiewać głębokie treścią, porywające formą, potężne słowo nauki polskiej. I odtąd może sobie ów Wydział przyznać z dumą, że wstąpił w ślady starszych swoich poprzedników na innych uniwersytetach, stał się godnym ich spadkobiercą.

Gdyby trzeba dowodu, starczyłoby przytoczenie całego szeregu nazwisk mężów wybitnie w dziedzinie naukowej zasłużonych, którzy na nim działali i działają. Jednakże — o żyjących mówić nie wolno; zmarłych w tem tu gronie przypominać nie potrzeba, bo należą do niedawnej przeszłości i świeżo nam tkwią w pamięci. Więc wystarczy rzecz samą stwierdzić; a stwierdzając, dodać życzenia dalszego, najlepszego Wydziału tego rozwoju. Życzenia, w których to, co przedstawia stronę zasadniczą, interes Wydziału uniwersyteckiego, staje oczywiście na miejscu naczelnem, wobec czego same uczucia najmłodszego doktora filozofii cofają się całkiem w cień; do których jednak ośmielam się dołączyć gorącą prośbę, ażeby, miarkując doniosłość sprawy, o której mówię, oceniano też według niej siłę i napięcie uczuć, jakie mnie ożywiają.

Na cześć i pomyślność naszego Wydziału filozoficznego, i tej całości, do której on należy, ukochanej naszej *Almae Matris!*

W sprawie założenia bibliotek publicznych w ważniejszych miastach prowincyonalnych.

Memoryał ogłoszony w imieniu Towarzystwa dla popierania nauki polskiej we Lwowie r. 1903 [1].

Wydział Towarzystwa dla popierania nauki polskiej we Lwowie postanowił wdrożyć akcyą celem zakładania bibliotek publicznych w większych miastach prowincyonalnych.

Oba główne miasta naszego kraju, Lwów i Kraków, posiadają po kilka bibliotek, które bądź to same, bądź razem wzięte, czynią w przeważnej mierze zadość zarówno wymogom naukowym, jako też potrzebom szerszej, inteligentnej, publiczności, poszukującej w nich źródła wiedzy i nauki; niektóre z nich, pod względem nagromadzenia ważnych zabytków i skarbów przeszłości, przedstawiają pierwszorzędną doniosłość i stają godnie obok najpoważniejszych tego rodzaju instytucyj zagranicznych. Pozatem mamy jeszcze w kraju kilka innych bibliotek, założonych i utrzymywanych hojnością prywatną, jak Biblioteka hr. Branickich w Suchej, hr. Tarnowskich w Dzikowie, hr. Potockich w Krzeszowicach i Brzeżanach, Sanguszków

[1] Druk. pod tytułem podanym w napisie, Lwów, 1903, str. 10 (dołącz. do Sprawozdania Towarzystwa dla popierania nauki polskiej z tegoż roku), nadto, w nieco zmienionem brzmieniu, w piśmie zbiorowem: Myśl, Warszawa, 1905, str. 1 i n.

w Gumniskach, Cieńskich w Oknie i (niedostępna obecnie niestety) Biblioteka hr. Szembeków w Porębie. I te biblioteki zawierają nieraz nader cenne zabytki, z których chętnie pozwalają korzystać uczonym; ich użyteczność jest jednak pod pewnym względem ograniczona, najpierw dla tego że zbiory te obejmują przeważnie zabytki literatury dawniejszej, i nie mogą być, z istoty rzeczy, pomnażane w odpowiednim stosunku do rozwoju i rozrostu literatury dzisiejszej; a powtóre dla tego, że znajdują się w miejscowościach mniejszych, gdzie poczet inteligencyi, szukającej umysłowego pokarmu w lekturze poważnej, jest stosunkowo nieznaczny, a przeto też koło osób, korzystających z rzeczonych bibliotek, bardzo szczupłe.

Pozatem — można powiedzieć bez przesady — nie ma u nas w kraju bibliotek publicznych o poważniejszym zakroju. W miastach i miasteczkach, posiadających szkoły średnie lub pewne wyższe szkoły fachowe, istnieją jeszcze t. zw. biblioteki profesorskie, złożone z książek naukowej treści. Te jednak muszą przedewszystkiem zwracać uwagę na literaturę pedagogiczno-dydaktyczną, lub pewne szczególne gałęzie wiedzy, w odnośnych zakładach naukowych wykładane, a i tutaj przedewszystkiem dążyć do zakupna dzieł ogólniejszej treści: wykładów systematycznych, podręczników, słowników i t. p. Są zatem pod pewnym względem jednostronne, a dodajmy do tego, wobec niezwykle szczupłej dotacyi rządowej, stosunkowo ubogie. Wreszcie biblioteki te są w zasadzie przeznaczone tylko do użytku grona profesorskiego, niedostępne szerszym kołom, zatem nie — publiczne. Prócz nich — możnaby tu wymienić chyba jeszcze czytelnie i biblioteki, utrzymywane przez miejscowe

instytucye dla rozbudzenia życia towarzyskiego (kasyna i t. p.), ale chyba na to, ażeby zaraz stwierdzić, że i one poważniejszym potrzebom wcale nie odpowiadają, ograniczają się bowiem prawie wyłącznie albo tylko do utrzymywania ilustracyj i dzienników politycznych, albo w najlepszym razie nabywają jeszcze dzieła belletrystyczne, nieraz bez wyboru, lichej wartości. Tę samą mniej więcej rolę odgrywają też utrzymywane gdzieniegdzie w celach zysku przez miejscowe księgarnie wypożyczalnie książek, w których poza belletrystyką, i to znowu dość często przestarzałą i lichą, niczego więcej się nie doszukasz. Czytelnie ludowe, rzemieślnicze i t. p., pierwszorzędny zresztą czynnik cywilizacyjny w odniesieniu do niższych warstw społeczeństwa, właśnie dla tego, że do ich tylko potrzeb dostosowane, nie wchodzą tu w rachubę.

Tak przedstawiają się stosunki nie tylko w miasteczkach, ale nawet w największych miastach prowincyonalnych naszego kraju, że tu wymienimy tylko: Tarnów, Rzeszów, Przemyśl, Tarnopol, Stanisławów, Kołomyję. Miejscowości o 30 i 40 tysiącach zaludnienia nie posiadają żadnych poważniejszych zbiorów bibliotecznych. Nie wspominamy już z osobna o niektórych miastach w sąsiednich prowincyach, jak Cieszynie i Czerniowcach, w których wprawdzie zbiory takie istnieją, urządzone jednak w ten sposób, że w przeważnej części potrzebom ludności polskiej nie odpowiadają.

Taki stan rzeczy jest bez wątpienia zjawiskiem pod każdym względem ujemnem. Żeby dotknąć przedewszystkiem szczegółu stosunkowo podrzędniejszego znaczenia, stwierdzić trzeba, że w braku bibliotek publicznych niejednokrotnie potrzeby praktycznego

życia nie znajdują tu dostatecznego zaspokojenia. Dla tych celów praktycznych trzeba nieraz zaglądnąć czy do zbiorów praw, czy do wykazów statystycznych, czy też zapoznać się ze sprawozdaniami o stanie i rozwoju pewnych instytucyj, czy wreszcie przepatrzyć pewne wiadomości w podręcznikach, słownikach, wydawnictwach zbiorowych i t. p. Gdzie istnieje biblioteka publiczna, zawierająca tego rodzaju wydawnictwa, tam informacye powyższe z łatwością dadzą się uzyskać; w jej braku trzeba się ich wyrzec, albo też można je zdobyć conajwięcej z wielkiemi trudnościami, nieraz niemałym nakładem pracy, czasu i pieniądza, zakupując osobno odnośne książki, lub wypożyczając je z bibliotek zamiejscowych. Że na tem zadania praktycznego życia niejednokrotnie cierpią, wywodzić szczegółowo nie potrzeba.

Ale ponadto wchodzą tu w grę momenty jeszcze ważniejsze. Przedewszystkiem ten, że brak bibliotek publicznych zabija tu prawie wszelką naukowość, albo przynajmniej rozwojowi jej niezmierne stawia przeszkody. Większe miasta prowincyonalne skupiają w sobie stosunkowo znaczny poczet inteligencyi, profesorów szkół średnich, prawników, lekarzy, inżynierów i t. p.; ludzi, którzy odebrali wyższe wykształcenie naukowe, z których niejeden z czasu swoich studyów wyniósł nawet szczere zamiłowanie do samodzielnej pracy w pewnej gałęzi umiejętności, może już nawet sił swoich w tym kierunku z powodzeniem próbował, a teraz, rzucony „na prowincyą“, pragnąłby dalej dla nauki pracować. Pragnąłby — ale brak poważniejszego zbioru bibliotecznego na miejscu nie pozwala mu na to. Wiadomo, że do prac naukowych potrzeba najczęściej zgromadzenia całych dziesiątek

i setek ksiąg. Zakupić ich samemu niepodobna, bo i funduszów brak, i nie wszystko już zakupić da się; sprowadzić z bibliotek stołecznych także nie można, gdyż biblioteki te — dla słusznych zresztą powodów — znaczniejszej ilości książek od razu stronom zamiejscowym nie wypożyczają. To też wszelka praca naukowa na prowincyi jest ciężką walką z ustawicznemi, raz wraz piętrzącemi się trudnościami zewnętrznemi — brakiem materyału książkowego. Najwytrwalsi przełamią przeszkody cierpliwością i nieraz znaczną ofiarą materyalną, osiągając wytknięty cel daleko większym nakładem czasu i pracy, aniżeli to byłoby możliwe, gdyby materyał ten był im dostępny na miejscu; a i tutaj nieraz wartość pracy naukowej w niejednym względzie ucierpi z powodu, że nie można było literatury wyczerpać w całości; inni — tych oczywiście stosunkowo najwięcej — zrażeni trudnościami, zniechęcają się do pracy i zakładają ręce bezczynnie. Możnaby przytoczyć liczne przykłady, gdzie ludzie, wyposażeni prawdziwym talentem naukowym, ożywieni szczerą chęcią służenia nauce, rzuceni losem „na prowincyą", zmarnieli w całości, dla tego tylko, że się tam oprzeć nie mogli o jakiś poważniejszy zbiór biblioteczny.

Brak takich zbiorów oddziaływa tu wszelako szkodliwie w innym jeszcze kierunku, i w daleko szerszym zakresie. Poza nielicznemi stosunkowo jednostkami, które same dla postępu nauki pracują, znajduje się w każdej takiej miejscowości stosunkowo znaczny zastęp inteligencyi, który pracy takiej nie podejmuje, ale bądź co bądź często odczuwa potrzebę zapoznania się przynajmniej z ważniejszymi wynikami nauki, przyswojenia sobie jej zdobyczy, teraz zwłaszcza tak

licznych i nieraz tyle doniosłych, czy to w ogóle, czy w pewnych szczególnych gałęziach wiedzy, czy przez lekturę rzeczy ściśle naukowych, czy też publikacyj więcej popularnych. Ta szeroka publiczność nie może znaleść zaspokojenia swych potrzeb, jeżeli niedostaje biblioteki publicznej na miejscu. W najlepszym razie ten lub ów sprowadzi książki własnym kosztem; ale i tu znowu, z istoty rzeczy, musi się ograniczyć do nabytków nieznacznych, a częstokroć nie najlepszych i najważniejszych; przeważna większość, cofając się przed wydatkiem, zrzeka się z konieczności poważniejszej strawy umysłowej. Tem też dzieje się, że lektura książkowa na prowincyi ograniczyć się musi w ostatecznym wyniku przeważnie do tych tylko zasobów, jakimi na miejscu rozporządzać można, głównie i przedewszystkiem do belletrystyki, dostarczanej przez „czytelnie" i „wypożyczalnie", która, gdyby ją nawet ograniczyć do samych tylko utworów wyborowych, daleką jest od zaspokojenia wszystkich potrzeb umysłu ludzkiego; w tej zaś formie, w jakiej zwykle jest podawana, często w utworach lichych, bez wartości, sprowadza wreszcie w krótkim czasie przesyt i niechęć do książki w ogóle. Brak poważniejszej, łatwo dostępnej strawy umysłowej na miejscu, powoduje zatem w ostatecznym wyniku, nawet w ważniejszych centrach na prowincyi, pewne obniżenie umysłowości, pewien spadek pod względem kulturalnym, częstokroć nawet bez winy jednostek.

Z uwag tych wypływa, jak wielką doniosłość w życiu każdej większej miejscowości przedstawiają odpowiednio urządzone biblioteki publiczne. Są one pod pewnym względem źródłem i ogniskiem cywilizacyjnem, zatem instytucyą, której stworzenie stanowi

jednę z najistotniejszych potrzeb owych miejscowości, a pośrednio leży także w interesie całego społeczeństwa. Toż gdzieindziej, na Zachodzie, takie prowincyonalne biblioteki publiczne są zjawiskiem dość pospolitem: we Francyi, Szwajcaryi, Niemczech, znajdują się one nie tylko w stolicach państw i krajów, posiadają je liczne miasta departamentowe, kantonalne, obwodowe; nieraz w jednym okręgu znaleść można kilka miast z bibliotekami publicznemi. Czasem biblioteki owe zawdzięczają początek i utrzymanie szczodrobliwości jakiegoś mecenasa, czasem łoży na nie pieniądze jakieś Towarzystwo uczone, najczęściej jednak utrzymywane są z funduszów publicznych samego okręgu, lub, co wypadek najzwyklejszy, z dotacyi miasta. Zrozumienie zadań i obowiązków kulturalnych i łączącego się z tem własnego interesu, jest tu zatem całkiem trafne.

U nas nie doszło dotąd nigdzie do trwałego założenia takich bibliotek [1]; prawie że nie poruszono nawet myśli ich założenia. A jednak sprawa jest tyle ważną, że nie można przejść nad nią do porządku dziennego; im rychlej się zaś przystąpi do urzeczywistnienia myśli, tem lepiej dla niej i dla — samego społeczeństwa. Więc skoro dotąd znikąd nie poczyniono kroków, któreby do celu owego racyonalnie prowadziły, i nie zanosi się na to, żeby je skądinąd podjęto obecnie, Wydział naszego Towarzystwa czuł się uprawnionym i obowiązanym zająć się tą sprawą, i w miarę sił i środków, jakiemi Towarzystwo roz-

[1] Zapis hr. Baworowskiego przewiduje możność utworzenia biblioteki w Tarnopolu; chwilowe próby utrzymywania takich bibliotek w Stanisławowie i Żółkwi spełzły na niczem, dla braku dotacyi i stałego fachowego kierownictwa.

porządza, wdrożyć akcyą przygotowawczą celem urzeczywistnienia tej myśli. Nie potrzeba chyba ostrzegać, że ta akcya nie może być od razu podjęta na najszersze rozmiary, i że nie może doprowadzić naraz do stworzenia bibliotek w całym szeregu ważniejszych naszych miast prowincyonalnych. W danych warunkach, chociażby przy największym wysiłku pracy, i przy znaczniejszym nakładzie pieniężnym, musi ona zmierzać do osiągnięcia wskazanego celu powoli i stopniowo, zatem przedewszystkiem do stworzenia i utrzymania jednej takiej biblioteki publicznej; potem, zapewne znowu dopiero po upływie dłuższego czasu, będzie można pomyśleć o drugiej i dalszych. Ale już stworzenie chociażby jednej biblioteki będzie rzetelnym i trwałym nabytkiem cywilizacyjnym naszego społeczeństwa. W urzeczywistnieniu zadań, jak niniejsze, które śmiało można nazwać wielkiemi, a przeto i trudnemi, trzeba mieć przedewszystkiem odwagę, żeby sam cel, na dalszą metę obliczony, postawić sobie przed oczy, i działalność, do jego osiągnięcia zmierzającą, choćby na dłuższe okresy rozłożoną, rozpocząć.

Przytem należy oczywiście zastanowić się nad pytaniem, jakich środków i wkładów urzeczywistnienie tego celu wymagać będzie. Rozpatrzmy więc na tem miejscu pytanie, czego potrzeba, ażeby jedna biblioteka publiczna prowincyonalna mogła być założona i na stałe utrzymana.

Potrzeba tu zatem:

1. Pewnego, znaczniejszego od razu substratu w książkach, nie tylko jako jądra i zawiązku biblioteki, ale zarazem jako materyału, któryby na pewien czas, zanim ona stopniowo nie urośnie, pozwolił jej,

chociażby w skromnej, ale w każdym razie poważnej mierze spełniać przyjęte na się zadania. Sądzimy, że zawiązek taki, obliczony na kilkanaście do dwudziestu tysięcy tomów, mógłby na początek wystarczyć.

2. Potrzeba stosownego budynku na umieszczenie biblioteki, tudzież odpowiedniego urządzenia tegoż gmachu dla celów bibliotecznych.

3. Po instalacyi biblioteki samej potrzeba corocznego stałego wkładu na utrzymanie i zarząd gmachu, na personal urzędniczy, służbę biblioteczną, wreszcie też stałej dotacyi na zakupno i oprawę książek.

Rozpatrzmy przedewszystkiem dwa ostatnie punkty.

Gmach biblioteczny należałoby albo zbudować osobno, albo też możnaby bibliotekę pomieścić w jakimś istniejącym już lokalu publicznym, któryby się do tego celu nadał. W pierwszym wypadku, ograniczając się nawet do budowli stosunkowo skromnej i na niezbyt wielki księgozbiór obliczonej, trzebaby przeznaczyć na to sumę conajmniej 80.000—100.000 koron, licząc tu już także koszt samego urządzenia bibliotecznego; nie potrzeba dodawać, że zarówno sama istota rzeczy, a bardziej jeszcze znane niedostatki policyi ogniowej w naszych miastach prowincyonalnych, wymagałyby, ażeby konstrukcya budynku dawała zupełne bezpieczeństwo ogniowe dla złożonych tamże zbiorów. Z tego ostatniego powodu także i w drugim wypadku, t. j. w razie ustąpienia przez zarząd miasta gotowego budynku na cele biblioteczne, musiałaby tu być przeprowadzona nie tylko zwykła adaptacya, ale i stosowna rekonstrukcya dla zabezpieczenia przed niebezpieczeństwem pożaru, i dla tego wydatek na ten cel przeznaczony, z doliczeniem wy-

datku na samo urządzenie biblioteki, musiałby conajmniej wynieść 20.000—30.000 koron.

Na czele biblioteki, jako jej zarządcę, należałoby koniecznie postawić człowieka, odpowiednio do tego uzdolnionego, a więc takiego, któryby odbył już praktykę biblioteczną (n. p. w którejś z bibliotek stołecznych), i sam poświęca się uprawie jakiejś gałęzi nauki. Jeden i drugi warunek musiałyby się tu schodzić; sama praktyka biblioteczna nie wystarczyłaby jeszcze; nie ma większego nieszczęścia dla biblioteki, jak kiedy na jej czele stanie człowiek, który sam nauki nie kocha, zrozumienia dla jej potrzeb nie ma, sam dla niej nie pracuje. Przytem należałoby dążyć do tego, ażeby los jego związać o ile możności na stałe z losem powierzonej mu instytucyi, żeby urzędu swego nie uważał z konieczności tylko za chwilowe zajęcie; tylko w tym razie ma się pewniejsze rękojmie prawdziwie sumiennego pełnienia obowiązków i szczerego zajęcia się dobrem biblioteki. Odpowiednio do tych wymogów nie należałoby tedy zbytnio oszczędzać na rocznej płacy bibliotekarza; i gdyby tu nawet można zacząć od sum stosunkowo niższych, n. p. 2000—2400 koron, należałoby mu zapewnić, w miarę lat służby, stosowne dalsze dodatki, skutkiem których płaca mogłaby być podniesiona mniej więcej do 5000 koron, a może nawet i wyżej.

Ażeby się trzymać granic możliwie skromnych i ograniczyć cały stały personal biblioteczny do tego jednego urzędnika, należałoby mu przecież koniecznie (na wzór bibliotek stołecznych) dodać do pomocy jednego lub dwu prowizorycznych pomocników o wynagrodzeniu rocznem około 600 koron, co pociągnęłoby za sobą dalszy wydatek 600—1200 koron; do

czego dodać jeszcze trzeba roczną płacę woźnego bibliotecznego (który zarazem mógłby być dozorcą gmachu) 600—800 koron.

Gdyby przy stawianiu biblioteki zbudowano zarazem mieszkania dla niektórych wymienionych tu funkcyonaryuszów, możnaby wartość mieszkania odliczyć w stosunkowej części od rzeczonych płac, w wysokości mniej więcej 20%; w tym wypadku płaca bibliotekarza wynosiłaby 1600—4000 koron, płaca woźnego 500—650 koron.

Co do rocznej dotacyi na zakupno i oprawę książek, nie możnaby chyba oznaczyć jej niżej 2000 do 3000 koron.

Samo utrzymanie budynku, wraz z opałem i oświetleniem, kosztowałoby rocznie zapewne około 1000 koron.

Na ogół zatem biorąc, przy najskromniejszych obliczeniach, samo założenie biblioteki wymagałoby jednorazowego wydatku około 80.000—100.000 koron lub 20.000—30.000 koron, a dalsze jej utrzymanie stałej rocznej dotacyi około 6.200—11.000 lub 5.800—9.670 koron. Sumy na pozór dość wysokie, w rzeczywistości jednak znikająco małe, w stosunku do olbrzymich korzyści, jakie biblioteka taka przynieść może i musi.

Towarzystwo nasze, samo dopiero kilka lat istnienia za sobą liczące, rozporządzające funduszami stosunkowo skromnymi, nie może obecnie myśleć o pokryciu chociażby części rzeczonych wydatków, a i w przyszłości, przynajmniej najbliższej, mimo spodziewanego dalszego rozwoju, nie byłoby przecież w stanie przyjąć ciężaru tego w całości na siebie. Kiedy sama myśl dojrzeje do urzeczywistnienia, pokryje ono część wydatków, w miarę możności, i podejmie się stałego

zasilania funduszu bibliotecznego pewną roczną dotacyą, do wysokości dochodów swoich zastosowaną. Mimo to wychodzi ono z zapatrywania, iż myśl ta nie jest niemożliwą do przeprowadzenia, i że przy dobrej woli i współdziałaniu interesowanych czynników stosunkowo łatwo i rychło dałaby się urzeczywistnić. W pierwszym rzędzie powołane są do poparcia Towarzystwa w tej sprawie same zarządy miast prowincyonalnych, gdyż o ich dobro przedewszystkiem tu chodzi; niewątpliwie też ze strony Reprezentacyi krajowej i Rządu, obowiązanych do popierania kulturalnych zadań kraju, znajdzie się w swoim czasie poparcie materyalne, zapewne na samo urządzenie biblioteki jednorazowo wydatniejsze, a w dalszym ciągu, jeśli nawet mniejsze, to stałe. Może też znajdą się życzliwe dla myśli samej, bogatsze jednostki, zwłaszcza takie, które z daną miejscowością silniejsze łączą węzły, które na cel ten nie poskąpią grosza. Takie łączne poparcie umożliwi Towarzystwu stworzenie instytucyi, pod każdym względem doniosłej i ważnej. Gdyby zaś, wbrew oczekiwaniu, obliczenia te zawieść miały albo w całości, albo w przeważnej części, rzecz sama nie byłaby przecież jeszcze stracona, tylko urzeczywistnienie jej musiałoby się znacznie przewlec, aż do czasu, dokąd samo Towarzystwo, przez coroczne odkładanie pewnych sum, w szeregu lat nie złożyłoby funduszu, potrzebnego na założenie biblioteki, a roczne jego dochody w kapitale obrotowym nie urosłyby do tego stopnia, żeby bez uszczerbku dla innych swoich zadań mogło się podjąć całego ciężaru utrzymania biblioteki.

Kiedy do samego założenia instytucyi przyjdzie, znajdzie się też stosowna chwila do określenia całego

kompleksu pytań administracyjno-prawnych, biblioteki dotyczących, więc stosunku jej do Towarzystwa, zarządu administracyjnego i kontroli nad nim, prawa nominacyi urzędników i funkcyonaryuszów bibliotecznych i t. p. Już tutaj jednak zaznaczyć należy, że conajmniej cała strona naukowa w działalności biblioteki będzie musiała być poddana pod stałe kierownictwo i kontrolę Towarzystwa, ażeby przez ingerencyą innych, mniej fachowych czynników, nie doznała wypaczenia.

Tymczasem zaś, zanim jeszcze ustalone i zapewnione będą potrzebne środki finansowe, nastręcza się już teraz sposobność zapoczątkowania akcyi, prowadzącej do wskazanego celu. Jest nią gromadzenie materyału książkowego, w ogóle bibliotecznego, jako zawiązku przyszłej biblioteki, który już przy samem jej założeniu, jak zaznaczono poprzednio, musi być znaczniejszy. Z samej istoty rzeczy wynika, że to pierwszy, wstępny krok, który tu uczynić należy. Towarzystwo nasze postanowiło tedy wziąć inicyatywę w tej sprawie, ażeby w stosownej chwili, kiedy się stosunki złożą pomyślnie, rozporządzać gotowym substratem do założenia biblioteki, ażeby — dodajmy wyraźnie — chwilę tę przyspieszyć.

W tej myśli odwołuje się Towarzystwo do poczucia obywatelskiego wszystkich, do poparcia całego społeczeństwa, upraszając o nadsyłanie na swe ręce darów w książkach i innych przedmiotach bibliotecznych. Na to poparcie liczy ono z tem większą ufnością, że ofiarność w tym kierunku nie przynosi zazwyczaj żadnego uszczerbku materyalnego. I nie ma prawie nikogo,

ktoby nam tu z pomocą pospieszyć nie mógł. Więc najpierw instytucye i władze publiczne, przesyłając nam swe publikacye urzędowe: instytucye i towarzystwa naukowe, udzielając nam wydawnictw, przez siebie ogłaszanych; podobnież redakcye czasopism i dzienników, przesyłając nam swoje pisma. Niemniej też upraszamy o poparcie ze strony księgarzy i wydawców, jako też autorów, przez nadsyłanie książek, w nakładzie swoim ogłoszonych. Wreszcie udajemy się z prośbą do wszystkich o datki w książkach, i z tej strony właśnie spodziewamy się poparcia najwydatniejszego. Nie ma dziś chyba człowieka inteligentnego, w którego posiadaniu nie znachodziłaby się znaczniejsza ilość książek. Nawet ci, którzy sami tworzą z nich biblioteki prywatne, wydzielają z nich od czasu do czasu pewne zgoła już niepotrzebne druki, które bezużytecznie leżą porzucone w kątach lub skrzyniach, albo też przechodzą w ręce antykwarzów za cenę tak niestosunkowo niską, że sprzedaż da się tu usprawiedliwić chyba tylko chęcią pozbycia się niepotrzebnego, zawadzającego balastu książkowego. Wielu innych, choć chętnie książki kupują i czytają, nie przywiązuje znowu wagi do zbierania bibliotek prywatnych; książki przeczytane leżą tu znowu bezużytecznie albo niszczeją. Cóż mówić o tych książkach, które nieraz, w spadku otrzymane, nie przedstawiają żadnego interesu dla dzisiejszych posiadaczy, i czasem nietknięte, zapomniane, całymi dziesiątkami i setkami lat, walają się po strychach i piwnicach, zdane na pastwę moli i zbutwienia? Antykwarz, jeśli je kupi, to znowu chyba prawie za darmo, choć nieraz są między niemi rzeczy ważne i cenne; to też najczęściej niesprzedane

ulegają zupełnemu zniszczeniu. Darowane na rzecz bibliotek mogą one nieraz stanowić bardzo cenny dla nich nabytek.

Tak więc ze wszystkich stron, przy odrobinie pamięci i dobrej woli, możliwem jest poparcie wytkniętego przez nas celu, a przez to także stosunkowo rychłe zbliżenie się do jego urzeczywistnienia. Jeślibyśmy, jak się spodziewać należy, doznali tego poparcia od wszystkich poprzednio wymienionych instytucyj i osób, materyał książkowy, zebrany na założenie bibliotek, mógłby nawet pod wielu względami przedstawiać zaokrągloną całość; o ile bowiem dary jednych zaopatrzyłyby zbiór w utwory nowsze i najnowsze, o tyle w darach innych znaleśćby się mogły cenne uzupełnienia literatury dawniejszej. I nie ma rodzaju książki czy publikacyi, któraby się do tego zbioru nie przydała: czy publikacye zbiorowe, czy encyklopedye, czy słowniki, zbiory praw, lub wykazy statystyczne, roczniki pism czasowych czy dzienników, książki ściśle naukowe lub popularne, podręczniki sytematyczne lub monografie, utwory belletrestyczne jakiejkolwiek treści, podręczniki szkolne dawniejsze i nowsze, książki dla młodzieży, sprawozdania z działalności rozmaitych instytucyj, broszury jakiejkolwiek treści, nawet pisma ulotne i t. p., wszystko to, ogłoszone zresztą w jakimkolwiek języku, jest pożądanym nabytkiem każdej biblioteki publicznej i znajdzie w niej stosowne dla siebie miejsce. Że zaś, licząc na dalszą metę, mamy na celu założenie większej ilości bibliotek, więc, o ile to jest rzeczą możliwą, dary większej

ilości egzemplarzy tego samego dzieła (6—8) byłyby nam ze wszech miar pożądane.

Obok druków przyjmować też będziemy z wdzięcznością, przeznaczając je dla tego samego celu, dary w innych przedmiotach, gromadzonych zazwyczaj w bibliotekach, jak: atlasy i mapy geograficzne, rękopisy, dokumenty, stare pieczęcie, mo, nety, medale, sztychy i t. p.

Wszelkie przedmioty, nadsyłane dla naszego zbioru- będą inwentaryzowane; wiadomość o otrzymanych darach podawać będziemy corocznie w Sprawozdaniach Towarzystwa, o ile to zaś będzie możliwe, także w krótszych odstępach czasu za pośrednictwem dzienników.

Co do samego zużytkowania zgromadzonych zbiorów, zamierzamy w zasadzie przekazać wszystko, co się zbierze aż do założenia pierwszej biblioteki, tejże właśnie bibliotece, zachowując oczywiście dublety, tryplety i t. p. dla bibliotek, później powstać mających. Tylko w tym wypadku, gdyby skutkiem trudności finansowych założenie biblioteki bardziej się odwlokło, a tymczasem zbiory tak znacznie urosły, iż mogłyby starczyć na pierwsze wyposażenie dwu lub więcej bibliotek, zastrzegamy sobie możność rozdziału zebranego materyału. Przed oddaniem mamy też zamiar pewną, jak przypuszczać można, nieznaczną ilość książek spożytkować w inny sposób. Jest mianowicie rzeczą możliwą, że w szeregu nadsyłanych darów znajdą się rzadkości bibliograficzne, których nie posiadają nawet wielkie nasze biblioteki stołeczne. Otóż, uznając całą ważność i doniosłość bibliotek prowincyonalnych, nie możemy przecież taić sobie, że do znaczenia wielkich, wyczerpujących zbiorów całej lite-

ratury dojść nie mogą, i że do celu tego zmierzać przedewszystkiem powinny biblioteki największe, stołeczne. Wspomniane druki zamierzamy tedy przekazać jednej z tych ostatnich bibliotek, wybierając tu mianowicie Bibliotekę im. Ossolińskich we Lwowie. Pozostawiamy wszelako osobom, nadsyłającym dary, możność zastrzeżenia, ażeby nawet takie druki przekazane zostały bibliotekom prowincyonalnym, jak niemniej także zarządzenia, ażeby pewne dary użyte zostały na wyposażenie biblioteki prowincyonalnej w pewnem tylko (nie zaś w jakiemkolwiek innem) mieście. Tego rodzaju zastrzeżenia będą w inwentarzu zapisywane i przy rozdziale zbiorów ściśle uwzględniane.

Oto środki i sposoby, którymi spodziewamy się osiągnąć wytknięty przez nas cel. Przeświadczeni o jego wielkiej doniosłości, ufni, że przy dobrej woli i wytrwałości da się urzeczywistnić, zwracamy się raz jeszcze do Wszystkich z usilną i gorącą prośbą o wszechstronne poparcie naszych usiłowań.

Prof. Piekosiński i Statuty litewskie.

Krytykowi ruskiemu kilka słów objaśnienia (1907) [1].

Przed kilkunastu dniami zamieściło jedno z tutejszych pism ruskich wielce ujemną krytykę działalności naukowej ś. p. prof. Fr. Piekosińskiego, a w związku z tem krytykę Akademii Umiejętności w Krakowie (w której nakładzie ukazały się publikacye tegoż uczonego), połączoną z wycieczkami przeciwko nauce polskiej w ogóle.

Niepodpisany krytyk zarzuca prof. Piekosińskiemu, 1) że przystępując do wydania tekstu (polskiego i łacińskiego) drugiego Statutu litewskiego z r. 1566, nie wiedział o publikacyi tegoż Statutu w urzędowym tekście ruskim, ogłoszonej jeszcze w r. 1854 w „Wremienniku“ moskiewskim, i dopiero po ukończeniu druku, zasięgnąwszy wiadomości o tem wydawnictwie od obecnego przypadkiem w Krakowie „petersburskiego człowieka“, ostrzegł o tem czytelników w końcowym dodatku do swej książki; 2) że w ogłoszonym przez się IV. tomie „Kodeksu dyplomatycznego Małopolskiego“ (1905) zamieścił dokument Jana Melsztyńskiego z roku rzekomo 1386, zawierający wzmiankę o pieśni Bogurodzica, nie znając widocznie roz-

---

[1] Druk. w Słowie Polskiem z 22. i 23. maja 1907 nr. 234 i 235.

prawy, osobno temu dokumentowi jeszcze r. 1877 poświęconej, która wykazała, iż jest falsyfikatem.

Dla wyjaśnienia tej sprawy nadmieniam co następuje:

Ubliżylibyśmy nauce polskiej, gdybyśmy chcieli zakrywać czy usprawiedliwiać, cokolwiek w niej może podlegać zarzutom. Objawem zdrowego rozwoju naukowego jest właśnie przystępność dla uzasadnionej rzeczowej krytyki. Im wyżej stoi nauka pewnego narodu, tem spokojniej może przyjmować taką krytykę, tem mniej czuje potrzebę obniżania nauki jakiejkolwiek innej narodowości. Spokojnie możemy też uznać wykazane prof. Piekosińskiemu niedostatki; poza tem *debet* zostanie nam jeszcze wiele na karcie *habet.* Niechże mi tylko będzie wolno zaznaczyć, że dowód podrobienia dokumentu z r. 1386 zawdzięczamy uczonemu polskiemu (Liske), a o wydaniu drugiego Statutu litewskiego w „Wremienniku" moskiewskim nie mieliśmy potrzedy dowiadywać się dopiero od „petersburskiego człowieka" (nawiasem mówiąc, Polaka, prof. Ptaszyckiego), ani tem mniej od niepodpisanego krytyka ruskiego; wiedziano o niem u nas zaraz od pierwszej chwili pojawienia się tej publikacyi; r. 1856 cytuje ją już wyraźnie Maciejowski (Hist. prawod. słow. wyd. 2, I. 206.) Odpowiedzialność za przeoczenie rozprawy Liskego i wydania „Wremiennika" spada wyłącznie na prof. Piekosińskiego. Dla tych, którzy przypatrywali się działalności zmarłego niedawno uczonego, pominięcia te wyjaśniają się łatwo. Obie zaczepione publikacye ukazały się w ostatnich latach jego życia, w których, dotknięty już podwójnem kalectwem fizycznem, nie stracił ani krzty dawnego zapału służenia ze wszystkich sił, a nawet ponad

siły, sprawom nauki polskiej. Stąd, wobec odczuwanego blizkiego kresu życia, wyrodził się pewien pośpiech w wykończeniu podjętych prac, z drugiej zaś nastręczyły się trudności w sprężystem informowaniu się o literaturze i wydawnictwach. Żeby nie być mylnie rozumianym, zastrzegam się, iż szczegóły te przytaczam jedynie dla zaznaczenia indywidualnych warunków, wśród których rozwijała się praca ś. p. Piekosińskiego w ostatnich latach jego życia, nie dla usprawiedliwienia braków jego publikacyj wobec kogokolwiek, najmniej zaś wobec niepodpisanego krytyka ruskiego. Że się nie mylę, odnosząc owe niedostatki do wskazanych co dopiero przyczyn, dowodzi cała przeszłość naukowa Piekosińskiego. Ten sam uczony, który w r. 1905 ogłosił bez zastrzeżeń podrobiony dokument, choć sama jego stylizacya i porównanie osób w dokumencie występujących, byłyby go mogły naprowadzić na wniosek o podrobieniu (jak naprowadziły Liskego), wydał przedtem całą bibliotekę kodeksów dyplomatycznych: jeden tom „Kodeksu mogilskiego“ (pod kierunkiem Janoty), trzy pierwsze tomy „Kodeksu małopolskiego“, dwa tomy „Kodeksu katedry krakowskiej“ i dwa tomy „Kodeksu m. Krakowa“, wszystko wydawnictwa wzorowe, mogące śmiało stanąć obok najlepszych tego rodzaju publikacyj zagranicznych (zachodnich), i wyraźnie za takie nawet przez tamtejszych uczonych uznane; w tych zaś publikacyach zawsze najpilniejszą zwracał uwagę na kwestyą autentyczności dokumentów, i co do całego ich szeregu wykazał fakt podrobienia, często na podstawie mistrzowskich wywodów i zestawień, wśród których krytyka stylistyki dokumentowej i zestawianie wymienionych w dokumentach osób —

obie rzeczy teraz pominięte — wielokrotnie rozstrzygającą odgrywały rolę.

I gdyby Piekosiński miał w swoim dorobku naukowym tylko te wydawnictwa, byłyby one tytułem niespożytej wobec nauki zasługi. Ale to tylko część owoców tego niezmiernie pracowitego, i tyle dla rozwoju umiejętności zasłużonego żywota. Pozatem ogłosił on jeszcze cały szereg prac z zakresu numizmatyki, heraldyki, sfragistyki, historyi gospodarstwa i urządzeń społecznych i państwowych w Polsce. Są pośród nich rzeczy trwałej, nieraz wybitnej wartości. Mogę o tem mówić spokojnie, i bez obawy, żeby mnie posądzono o stronniczość, gdyż wobec głównego poglądu Piekosińskiego, który uważał niejako za syntezę wszystkich swoich dociekań naukowych, poglądu na genezę państwa i społeczeństwa polskiego, zachowywałem się zawsze odpornie i w kilku pracach z nim polemizowałem. Z tem większym naciskiem stwierdzić pragnę, że dzieła jego rzuciły mnóstwo nowego światła na niezbadane dotąd w nauce dziedziny, że nawet w tych pracach, których ostateczne wyniki są według mego przekonania mylne, olśniewa on czytelnika nieraz gruntownością roboty i wywodów, oryginalnym rzutem myśli, znakomitem wyjaśnieniem różnych pytań szczegółowych. Powiem tyle: jeżeli krytyk ruski założył sobie za cel wykazać nizki poziom naukowości polskiej, to obrawszy osobę Piekosińskiego za przedmiot doświadczalny, uczynił wybór dla swoich zamiarów najgorszy. Z tego wysokiego piedestału, na który wzniósł się nasz uczony, nie zejdzie on ani o jeden stopień niżej, mimo że przeoczył rozprawę Liskego i nie znał „Wremiennika“ moskiewskiego. Nie ściągnie go też stamtąd artykuł

krytyka ruskiego. Ostatecznie każdy zostanie, czem jest. Nie wszystkie instytucye naukowe wykazać zdołają w swym składzie badaczów o tak wybitnem uzdolnieniu i zasługach, jak Piekosiński, żadna też, nie wyjmując najpoważniejszych na Zachodzie, nie wahałaby się zaliczyć go do swego grona, gdyby należał do tamtejszych uczonych. Ja z mojej strony szczerze raduję się, że znalazłem sposobność wyrażenia hołdu pamięci i zasługom nieodżałowanego kolegi, który pracował za dziesięciu, wiedział więcej niż legiony krytyków, a jeśli nawet w czemkolwiek błądził, to tylko przez wielką miłość nauki i nienasyconą nigdy chęć służenia jej na każdem polu.

Jeżeli zarzuty krytyka ruskiego, o ile je skierował przeciw Piekosińskiemu, miały przynajmniej pewną podstawę faktyczną, to już zgoła bezzasadne są oskarżenia, które krytyk ów w związku z niemi podnosi przeciw Akademii krakowskiej i nauce polskiej w ogóle. Jeżeli zamieszczony w dyplomataryuszu małopolskim Piekosińskiego dokument podrobiony z r. 1386 ma dowodzić winy Akademii, to chyba krytyk żąda, żeby nad wydawnictwem, którego podjął się poważny uczony, czuwała jeszcze z osobna komisya akademicka, której zadaniem byłoby badać co do każdego dokumentu (a jest ich tu kilkaset), czy przypadkiem którego z nich nie uznano już dawniej za podrobiony, albo czy same jego wewnętrzne lub zewnętrzne znamiona o podrabianiu takiem nie świadczą. Usterki w rodzaju tej, o jakiej tu mowa, znajdziemy nie trudno w publikacyach najpoważniejszych instytucyj naukowych zachodnich i wybitnych przedstawicieli zachodniej nauki. Przykładów możnaby naliczyć mnóstwo; podaję pierwsze z brzegu. W r. 1843 udało się

Szafarzykowi sprostować mylny tekst przekazu Thietmara w ustępie o Swarożycu (Suarasizi zam. dotychczasowego Luarasizi), i przez to rzucić snop światła dla wyjaśnienia dawnej mitologii słowiańskiej: w dziesięć lat później uczony Niemiec poświęcił temu przedmiotowi osobną, poważnie zakrojoną książkę (Schwenk, Die Mythologie der Slawen 1853), nie wiedząc zgoła nic o poprawce Szafarzyka i oparł się na dawniejszej błędnej lekcyi tekstu Thietmarowego. Nie śledziłem następstw, jakie to pominięcie Schwenka przyniosło dla nauki niemieckiej: przypuszczam jednak, że nie znalazł się nikt, ktoby na tej podstawie wystąpił z twierdzeniem o nizkim poziomie naukowości niemieckiej. A jeśli się nawet znalazł, to zarzut ten stał tak nizko, że nie opłaciłoby zajmować się nim tu z osobna. W znanem wydawnictwie „Monumenta Germaniae" ogłoszono zrazu publikacyą kapitularyów frankońskich nad wyraz lichą i niekrytyczną, i wnet za taką powszechnie uznaną; jakkolwiek zaś na nowe, ściśle naukowe wydanie tego samego materyału trzeba było czekać lat kilkadziesiąt, to jednak znowuż nie przyszła nikomu osobliwa myśl do głowy, żeby uwłaczać wartości całego zbioru, mającego ustaloną sławę światową; nikt też nie czynił za ten brak odpowiedzialnem znakomitego kierownictwa tej publikacyi. Błędy i zaniedbania, nieraz bardzo jaskrawe, zdarzyć się mogą w wydawnictwach pierwszorzędnych instytucyj naukowych i w pracach najwybitniejszych uczonych; tysiące pism krytycznych, jakiemi dzisiaj nauka rozporządza, wykazują je na każdym kroku. I jeśli byłoby niedorzecznością zakrywać je, czy usprawiedliwiać, jeżeli w każdym odnośnym wypadku stwierdzić je należy otwarcie, to tak samo na odwrót nie

ma racyi, żeby na tej podstawie potępiać całą działalność naukową badacza, czy też instytucyi, która pracę jego ogłosiła. Szukając podstaw do określenia stopnia rozwoju naukowości pewnego narodu można ocenić sprawę w dojrzalszy sposób, niż to uczynił krytyk ruski: należy raczej zapytać, jaki jest stopień doskonałości tego, co w danej nauce jest dodatnim rezultatem jej prac i usiłowań. Zakres poruszonych i rozwiązanych pytań, gruntowne ich ujęcie i wyświetlenie, ścisłość zastosowanej przytem metody badawczej, nowość poglądów, posuwająca wiedzę naprzód, zasób wybitnych pracowników i wyróżniających się wybitnie prac — oto kryterya, które pytanie to rozjaśnić mogą. Takiej oceny nauka polska lękać się nie ma potrzeby, i nie pozostanie wobec niej — na szarym końcu.

Nie mogę pozostawić bez kilku słów wyjaśnienia jednego jeszcze ustępu, jaki znalazłem w artykule uczonego krytyka ruskiego. Twierdzenie Piekosińskiego, iż Statuty litewskie są pomnikami prawa polskiego, opatruje on glossą: „jakim sposobem litewski Statut należy do polskiego prawa, to już sekret uczonych polskich“. Przypomnę tedy, że uczeni polscy — pierwsi, którzy zajęli się naukowem zbadaniem Statutów litewskich, nigdy nie twierdzili, żeby one były wyłącznie pomnikami prawa polskiego; Czacki n. p., który pisał o tych Statutach na długo przedtem, nim założono „Wremiennik“ moskiewski, wyraźnie uznaje w nich charakter polsko-ruski, Maciejowski uzupełnia go, stwierdzając tu elementy składowe polskie, ruskie i litewskie. Krytykowi ruskiemu zdaje się wszelako w ogóle wadzić chociażby częściowo tylko przyznany charakter polski Statutów; u pisarzów ro-

syjskich i ruskich uchodzą one za pomniki prawa ruskiego. To znowu ich sekret — wyłączny. Jedni, i to przeważna część, wypowiadają takie twierdzenie, nie troszcząc się o żadne dowody; niektórzy starają się je udowodnić. Ale w jakiż sposób dowodzą? Oto zestawiają pewien szereg zasad prawa ruskiego z odpowiednimi przepisami Statutów, i znalazłszy podobieństwa czy zgodności, wyprowadzają stąd wniosek o ruskim ich charakterze. Otóż postępowanie, którego ani w założeniu, ani w rozwiązaniu kwestyi nie można nazwać naukowem. Najpierw: nie każda zgodność jest dowodem ruskiego pochodzenia odnośnych postanowień w Statutach litewskich, skoro także w innych prawach, które na Statuty wpłynęły, znaleść się mogą takież same zasady. Powtóre, i to najważniejsza, skoro na treść statutów wpływały rozmaite elementy, to nie można poprzestać na wykazaniu podobieństw między Statutami a jednym z tych elementów; owszem, należy wciągnąć w zakres porównań wszystkie wpływy, jakie tu w rachubę wchodzić mogą, i dopiero na zasadzie szczegółowego rozpatrzenia każdego z nich, jako też wzajemnego ich do siebie stosunku, rozstrzygnąć zasadnicze pytanie, jaką jest siła i natężenie każdego z tych wpływów, a w ślad za tem, który z nich tu przeważa, który na inne oddziaływa, i który Statutom tym nadaje właściwy charakter i zabarwienie.

Żeby sprawę tę objaśnić w najogólniejszym tylko zarysie, stwierdzam, co następuje: Cały zasób postanowień Statutów litewskich, ze względu na ich pochodzenie, podzielić można przedewszystkiem na dwie grupy: polską i niepolską. Do niepolskiej należą, z główniejszych działów, przedewszystkiem pewne

normy, urządzające stosunki społeczne (n. p. rozdział klasy bojarskiej na pewne grupy, podobnież rozdział ludności wieśniaczej); w związku z tem pewne odrębne formy władania ziemią (n. p. siabrowstwo). Także zasady prawa karnego w znacznej części odbiegają od tych, jakie się ustaliły w prawie polskiem. Ale nawet i do tych działów przenika w pewnej mierze prawo polskie jako czynnik przetwarzający, n. p. w określeniu stanowiska prawnego klasy bojarskiej, dostosowanego do zasad, którym podlegała szlachta polska, podobnież w kwestyi chłopskich danin, albo w określeniu ich stosunku do panów. Pozatem są całe działy prawa, przeważnie według modły polskiej urządzone. Organizacya władz, poczynając od urzędów nadwornych i najwyższych ziemskich, a kończąc na najniższych, starostach i sądach ziemskich, oparta przeważnie na wzorach polskich; ledwie gdzieniegdzie utrzyma się tu pewna odrębność, podrzędniejszego zresztą znaczenia, n. p. w osobnych urzędach marszałków ziemskich, horodniczych czy mostowniczych i t. p. Organizacya wojskowości (obrona ziemska) oparta w zasadzie na tych samych podstawach co w Polsce. Cały dział prawa prywatnego przetworzony już w znacznej części według wzorów polskich; n. p. prawo majątkowe małżeńskie niemal że w całości, jak gdyby żywcem z prawa polskiego zaczerpnięte. Podobnież przewód sądowy znacznie już do modły polskiej dostosowany (z pewnemi zresztą odrębnościami niepolskiemi, n. p. sądy i dowody kopne). W ten sposób wiele dziedzin prawa, obowiązującego na Litwie, zostało jak gdyby zdobytych przez prawo polskie; a nawet i w tych, gdzie zachowały się znaczniejsze odrębności, przetwarzający wpływ prawa polskiego już

się zaczyna uwidaczniać. Niektóre artykuły, w całości lub w części, są prawie żywcem wyjęte z dawniejszych pomników prawa polskiego, zwłaszcza ze Statutów Kazimierza W. (n. p. już I. 8. II. 3. 4. VII. 23. VIII. 10. i in. Statutu lit. pierw.); widocznie redaktorowie Statutów litewskich podjęli gruntowne studyum pomników prawnych polskich i obficie z nich tu korzystali; może nawet znaleźli się pośród nich prawnicy koronni.

Ale nawet i to, co w Statutach nie jest polskiem, nie jest przez to samo wyłącznie ruskiem. Częściowo, i to w dość pokaźnej ilości, weszły do statutów elementy prawa niemieckiego, głównie Zwierciadła saskiego, którego znajomość wobec Wschodu zapośredniczyła znowu — Polska. Szczególnie prawo karne Statutów stoi pod wpływem prawa saskiego, co zresztą nawet sami badacze rosyjscy uznali. Ponadto należałoby jeszcza przeprowadzić rozbiór, ile tu weszło elementów czysto litewskich, w odróżnieniu od właściwych ruskich: rzecz, o którą przed pół wiekiem nawoływał już uczony polski — Maciejowski, choć próby, jaką w tym kierunku sam przeprowadził, nie można nazwać udatną. Pewne podstawy do naukowego rozwiązania tej kwestyi istnieją; n. p. przez porównanie dochowanych po dziś dzień zwyczajów prawnych litewskich, zgromadzonych ostatnio przez dwu polskich badaczów, Witorta i Kiborta, albo przez szczegółowy rozbiór materyału historyczno-prawnego, zawartego w średniowiecznych kronikach w odniesieniu do rdzennej Litwy, albo wreszcie przez porównanie t. zw. „Praw pruskich“, t. j. spisu prawa rodzimego, który przyszedł do skutku r. 1340 dla znajdujących się pod panowaniem krzyżackiem Prusaków, odłamu szczepu

litewskiego. Plemię to dostało się pod obce rządy, zanim jeszcze cywilizacya ruska poczęła oddziaływać na stosunki litewskie; jego prawo mogło tedy zachować czyste, rdzennie litewskie zasady, które przy segregacyi elementów składowych prawodawstwa litewskiego stanowić mogą kryteryum pierwszorzędnej doniosłości. Jakkolwiek zaś owe „Prawa pruskie“ podległy wpływowi skądinąd idącemu, przez zastrzeżoną Prusakom, już pod panowaniem krzyżackiem, możność używania prawa polskiego, to jednak w spisie z roku 1340 zachowały się jeszcze widocznie różne właściwości pierwotnie litewskie, które w dochodzeniu postawionego tu pytania uwzględnione być mogą i powinny. Żeby się ograniczyć do jednego tylko szczegółu, bardzo zresztą charakterystycznego, który zdawna tworzył rodzaj łamigłówki dla uczonych: skąd w Statutach litewskich wzięło się postanowienie o podwójnej główszczyźnie kobiet, które nie jest ani polskiem, ani niemieckiem (niektóre germańskie „leges barbarorum“ nie wchodzą tu oczywiście w rachubę), ani — ruskiem, stwierdzę, że oto w spisie z r. 1340 zasada opłaty podwójnej główszczyzny kobiet, widocznie rdzennie litewska, jest już wyraźnie stwierdzona. Ale chociaż od ogłoszenia „Praw pruskich“ upłynęło bezmała tyleż czasu, co od publikacyi drugiego Statutu litewskiego w moskiewskim „Wremienniku“, — przecież n i e j e d e n, ale ż a d e n uczony ruski, choć z taką pochopnością o pochodzeniu i charakterze Statutów litewskich tylokrotnie przesądzali, nie zadał sobie trudu, żeby zbadać elementy czysto litewskie, w pomnikach tych zawarte, omijając pytanie to z taką samą ostrożnością, jak omijano także kwestyą wpływów polskich.

Na ogół biorąc powiedzieć tedy można, że na treść Statutów litewskich złożyły się elementy różnorodne: polskie, litewskie, ruskie i niemieckie. Ale te trzy ostatnie, niewyjmując także ruskich, cofają się ilościowo i jakościowo na drugie miejsce, i nie tylko którykolwiek z nich, ale nawet wszystkie razem nie wykazują tak wszechstronnego oddziaływania, jak element polski. On je sprzęga wszystkie w jednolitą, organiczną całość, on w mniejszym lub szerszym zakresie przenika różnorodne stosunki prawne. Wpływ państwowości polskiej i cywilizacyjnej siły polskości uwidacznia się w najrozliczniejszych kierunkach. To też, skoro pytamy na ogół, który z elementów składowych ma tu rozstrzygać o charakterze pomnika, możemy — i musimy — stojąc na gruncie ściśle naukowym, przyznać pierwszeństwo i przeważne znaczenie elementowi polskiemu, możemy w tym sensie nazwać Statuty litewskie pomnikami prawa polskiego, nie przywłaszczając sobie zresztą niczego, co się słusznie należy komu innemu, co jednak w całym tym rachunku stanowi pozycyą mniejszą. I tak prof. Piekosiński, choć „Wremiennika“ nie znał, określiwszy Statut litewski jako pomnik prawa polskiego, okazał daleko głębszą znajomość rzeczy, aniżeli uczony krytyk ruski, któremu wydanie moskiewskie tego pomnika było znane.

Na jeden szczegół muszę tu jeszcze zwrócić uwagę. Statut litewski pierwszy, podstawa i jądro dwu późniejszych z r. 1566 i 1588, pierwsza na szerokie rozmiary po „Sudiebniku“ Kazimierzowym (który się z nimi układem i treścią bezpośrednio nie łączy) kodyfikacya prawa, obowiązującego na Litwie, zapowiedziany został przez Zygmunta I. już r. 1522, a ogło-

szony r. 1529. Daty te przypadają na okres, w którym na przestrzeni całej Rzeczypospolitej zapanował żywy ruch około skodyfikowania prawa, zapoczątkowany i podtrzymywany zwłaszcza z całą usilnością przez samego króla. Już conajmniej od r. 1511 poczynają się usiłowania o kodyfikacyą prawa koronnego, uwieńczone częściowo wydaniem „Formulae processus“ r. 1523 i opracowaniem znakomitego jak na swój czas projektu z r. 1532 (Correctura iurium), nieporzucone od razu nawet wtedy, kiedy sejm z r. 1534 projekt ten odrzucił. Równocześnie dokonywują się dwie po kolei wielkie kodyfikacye prawa mazowieckiego, roku 1532 i 1540 (t. z. statuty Prażmowskiego i Goryńskiego), popierane również przez króla. W tymże samym czasie przychodzą do skutku cztery ważniejsze kodyfikacye prawa pruskiego z lat 1511, 1521, 1526 i 1538, jako rozwinięcie rzuconej po raz pierwszy r. 1506, na krótko przed wyborem Zygmunta, myśli skodyfikowania tegoż prawa. Za sprawą króla opracowuje Śliwnicki wielki kodeks prawny dla miast i wsi polskich, na prawie niemieckiem osadzonych; kodeks ten wprowadza król na próbę w dobrach arcybiskupstwa gnieźnieńskiego jako „Ius civile Sigismundinum“; kiedy zaś próba, jak się zdaje, zawiodła, zarządza dekretem z r. 1535 zastosowanie ogłoszonego przez Jaskiera Zwierciadła saskiego w sądach miejskich i wiejskich w Polsce. On też podejmuje pierwsze starania o skodyfikowanie prawa chełmińskiego w Prusiech, nieuwieńczone za jego życia pomyślnym wynikiem. Za Zygmunta przychodzi też do skutku wielka kodyfikacya prawa ormiańskiego z r. 1519. Okres rządów tego króla, to okres rozwiniętej na najszersze rozmiary pracy kodyfikacyjnej, która się rozszerzyła na wszyst-

kie terytorya Rzeczypospolitej, i dotknęła niemal wszystkich odrębnych systematów prawa, jakie w niej podówczas obowiązywały. Pierwsza wielka kodyfikacya litewska przypada na ten sam czas, i jest tylko jednym z członów całej tej akcyi, o której pamiętać należy, że się zrodziła w Polsce, i nie partykularnie przez wielkiego księcia litewskiego, ale na ogół przez króla polskiego prowadzoną była. W ten sposób samę nawet inicyatywę w dojściu do skutku tej kodyfikacyi, samę zasługę jej dokonania odnieść należy do wpływu — polskiego.

Kwestya „sekretu", poruszona przez uczonego krytyka ruskiego, staje wobec tego w odmiennem oświetleniu. Przestaje być sekretem, dla czego kodeks prawa, z wpływów polskich zrodzony, na zasadach polskiego prawa w pokaźnej części oparty, zasadami jego nawet w innych, niepolskich działach częściowo przesiąknięty, może być nazwany pomnikiem prawa polskiego: natomiast rodzi się sekret inny — wyłącznie już uczonych ruskich, dla czego kodeks ten uchodzić miałby za pomnik prawa ruskiego. Nie do rozwiązania, raczej do większego jeszcze zaciemnienia sekretu przyczyni się stanowisko uczonych ruskich, którzy o ruskości Statutów litewskich wiele wprawdzie mówią, ale kiedy w systematyczną całość przyjdzie im ująć ogół pomników prawa ruskiego, nie mogą żadną miarą — i słusznie — jak n. p. Władimirskij-Budanow, znaleść stosownego miejsca, żeby *ex professo* omówić na niem Statuty litewskie, jak omawiają inne pomniki prawa, naprawdę ruskie. *Qui tacet, consentire videtur*, choć tu zapewne wbrew woli — oczywiście na korzyść sekretu uczonych polskich.

Przypominam jeszcze kilka dat o wpływie Statutu

litewskiego (red. III.) na zewnątrz. R. 1649 przyszedł do skutku pierwszy wielki (po Sudiebnikach r. 1497 i 1550) kodeks prawa dla carstwa moskiewskiego, t. z. „Ułożenije caria Aleksieja Michajłowicza“. Kodeks ten w bardzo szerokiej mierze korzystał z Statutu litewskiego, zapożyczając zeń bądź to sam rozkład materyi, bądź wprost same postanowienia prawne, i to tak, że je przejmował z Statutu albo w streszczeniu, albo nawet stosunkowo często w dosłownem brzmieniu. W wyższym jeszcze stopniu wykazuje zależność od Statutu wielki kodeks prawny z r. 1743, wydany dla tej części ziem małoruskich, które już podówczas znajdowały się pod panowaniem rosyjskiem, t. z. „Prawa, po kotorym suditsia małorosyjskij narod“. Obok stosunkowo nielicznych ekscerptów z dawniejszych zabytków prawodawstwa rosyjskiego, jako też nieco liczniejszych już wyimków z Zwierciadła saskiego, cały zresztą ten kodeks składa się w przeważnej części z przejętych dosłownie lub w pewnem skróceniu artykułów Statutu litewskiego. I tak dorobek kulturalny polski, złożony w Statucie, przesiąknął daleko po za granice Rzeczypospolitej, na cały dalszy wschód europejski, jako czynnik porządku prawnego, jako element, zapładniający dalszy rozwój tamtejszego prawa. Przyjmuję, że przytoczone tu fakty znane były uczonemu krytykowi ruskiemu. Nie chcę zresztą przypuszczać, żeby świadomość tych faktów, i pospiech, z jakim twierdzenie o polskim charakterze Statutów litewskich nazwał sekretem uczonych polskich, stały w jakimkolwiek przyczynowym związku ze sobą.

Z przymrużonemi oczami.

Panu Björnsterne Björnsonowi do pamiętnika (1907)[1].

Pan Björnsterne Björnson ogłosił światu, że nie może brać udziału w kongresie pokojowym, dopóki zeń nie zostanie usunięty przedstawiciel rządu węgierskiego; nie wolno mu bowiem omawiać wielkich idei pokojowych wspólnie z tymi, którzy sami u siebie gwałcą je w dotkliwy sposób, uciskając obce narodowości.

Kiedy dotknięty bezpośrednio tą wycieczką hr. Apponyi zapewnił, że zarzuty owe przyjąć może „z podniesioną głową“, ogłasza oto teraz p. Björnsterne Björnson pełen gryzącego sarkazmu artykuł „Mit erhobenem Haupte“ [2], w którym powiedzenie swego adwersarza poddaje druzgocącej krytyce.

Zachwiana powaga p. Björnsterne Björnsona od czasu, kiedy się ujawniły dosadnie skutki mizernej jego napaści na naród polski, domagała się koniecznie rehabilitacyi. P. Björnsterne Björnson skorzystał z nadarzającej się sposobności, i tym razem utrafił dobrze. Naprawdę — niełatwo Węgrom oczekiwać „z podniesioną głową“ sądu, jaki sobie ludzkość urobić musi o postępowaniu ich wobec Nie-Magyarów, przede-

---

[1] Druk. w Słowie Polskiem z 30. października 1907 nr. 506; w tekście niemieckim zamieszczony równocześnie w wiedeńskiej Polnische Post z tegoż dnia nr. 44.

[2] Neue Freie Presse z 20. października 1907.

wszystkiem wobec ciężko doświadczonego szczepu Słowaków.

Tem zręcznem pociągnięciem na szachownicy p. Björnsterne Björnson uratował częściowo zagrożoną powagę; bo już teraz nie każdemu przyjdzie wyznać się łatwo, czy ten patentowany obrońca uciśnionych narodowości, który wytknął ucisk rzeczywisty, nie mówi też od czasu do czasu o ucisku urojonym.

P. Björnsterne Björnson jest jednak osobliwie jednostronnym krótkowidzem. W małych odstępach czasu uderzył po kolei w dwie strony z powodu ucisku narodowościowego, ale — pomijając jednę, krótką i ostrożnie stylizowaną wzmiankę — nie sięgnął tam, gdzie zaprowadzono wzorową szkołę takiego ucisku, i gdzie on wyrodził się w najdalej posunięte barbarzyństwo.

W państwie pruskiem żyją trzy miliony Polaków na własnej, od kilkunastu wieków zasiedlonej ziemi. Ten odłam potężnego, 20-milionowego narodu, mający za sobą blizko tysiąc lat kultury, nie posiada tam nie tylko już własnego uniwersytetu, ani nawet własnej szkoły średniej: nie posiada ani jednej szkoły ludowej, w której dzieci jego mogłyby się uczyć w języku ojczystym. A jeśli jednostki dobrej woli, chcąc zaradzić złemu, poważą się prywatnie nauczać dziatwę języka polskiego — idą do więzienia.

P. Björnsterne Björnson, patentowany obrońca narodowości uciśnionych, przechodzi obok tego zjawiska — z przymrużonemi oczami.

W przesiąkniętej do cna duchem prutenizacyi szkole tamtejszej dzieci polskie już tylko naukę słowa Bożego pragnęłyby usłyszeć w swej mowie ojczystej, w mowie tej odmawiać pacierze szkolne. I tego za-

brania się im stanowczo, a jako argument przekonywujący pojawia się tu wypróbowany środek starych pedagogów — rózga. I nie tylko rózga, ale inny jeszcze instrument, do którego nie sięgali nawet pedagogowie „dawnych, dobrych czasów“ — kij, i co się zresztą jeszcze lepszego nadarzy. Za pomocą tych podpór pruskiej kultury rozpowszechnia się z powodzeniem znajomość niemczyzny. Na rękę pedagogom idą tamtejsze władze rządowe i — niestety — sądowe. Za serdeczne życzenie dziecięcej duszy modlenia się po polsku, prześladuje się rodzeństwo, zamykając mu drogę do dalszej nauki, karze się rodziców, odbierając im chleb. A czasem prześladowanie idzie tak daleko, że młode, rwące się do życia istoty przecinają pasmo życia — samobójstwem.

Wrażliwy umysł p. Björnsterne Björnsona nie doznaje z tego powodu zakłócenia w swym olimpijskim spokoju; i obok tego faktu przechodzi on — z przymrużonemi oczami.

Znalazł się w Prusiech sejm, który celem stopniowego usuwania chłopów polskich uchwalił prawo, że na zakupionych gruntach włościańskich wolno się zabudowywać za osobnem uprzedniem zezwoleniem władz. I znalazły się władze, które to monstrualne prawo w określonym powyżej duchu stosują z zimnem wyrachowaniem, wzbraniając chłopom polskim stawiania budynków mieszkalnych na własnych gruntach. Trzeba było dopiero dowcipu jednego z tych prostaczków, żeby odwrócić od siebie ostrze tych postanowień: obszerny wóz, rzecz ruchoma, niepodlegająca przepisom tej ustawy, stanął mu za mieszkanie — jemu i jego rodzinie; a przecież ten chłop nie zawinił niczem innem wobec rządu pruskiego, chyba tem, że

się urodził — chłopem polskim. Wóz Drzymały, to najstraszniejsza satyra na etykę wysokiej „kultury pruskiej“, która w państwie XX. stulecia stwarza dla swych poddanych konieczność życia według modły, stosowanej u ludów pierwotnych w okresie koczowniczym.

P. Björnsterne Björnson i tutaj jeszcze przymrużonych oczu nie otwiera.

Nie nowina to pokonanym narodom znosić ucisk od zwycięzców. Polacy w porozbiorowem swem życiu doznawali go po kolei w różnych dzielnicach, doznają go po dziś dzień w przeważnej ich części. Prześladowali ich i prześladują różni ministrowie, gubernatorowie, landraci i sprawnicy, znęca się nad nimi nieraz wojsko i policya. Ten ucisk dotyka ich ze strony owych organów przez to, że system, jakim się przejęły, zaprawiony wrogiem dla Polaków usposobieniem, jest lichy i nieetyczny, że jednostki, jakie w nich działają, nie zdołały się wznieść na stanowisko sprawiedliwości. Racya bytu samych organów uchodzi przecież za godziwą: w każdem państwie, dla utrzymania porządku na wewnątrz i zewnątrz, potrzebne są ministerstwa i inne władze administracyjne, potrzebna policya i wojsko. Dopiero państwo „bojaźni Bożej i bojaźni Polaków“ dokonało w tej dziedzinie nowego, niezwykłego wynalazku. Stworzyło Komisyą kolonizacyjną, która otwarcie rozwinęła sztandar rugowania z ziemi prastarej ludności tubylczej. Stworzyło organ, który w s a m e m s w o j e m z a ł o ż e n i u jest — nieetyczny. Gdyby w skład tej instytucyi weszli sami aniołowie z nieba, nie zmieniłoby to w niczem jej nieetycznego charakteru, a raczej powstałby dylemat nie do rozwiązania: bo instytucya musiałaby przestać istnieć,

albo aniołowie musieliby pójść w służbę czarta. Godnem uzupełnieniem myśli, w urządzeniu tego organu urzeczywistnionej, jest poruszony niedawno, na hańbę XX. stulecia, projekt ustawy, upoważniający Komisyą kolonizacyjną do wywłaszczania Polaków według swego uznania.

Wieść niesie, że znaczniejsza część uprawnionych do rozstrzygania o tej sprawie, wierna dawnym, dostojnym tradycyom kulturalnym i etycznym narodu niemieckiego, nie przymrużyła oczu na niebezpieczeństwo, grożące honorowi niemieckiemu, gdyby się na taką ustawę zgodziła; być może więc, że ustawa nie przyjdzie do skutku. Ale p. Björnsterne Björnson, obrońca uciśnionych narodowości, nie otworzył jeszcze przymrużonych oczu.

Czy otworzy je, jeśli zostanie uchwalony inny przygotowany projekt rządowy pruski, nowa ustawa o zgromadzeniach — przesądzać nie można. Ustawa ta ma orzec, że na zgromadzeniach publicznych w Prusiech przemawianie w językach nieniemieckich zawisłem będzie od przyzwolenia władz. Urzędowa i półurzędowa prasa pruska wyraźnie zastrzega się, że ostrze tego postanowienia nie jest wymierzone przeciw Francuzom, Duńczykom, czy innym jakimkolwiek obcym w Niemczech narodowościom — jeno tylko przeciw Polakom. Nie można wątpić, że prawo przyzwalania na przemówienia polskie będzie wykonywane przez władze pruskie z taką samą skwapliwością i uprzejmością, jak prawo przyzwalania na stawianie budynków w polskich gospodarstwach włościańskich. Zapowiedziana ustawa o zgromadzeniaeh stanie się więc ową „gutaperką“, w której, jak w trumnie, złożone być mają resztki rzekomych wolności politycznych,

udzielanych przez „konstytucyjny“ rząd pruski swoim poddanym polskim.

P. Björnsterne Björnson, tyle wrażliwy na gutaperkę węgierską, może przejdzie z zamrużonemi oczami około gutaperki pruskiej. I jeśli na przyszłym kongresie pokojowym nie pojawi się przypadkiem delegat rządu węgierskiego, p. Björnsterne Björnson zaszczyci go zapewne swoją obecnością, nie zadając sobie wówczas, jak i teraz, pytania, ilu jeszcze delegatom kongresowym należałoby wskazać drzwi, gdyby swą wytwornie uprzejmą teoryą, zastosowaną do Węgier, odniósł także do Prus. A choć z tamtej strony, nawet bez tak niemiłych antecedencyj, woła się przecież ciągle, i najgłośniej w Europie, że — mimo barbarzyńskiego ucisku Polaków — ma się prawo kroczyć z „podniesioną głową“, na przedzie kultury, choć się tę głowę — żeby była widoczna — pręży jak najwyżej, aż do przypadłości zawrotu — niewiadomo przecież, czy się ukaże drugi, równie dosadny, a bardziej jeszcze zasadny artykuł p. t. „Z podniesioną głową“, napisany przez p. Björnsterne Björnsona, urodzonego obrońcę uciśnionych narodowości, który czasem chce i umie patrzyć, kiedyindziej chce, a nie umie patrzyć, i dla tego używa obcych okularów, kiedyindziej wreszcie może umie, ale nie chce patrzyć, przykazując swojej wymownej Muzie filozoficzne, „złote“ milczenie.

W półwiekowy jubileusz najstarszego gimnazyum polskiego w Galicyi.

Słowo wstępne do Księgi pamiątkowej półwiekowego jubileuszu gimnazyum im. Franciszka Józefa I. we Lwowie (1909)[1].

Nie samo tylko gimnazyum nasze obchodzi w tej chwili pięćdziesięcioletni jubileusz swej pracy. W pewnej mierze można z tą uroczystością związać obchód złotych godów odrodzonego w duchu narodowym szkolnictwa średniego tej części Rzeczypospolitej, która się dostała pod berło austryackie.

W chwili, kiedy otwierano ten zakład, nie łatwo było przewidzieć ów związek. Nie stworzono go w tym celu, żeby dać początek unarodowieniu wychowania publicznego, którego zawiązkiem miałaby się była stać ta pierwsza średnia szkoła polska. Uważano ją raczej za jedyne, najdalej posunięte ustępstwo dla zadośćuczynienia potrzebom ludności tutejszej, po którem nie miały przyjść żadne ustępstwa dalsze, za wyjątek bez naśladowań i powtórzeń, który tem dobitniej stwierdzić miał samę regułę: germanizacyjny system w obrębie szkolnictwa galicyjskiego, panaceum zbawcze ówczesnego absolutno-centralistycznego systemu rządowego.

W niepowstrzymanym biegu rozwinęły się tymczasem w najbliższych potem latach wypadki dziejowe. Chwiejny okres konstytucyjnych przemian państwa,

---

[1] Druk. tamże, Lwów, 1909, str. 5—9.

zakończony ostatecznem zwycięstwem idei konstytucyjnej, stworzył nową podstawę rozwoju nauczania publicznego w naszym kraju. W niecałe dziesięć lat od powstania gimnazyum kwestya unarodowienia szkolnictwa średniego była tu już rzeczą przesądzoną.

Niemała w tem zasługa naszego zakładu, że w owym czasie przejściowym, mimo wszystkie trudności, jakie nastręcza początkowa praca organizacyjna, nie zawiódł pokładanych w sobie nadziei, że odpowiedział wymogom rzeczowym, jakie stawić się musi w obec każdej szkoły — w jakimkolwiek ona uczy języku — żeby ją uznać za zdrową, żywotną. Jego dobra sława i zasługi, jakie sobie już wtedy zdobył, wytrąciły broń z ręki przeciwników, dały poważne, moralne poparcie usiłowaniom społeczeństwa około unarodowienia szkolnictwa średniego.

Ważniejsze jeszcze obowiązki zaciężyły na barkach tego zakładu z chwilą, w której kraj nasz uzyskał szkoły polskie. Zakład ów zmienił i zmienić musiał w pewnej mierze dotychczasową swą rolę i posłannictwo. Przestał być szkołą o charakterze wyjątkowym, jaką był aż do tej chwili, miał się stać teraz wzorem, organizacyą typową, według której ukształtować się miał szereg innych, podobnych organizacyj wychowawczych. Pytanie, jak się tu ułożą stosunki nauczania i wychowania, jakie tu znajdą zastosowanie metody dydaktyczne i pedagogiczne, jaki wreszcie na ogół zapanuje duch w pracach tego zakładu, przedstawiało doniosłość pierwszorzędną, i było pod pewnym względem rozstrzygającem dla całego dalszego rozwoju szkolnictwa krajowego. Droga, jaką tu obrać należało, nie była wprawdzie zgoła nieznaną, na wskróś nową; miało już wtedy szkolnictwo polskie

piękne, rodzime tradycye przeszłości, w urządzeniach szkolnych Komisyi edukacyjnej, w doskonałym wzorze Krzemienieckiego liceum. Ale na samem naśladownictwie wzorów, choćby najlepszych, nie można było poprzestać; należało spożytkować olbrzymie zdobycze pedagogiki, jakie ona od tamtych czasów poczyniła, trzeba było ponadto z konieczności przystosować system nauczania do ram ogólnych, jakie mu zakreśliło obowiązujące ustawodawstwo państwowe. I właśnie ten ostatni wzgląd stwarzał problem bardzo złożony i zawiły. Chodziło o to, żeby w obrębie gotowego już, z potrzebami naszego narodu nieliczącego się z osobna, systemu ogólno-państwowego, stworzyć przecież taki kierunek i sposób nauczania, któryby właściwościom duszy i umysłu dziecka polskiego jak najbardziej odpowiedział. I jeżeli zadanie to, ze względu na krępujące ramy ustawodawstwa państwowego, nie we wszystkich szczegółach dało się rozwiązać pomyślnie, jeżeli po dziś dzień jeszcze zasadny program pełniejszego unarodowienia szkoły średniej w naszym kraju wymaga uzupełnień, jedno przecież przyznać trzeba bez zastrzeżeń, że w tym oto zakładzie ujawniła się stateczna dążność do skierowania edukacyi na odpowiednie, do potrzeb naszego społeczeństwa przystosowane tory, że w granicach możliwości starano się udzielanej tu nauce szkolnej nadać piętno rodzime, narodowe. Niewątpliwie nie samego w tem tylko gimnazyum naszego zasługa, ale w pierwszym rzędzie władz szkolnych krajowych, które zadanie swe w tej mierze zrozumiały, i rzetelnie, w wielu kierunkach skutecznie nad jego przeprowadzeniem pracowały; wreszcie zasługa też całego szeregu innych zakładów szkolnych, które obok tego pierwszego z bie-

giem czasu powstały, i w tym samym duchu pracowały. Ale im dalej wstecz sięgamy w owem pięćdziesięcioleciu, tem dobitniej zarysowuje się pod tym względem wielki wpływ i skuteczna działalność zakładu naszego. Bo zarządzenia władz, choćby najlepiej obmyślane, nabierają wartości dopiero wtedy, kiedy je rozumnie i celowo wykonano; w tem zaś praktycznem ich urzeczywistnieniu, gimnazyum nasze, jako najstarsze polskie, z istoty rzeczy powołane było zrazu do objęcia kierującej roli. Ono przedewszystkiem, przez swoję praktykę pedagogiczno-dydaktyczną, w ramy przepisów formalnych miało tchnąć rzeczywistego ducha; co się w tej praktyce ostoi jako dobre, zasadne, miało się stać nabytkiem całego szkolnictwa krajowego. Dla samodzielnej, twórczej pracy otwierały się szerokie widnokręgi; w tym samym stopniu rosła też odpowiedzialność zakładu, wchodziły tu bowiem w grę nie tylko już losy jednej szkoły, ale poniekąd wszystkich równorzędnych jej szkół w kraju. Zdarzyła Opatrzność, że w tym właśnie najważniejszym okresie gimnazyum nasze, zarówno w kierownikach, jak i współpracownikach-profesorach, zyskało wielką obfitość sił o wydatnem uzdolnieniu pedagogicznem, przejętych w pełni ważnością swego posłannictwa, nieszczędzących pracy ani zabiegów, ażeby godnie i najlepiej odpowiedzieć włożonym na się zadaniom. W ten sposób stało się, że to gimnazyum nie tylko starszeństwem, ale i wynikami swej pracy wysunęło się na czoło szkolnictwa średniego; stąd promieniowały nowe myśli, duch nauczania na cały kraj, stąd inne, młodsze zakłady czerpały dla siebie odpowiednie wzory, stąd otrzymywały też wytrawne, dobrze wyszkolone siły pedagogiczne. Dzi-

siaj, wobec ustalonych dłuższym rozwojem szkolnictwa krajowego stosunków, zjawisko to już się w znacznej części zatarło; im dalej jednak sięgnąć wstecz, tem dobitniej występuje ono na zewnątrz. I tak gimnazyum nasze, prócz tego, że było szkołą, stało się ponadto szkołą szkół, macierzą innych gimnazyów polskich w tym kraju.

Czem było jako szkoła — nie sądzić o tem jego uczniom; bo wartość zakładu naukowego mierzy się przedewszystkiem wartością przysposobionego przezeń materyału uczniowskiego. Wolno przecież zwrócić uwagę na niektóre zewnętrzne zjawiska i fakty, które pośrednio rzucają światło na kierunek i wyniki działalności tej szkoły. Więc najpierw przypomnieć trzeba, że to gimnazyum było zawsze szczerze polskiem, nie tylko z nazwy i języka wykładowego, ale i z ducha, który ożywiał uczącą się w niem młodzież. Kult ideałów narodowych, sposobienie umysłu i woli do przyszłej służby w społeczeństwie, były tej młodzieży przykazaniem świętem, a zarazem żywo odczutą potrzebą serca. Szczęśliwie — nie przetworzyły się w politykowanie w tym czy innym kierunku, choć w pewnych okresach nie brakło usiłowań z zewnątrz, ażeby je tu wywołać. Zdrowy instynkt młodzieży odczuł, że inna rzecz kochać naród i przygotowywać się do służby dla jego dobra, a inna znowu mięszać się do kierownictwa jego spraw publicznych. I stało się lepiej, niż dzieje się gdzieindziej: ustrzeżono się polityki niedojrzałych, najmizerniejszej, jaka istnieć może, i dla własnego społeczeństwa najbardziej szkodliwej.

Do najlepszych, stale utrzymujących się tradycyj naszego zakładu należy też rozwinięta w wysokim stopniu idea koleżaństwa. Niech jej przyświadczą do-

chodzące tak często do skutku zjazdy koleżańskie, i trwałe, ścisłe węzły przyjaźni, utrzymywane nieraz przez całe życie między kolegami, przedewszystkiem zaś niniejsza uroczystość jubileuszowa, która już nie tylko byłych współuczniów jednej klasy, ale wszystkich, którzy kiedykolwiek uczyli się w tym zakładzie, połączyła w jedno wspólne koło. Nie przetrwałyby te związki w późne lata, nie byłyby tak powszechne, gdyby już na ławie szkolnej nie zadzierżgnęły się silne między młodzieżą węzły, wyraz rozwiniętego w wysokim stopniu zdrowego poczucia łączności korporacyjnej. Było to koleżaństwo zawsze szczere, nie tworzyły w niem żadnych przegród różnice wyznania, rasy, narodowości; nie było zwłaszcza antagonizmów, czy niechęci, między młodzieżą obu narodowości, kraj ten zamieszkujących. Nie w atmosferze nienawiści narodowej, ale w duchu braterstwa i łączności z współbraćmi, zgodnie z starą tradycyą naszego narodu, wychowywało się tu młode pokolenie. Nie byłoby prawie potrzeby przypominać tego zjawiska, które jest prostym tylko odpowiednikiem uczciwego i rozumnego kierunku wychowawczego i prawdziwie kulturalnego nastroju dusz i umysłów; przypomnieć przecież i zaznaczyć trzeba, gdyż niestety dożyliśmy czasów, w których bywa także inaczej.

Nakoniec pytanie najważniejsze: jak ten zakład kształtował umysły, serca i ducha młodzieży, żeby je wznieść na odpowiedni poziom etyczno-kulturalny, a zarazem dać podkład właściwy do późniejszych studyów fachowych; wreszcie, ażeby ją zaprawić do uczciwego, obywatelskiego spełnienia obowiązków w swojem społeczeństwie. W szeregu jego wychowanków znalazły się może, i zapewne znaleść się

musiały jednostki, które położonych w sobie nadziei nie spełniły; nie należy jednak zapominać, że zjawisko to powtarza się wszędzie, gdzie w rachubę wchodzą wielkie masy. Na ogół wolno przecież stwierdzić, że dorobek, jaki społeczeństwo nasze z wychowanków zakładu uzyskało, był istotny, i pokaźny, i bardzo poważny. Na najrozmaitszych stanowiskach społecznych, w najróżnorodniejszych dziedzinach zawodowej pracy publicznej, znajdziesz ich wszędzie w znaczniejszej ilości, sumiennie i ze zrozumieniem rzeczy zadania swe spełniających, mniej lub więcej wybitnych czy zasłużonych, ale zawsze użytecznych, ożywionych zawsze szczerą chęcią służenia sprawie publicznej, społeczeństwu, Ojczyźnie.

Razem — wielka ich rzesza.

Bo też przez dwa bezmała pokolenia ludzkie gimnazyum to pracowało i pracuje nad ich wyrobieniem, a trzy z kolei pokolenia mogły już czerpać wychowanie z jego krynicy. Gdzie uczył się dziad, uczył się nieraz syn, a dziś już uczyć się mogą wnukowie. I tak przychodzą coraz liczniejsi. Gdyby na każdy rok istnienia pełnego gimnazyum liczyć przeciętnie pół sta ukończonych studentów, dojdziemy do cyfry dwudziestu z górą setek. Więc — setki i tysiące. Setki i tysiące świadomych obywateli, użytecznych pracowników społecznych! To wielkie bogactwo narodowe. I takie, które się nie wyczerpuje: bo ubytki zapełniają się coraz nowemi siłami. W tej trwałej, stale powrotnej pracy zakładu, jako źródła kulturalnego, leży jego siła; w jakości soków odżywczych, które doprowadza do organizmu narodowego, jego wielka zasługa.

Niechaj przy nim zostaną na dalszą przyszłość.

W rocznicę Grunwaldzką.

Przemówienie na uroczystym obchodzie pięćsetnej rocznicy zwycięstwa Grunwaldzkiego, urządzonym przez miasto Lwów dnia 29. czerwca 1910 [1].

„Bogu rodzica dziewica" — rozbrzmiewała korna pieśń z tysiącznych piersi rycerstwa tuż przed rozprawą grunwaldzką: starym obyczajem przyjęta pieśń bojowa polska, osobliwa przez to, i w tem od pieśni bojowych innych narodów różna, że nie zawiera żadnych motywów bojowych. Nie o wrogu, czy walce z nim szukaj tu wzmianki; nie znajdziesz prośby o zwycięstwo orężne: jest tylko błaganie o „spust winam", o żywot zbożny, o odwrócenie pokusy do złego. Ta pieśń usprawiedliwienia, pieśń sprawiedliwych, stać się mogła pieśnią bojową tylko w takim narodzie, który, kiedy wyruszał w bój, to w imię sprawiedliwości, i który w usprawiedliwieniu własnem czerpał otuchę przyszłego zwycięstwa.

Nie po raz pierwszy pod Grunwaldem pieśń ta uderzała o strop niebios; ale chyba nigdy przedtem nie śpiewało jej rycerstwo z takiem przejęciem i skupieniem ducha, z takiem odczuciem powagi chwili, jak właśnie wtedy, przed półtysiącem lat, tuż przed końcową rozprawą z Krzyżakiem. Rozgrywała się

[1] Druk. w Słowie Polskiem z 30. czerwca 1910 nr. 298.

„wielka wojna“, zbliżała się „wielka bitwa“. Wielka bitwa — jako ostateczny porachunek dwuwiekowych, ciągle powrotnych krzywd, jako wytyczna dalszego stosunku dziejowego pomiędzy obu zapaśnikami.

I — więcej jeszcze. Stały pod Grunwaldem nie tylko dwa wojska przeciw sobie; nie tylko dwa państwa zmierzyć się miały ze sobą; spojrzały tu sobie oko w oko dwa światy, zwarły się ze sobą dwie kultury, dwie idee polityczne i etyczne, dwie różne dusze zbiorowe, na odmiennem podłożu ukształcone, przeciwieństw pełne.

Po jednej stronie — naród polski. Na świętej swojej ziemi osiadły od prawieku, zrósł się z nią tak doszczętnie całem swojem jestestwem, że mu się ona stała po wsze czasy umiłowaniem największem i skarbem najdroższym, puścizną Bożą, której nie wyrzeknie się nigdy. Naród, który umiał tworzyć wielkie, silne organizmy polityczne, czy to w czasach Bolesławów, czy po raz wtóry za Łokietka i Wielkiego Kazimierza; ale organizmy te budował na swojem i ze swego, nie pożądając cudzej ziemi. Jeżeli zaś wpływem i przewagą sięgnął nawet poza granice rozprzestrzenienia polskości, jak niedawno przed Grunwałdem na Litwę i przynależną do niej Ruś, to sposobem unii — braterskiego zrzeszenia, nie podboju, pod hasłem równości i uczestnictwa wszystkich w jednakowych prawach. Tkwiła w podstawach idei państwowej Polski zasada prawa, wysuwał się na czoło moment sprawiedliwości, odpowiedniki znamienne zawartej w duszy narodu kultury etycznej.

Po stronie drugiej — żywioł germański: Krzyżacy, a z nimi rycerstwo z różnych ziem niemieckich,

zwłaszcza z Niemiec północnych. I nie dziw, że właśnie stamtąd: północny odłam narodu niemieckiego wypisał był już zdawna na swym sztandarze jedno, przed wszystkiemi innemi, hasło naczelne: walkę z Słowiańszczyzną, zabór słowiańskiej ziemi. Była mu ona — i jest — przedmiotem wiecznego pożądania; im bardziej zaś posuwa się naprzód, tem szersze zatacza kręgi pożądaniom dalszym. Żeby dojść do celu, stosował on już od początku rozmaite środki: pokojowo — kolonizacyą, w zdarzonej chwili przemoc orężną, a kiedy oręż nie starczył, potrafił zawsze rzucić kość niezgody pomiędzy Słowian samych, ażeby potem, wśród wewnętrznych walk i osłabienia, uderzyć tem pewniej na obie po kolei zwaśnione strony.

Na siedmset lat przed Grunwaldem rozpoczyna się to parcie żywiołu niemieckiego na Słowiańszczyznę, i przechodząc od łagodniejszej zrazu formy zhołdowywania państewek słowiańskich, przemienia się od początku stulecia X. w bezpośredni podbój i zabór ich ziemi. W stuleciu XII. pierwszy, wielki okres tej walki jest już ukończony: mimo silny odpór, mimo bohaterskie nieraz podrywy, legła u stóp tryumfującego zwycięzcy cała Słowiańszczyzna połabska i łużycka; od Łaby i Sali przesunęła się dziedzina panowania germańskiego ku rubieżom Czech i Polski. Na tych ziemiach podbitych, morzem łez i krwi słowiańskiej przesiąkłych, powstawały zaczątki potężnych później organizmów państwowych niemieckich, w których nie było ani jednej piędzi zarodowej ziemi własnej, a wszystko było łupem; których dalsze powiększenia, przed Grunwaldem, czy po Grunwaldzie, zasilały się znowuż łupem, i które w dążeniu do stopniowego rozrostu, kiedy nie stało już bezpośredniego łupu

słowiańskiego, dokonywały łupu na swych sąsiadach niemieckich. Idea zaborcza staje się tu podstawą idei państwowej; i nie ogranicza się do samego tylko państwa. Wśród ciągłych, wiekowych bojów, powrotnych w każdem pokoleniu, hasło bezwzględnej, niszczącej walki z Słowiańszczyzną, hasło systematycznego, coraz dalej posuwającego się zaboru jej dziedzin, wsiąka ostatecznie w zbiorową duszę tamtejszego społeczeństwa, staje się, na całą dalszą przyszłość, jej składnikiem istotnym, właściwością przyrodzoną. Tej właściwości już się ono nie pozbędzie: nie wstrzyma ciosu, gdzie go wymierzyć może, nie złagodzi go za cenę niemęskiej ustępliwości; jedynym hamulcem będzie mu tu tylko siła odporna przeciwnika, mniejsza o to, czy jej wykładnikiem jest oręż, czy duchowa wytrzymałość.

Prawie że bezpośrednio po ukończeniu walki z Słowiańszczyzną połabską, po dawniejszych, bezskutecznych zamachach, odpartych przez Chrobrego i Krzywoustego, wysyła niemieckość dwie nowe przednie straże podbojowe do Polski. Jedna, przybrana w szatę pokojową, oparta na podłożu gospodarczem, miała przedewszystkiem na celu przygotować teren do późniejszego zniemczenia dziedzin polskich. To — kolonizacya niemiecka, od samego początku w. XIII-go naprowadzająca tu coraz liczniejsze zastępy osadników niemieckich, rozlewająca się na przestrzeni całej Polski w bezliku osad wiejskich i miejskich. Druga straż przednia już nie tylko w pokojowe przybrała się szaty wobec Polski, ale i w strój ewangelicznej miłości, a stała się źródłem tysiącznych dla niej wstrętów na całą dalszą przyszłość. To osiedlony na skrawie ziemi polskiej od drugiej ćwierci wieku XIII-go Za-

kon krzyżowy. Z tych dwu taranów niemieckości, skierowanych przeciw Polsce, w czasach Grunwaldu jeden okazał się już prawie w całości bezużytecznym. Kolonizacya niemiecka, pomijając Śląsk, nie zdołała zgermanizować Polski, rozbiła się o jej potężną siłę asymilowania żywiołów napływowych, nie po raz ostatni wtedy ujawnioną. Tem silniej, tem natrętniej uderzał o jej ściany pobudką niemiecką Zakon krzyżowy, jedno z najosobliwszych, a zarazem najmarniejszych zjawisk w historyi ludzkości, oparte całe na obłudzie i fałszu, na zasadniczej sprzeczności między teoretycznem zadaniem a praktycznym czynem: ten zakon, który w ślubach wyrzekał się celów świeckich, a całą swą usilność skierował do utwierdzenia władzy świeckiej; który miał zwalczać pogan, żeby ich nawrócić, a zwalczał ich celem rozszerzenia swych posiadłości, mało dbając o nawrócenie; który w tej walce przeciwko nim miał iść na rękę ludom chrześcijańskim, a oręż swój, bardziej niż na pogan, kierował przeciw chrześcijańskiej Polsce, wichrząc przeciwko niej najusilniej właśnie wtedy, kiedy dokonywała apostolstwa Litwy; ten zakon, który miał skupić mężów niemieckiego narodu w wiernej służbie dla Chrystusa, a wprzągł imię Chrystusa w służbę niemieckiego narodu. Ten zakon podjął wątek przerwanej chwilowo dawniejszej pięćsetletniej walki północnej Niemczyzny przeciw światu słowiańskiemu, skierowując ją teraz przeciw najbliższej z kolei Polsce.

Ta jego walka — to więc nie fakt dziejowo nowy, to dalszy ciąg faktu dawniejszego, to drugi z rzędu okres germańskiego naporu na Słowiańszczyznę. I wszystko, co w okresie poprzednim ujawniło się jako psychiczna i polityczna strona tej walki, znajduje

teraz odblask w działaniach Zakonu: to samo sadowienie się na cudzem, to samo usilne trzymanie się zdobyczy, a większa jeszcze miłość i pożądanie tego, czego się dotąd zdobyć nie udało, ta sama, nigdy nie słabnąca powrotność nieprzyjacielskich działań, te same środki walki, co i dawniej. Stał się krzyżacki zakon duchowym spadkobiercą tych, którzy przez półtysiąca lat przedtem walczyli z innymi Słowianami, stał się syntezą i odzwierciedleniem przewodnich myśli, jakie tej walce dawniejszej żywiołu germańskiego przeciw Słowianom przyświecały.

I tak, kiedy po dwu wiekach zgubnej gospodarki krzyżackiej na obejściu polskiem, na polach Grunwaldu zetknęli się ze sobą obaj zapaśnicy, to już naprawdę nie stały tu przeciw sobie dwa tylko wojska, dwa państwa: zwarły się tu ze sobą dwie myśli dziejowe, idea podboju germańskiego i słowiańskiej obrony własności, zasada gwałtu i idea prawa, myśl zaborcza i zasada sprawiedliwości. Mało kiedy w brutalnej, fizycznej walce orężów i ciał ujawniło się tyle zasadniczego podkładu duchowego, co pod Grunwaldem. Toż bitwa ta stała się „wielką“ nie tylko militarnie, ale zarazem jako starcie dwu potężnych, treściowo przeciwnych idei dziejowych. Szala zwycięstwa przechyliła się tym razem na stronę prawa i słuszności. Po całym szeregu wieków niezliczonych krzywd, bezkarnego szarpania Słowiańszczyzny i Polski samej, wybiła nareszcie na zegarze dziejowym godzina sprawiedliwości; uczucie bezmiernej ulgi i zadośćuczynienia, z współczesnych głosów wyraźnie przezierające, rozlało się w sercach; i niewiadomo, czem się tu bardziej radowano: świetnem zwycięstwem

oręża i sukcesem politycznym, czy też tryumfem sprawiedliwości.

Ten tryumf odniosła Polska, mając u boku rycerstwo bratnich narodów. Obok pół sta chorągwi polskich walczyło ich pod Grunwaldem czterdzieści z pośród bojarów litewskich i ruskich; stanęły też, prócz żołnierza zaciężnego, oddziały ochotnicze z Czech i Morawy. Nie utrafilibyśmy w sedno rzeczy, gdybyśmy wartość tego współdziałania oceniali jedynie według stosunku liczbowego uczestników lub militarnego wyniku ich akcyi. Bo wiadomo, że ilość ochotników czesko-morawskich była nieznaczna, a wojsko litewskie i przeważna część hufców ruskich wnet po rozpoczęciu bitwy poszły w rozsypkę, i rzuciwszy się w ucieczkę, nie wróciły już na plac boju. Pierwszorzędne znaczenie ma tu samo zjawisko łącznie podjętego działania przedstawicieli kilku narodów słowiańskich i narodu litewskiego, wspólna ich służba na rzecz jednej, wspólnej, wielkiej idei. Dano wyraz przeświadczeniu, że porachunek grunwaldzki jest nie tylko porachunkiem Polski z Zakonem, ale porachunkiem całego świata słowiańskiego z niemieckim o krzywdy wiekowe; i że wynik jego przedstawia doniosłość nie tylko dla Polski samej, ale i dla innej Słowiańszczyzny. Bohaterska walka trzech chorągwi smoleńskich, tych, które z bojarstwa ruskiego ostały na polu walki, jest jakby wyrażeniem myśli, nie zawsze trafnie pojmowanej, że krzyżacka puszka Pandory, jak niosła zgubę Polsce, tak naprawdę na dnie zieje też zgubą dla Rusi.

Ten wspólny, słowiańsko-litewski czyn zapoczątkowała Polska, i ona go też przeprowadziła, ona stała się jego ośrodkiem. Jest w tem jak gdyby symbol,

że w orszaku, przydanym na straż kierującemu z wzgórza działaniami wojennemi Jagielle, znaleźli się, prócz wyboru rycerstwa polskiego, dwaj książęta litewsko-ruscy i dwaj rycerze czescy. Około sztandaru państwowego Polski i jej władcy skupili się przedstawiciele — wszystkich. I nie tylko na przewodnictwie ideowem poprzestała tu Polska; polski oręż rozstrzygnął też samę bitwę. Kiedy wojsko litewsko-ruskie rzuciło się w ucieczkę, rycerstwo polskie, podjąwszy bohaterską walkę, nie tylko uratowało bitwę prawie już przegraną, ale zmieniło ją w straszny, doszczętny pogrom wroga. I tak grunwaldzki tryumf jest dziełem wszechstronnie polskiem; ta świetna, dostojna karta w historyi walk słowiańsko-germańskich zapisana została przedewszystkiem ramieniem polskiem i krwią polską. Ujął tę myśl trafnie współczesny wiersz: *Ense Polonorum cecidit gens Teutonicorum.*

Strategicznie i politycznie — nie udało się zwycięstwa tego wyzyskać natychmiast; nieco później przecież przyniosło ono owoc obfity. W czterdzieści i cztery lata po Grunwaldzie staje w Krakowie przed Jagiełłowym synem poselstwo stanów pruskich, ofiarując jemu i Koronie polskiej dobrowolne poddanie opanowanej przez Krzyżaków ziemi. Wypadek, prawie że jedyny w dziejach ludzkości: społeczeństwo, wrogo dotąd odnoszące się do sąsiada, zwyciężone przezeń dawniej, ale nie przezwyciężone, w chwili, w której konieczność wojenna nie zmuszała go do tego, poddaje się z własnej woli dawniejszemu zwycięzcy. Powiedziano trafnie: był to drugi, moralny Grunwald polski. Ale ten drugi Grunwald nie byłby był możliwy, gdyby pierwszy był prostym tylko sukcesem orężnym, choćby najświetniejszym. Musiał ten Grun-

wald pierwszy być zarazem aktem sprawiedliwości, a to państwo, które go dokonało, kroczyć naprzód pod sztandarem sprawiedliwości, skoro sztandar zwycięzcy stać się miał teraz dla ziem pruskich sztandarem opieki i ochrony. I po raz drugi znowuż przechyliła się wtedy szala wypadków na stronę sprawiedliwości: mimo rozpaczliwe wysiłki Zakonu, po trzynastoletniej walce, układ toruński zwrócił Polsce to, co się jej należało.

Te trzy, czasowo rozdzielone, pozornie odrębne wypadki: grunwaldzki bój, krakowski hołd i toruński traktat, stanowią dopiero pełne, organicznie jednolite zdarzenie historyczne, nie tylko przez to, że każdy późniejszy wypłynął z poprzedniego, ale i dla tego, że cały ich charakter, polityczny i etyczny — taki sam, i że znalazła w nich urzeczywistnienie ta sama wielka myśl dziejowa. Wszystkie razem tworzą jakoby jeden Grunwald zbiorowy.

Najbliższem jego następstwem było odzyskanie wszystkich ziem polskich, jakie od dwu i półtrzecia wieku zagarnął był Zakon, i ponowne ziem tych wcielenie do organizmu Polski; ponadto jeszcze zhołdowanie mistrza krzyżackiego z resztki jego posiadłości pruskich. Ale to nie wynik jedyny. Rzućmy okiem na dalszy przebieg dziejów aż do rozbiorów Polski. Spotykamy tu zjawisko znamienne: cała działalność wielkich mistrzów, czy późniejszych ich spadkobierców prusko-brandeburskich, ogranicza się w zasadzie do jednego tylko głównego celu: do rozluźnienia czy rozerwania węzłów zawisłości lennej, w jaką weszli do Polski od toruńskiego traktatu. O to przedewszystkiem chodzi przy sekularyzacyi Prus za Zygmunta I., tę tylko myśl przeprowadzają

za Jana Kazimierza traktaty welawski i oliwski; ostatecznem ukoronowaniem tej myśli jest koronacya pruska, z przed dwu stuleci. Ze stanowiska interesów Polski ten stopniowy proces wyzwalania się pruskiego był zjawiskiem niewątpliwie ujemnem, dla jej przyszłości groźnem; ale zasadniczo rozumieć go należy jako rodzaj akcyi obronnej po stronie pruskiej, jako próbę zagojenia ran, zadanych organizmowi własnemu. Akcya zaczepna ustała. Na terytoryalną całość Polski już się odtąd żywioł niemiecki nie targnął — aż do drugiej połowy XVIII. wieku.

I to właśnie nadaje Grunwaldowi znaczenie faktu zwrotnego, epokowego. Nie był Grunwald pierwszem zwycięstwem oręża polskiego, czy słowiańskiego, nad wrogiem niemieckim: mieli chwile świetnych nad nim tryumfów wojennych Słowianie połabscy, walczył przeciw niemu z powodzeniem Chrobry czy Krzywousty, zbił Krzyżaków pod Płowcami Łokietek. Ale po każdym z tych sukcesów odnawiały się zaraz dalsze walki zaborcze Niemców, dalszy ich napór na ziemie słowiańskie. Dopiero teraz, od półtysiąca lat w Polsce, od siedmiuset blizko lat w Słowiańszczyźnie północnej, zabrzmiało po raz pierwszy stanowcze i na długi czas skuteczne hasło: „dotąd, a nie dalej“! Naporowi żywiołu niemieckiego Grunwald pierwszy, na półczwarta wieku, położył tamę nieusuniętą.

I w tem właśnie tkwi doniosłość pierwszorzędna zjawiska.

Czego należałoby oczekiwać, gdyby wynik walki przechylił się był na korzyść Zakonu? Miał Zakon już wtedy pod swem panowaniem kilka ziem polskich; miał dawniej czasowo niektóre inne, zapuszczał nieraz przedtem zagony na przeważną część innych jeszcze,

nie mówiąc już o sławnych jego, niszczących rajzach litewskich. Jest w tem wskazówka, jaki charakter i kierunek przybrać mogły zdarzenia po niepomyślnym dla Polski Grunwaldzie. Gdyby Polska była wtedy straciła część swych ziem, przyszłoby znaczne jej osłabienie militarne i polityczne, a przy tem osłabieniu dalsze z kolei straty były znowuż możliwe. Czy byłby przyszedł jeszcze kiedyś inny Grunwald zwycięski — niewiadomo; w każdym razie byłaby to już rzecz trudniejsza. I tak groziło niebezpieczeństwo, że na gruzach państwowości polskiej, jak niegdyś na ziemiach połabskich, urastać będzie coraz silniejszy, coraz potężniejszy organizm państwowy niemiecki, wchłaniający w siebie prastare dziedziny polskie, dopóki nie wchłonie ich w całości, i nie zetknie się z dalszym sąsiadem słowiańskim — od wschodu. I niewiadomo, czy zetknąwszy się z nim, zaprzestałby zaborów dalszych, jak niemniej, czy w walce orężnej ów sąsiad byłby się zdobył na Grunwald. Ci dwaj, zgodni i godni siebie, którzy dziś ponad głową Polski podają sobie ręce, żeby ją uciemiężać, staliby może naprzeciw siebie jako zapaśnicy na śmierć i życie: jeden, przynajmniej, konsekwentny w swym naporze na słowiańską własność, drugi obłudny i nierozumny, z sztandarem słowiańskim w dłoni i haniebną zdradą słowiańskiej sprawy przez barbarzyński ucisk Polski, z dążeniem do zniszczenia polskiego wału, który jest mu tu ochroną najpewniejszą, a po którego zniszczeniu otworzyć się może przepaść, jemu samemu złowroga i zgubna.

Nie ma więc w tem przesady, jeżeli się powie, że Grunwald uratował państwowość polską, stwarzając równocześnie wał ochronny dla dalszej Słowiańszczy-

zny. Ale on uratował więcej jeszcze: uratował narodowość i kulturę polską. Nie napróżno wśród kilku listów, jakie król po bitwie rozesłał z wieścią o zwycięstwie, obok listów do królowej i arcybiskupa, znalazł się jeden — do Akademii krakowskiej. Polityczne podboje Niemców na terenie słowiańskim w wiekach średnich łączyły się pospolicie z wynarodowieniem podbitego żywiołu słowiańskiego. Kraje połabskie i łużyckie były w czasie Grunwaldu na dobre już zgermanizowane. Podobny los spotkał częściowo także i polskie ziemie, które się były dostały w zakres bezpośredniego wpływu niemieckiego, żeby przypomnieć Ślązk, znacznie już wtedy zniemczony; a trzy rdzennie polskie ziemie, chełmińska, michałowska i Pomorze gdańskie, kiedy skutkiem toruńskiego traktatu, po półtrzecia i półtora wieku rządów krzyżackich, wróciły do Polski, tak już były przetkane żywiołem germańskim, że aż do upadku Rzpltej uchodziły za kraje na pół niemieckie. Co się stało udziałem tamtych ziem, to groziło także i innym ziemiom polskim, gdyby w tym czasie były się dostały pod panowanie krzyżackie. Nasza kultura i cywilizacya z początków XV-go wieku, choć nie pośledniа, była przecież młodzieńcza, zatem bardziej giętka i zewnętrznym wpływom podatna; gdyby zwycięski Zakon był mógł przystosować do niej swój żelazny system germanizacyjny, może byłaby przybrała kształt, w jaki ją wtłoczono: z tego kształtu byłaby uleciała dusza polska. To, najgroźniejsze ze wszystkich, niebezpieczeństwo usunął Grunwald: stworzywszy na półczwarta wieku stanowczą zaporę dalszemu posuwaniu się germanizmu, dał zarazem cywilizacyi naszej możność samodzielnego rozwoju, naszemu duchowi narodowemu sposobność ukrzepienia się i spotężnienia.

Kiedy potem przyszły rozbiory Polski, polityczny owoc Grunwaldu został zniszczony: niemieckie władztwo przesunęło się częściowo na ziemie polskie. Ale owoc, jaki on przyniósł naszej idei narodowej, naszej cywilizacyi i kulturze, był już wtedy nie do zniszczenia. Pod kilkuwiekową osłoną, jakiej im udzielił, tak one zmężniały i spotężniały, tak silnie wrosły w podstawę, tak w swych kształtach stężały, że nie zdołał ich zniszczyć sam upadek polityczny państwa, i nie zniszczą — da Bóg — żadne dalsze zamachy wrogów.

I tak Grunwald jest dziś dla nas nie tylko wspomnieniem tryumfu; jest po dziś dzień jeszcze i będzie na wieki wartością realną, zdarzeniem, dzięki któremu stanąć mogła silna, niewzruszalna, nieśmiertelna opoka polskości.

Ta opoka — to nasza broń, jedyna, jaka nam została. Nie stoimy tedy bezbronni wobec przeciwnika; tylko miecz wytrącono nam z dłoni. Za to po stronie tamtej pozostały wszystkie bronie: wszystkie te same, jakie już od tysiąca z górą lat wypróbowano w walce z Słowiańszczyzną, tylko że — udoskonalone. Zostało jątrzenie jednych przeciw drugim, nie przebierające w środkach. Została kolonizacya, skierowana na zdobycie rodzimej ziemi polskiej, tylko że z dobrowolnego aktu gospodarczej natury, za którym kryć się mógł polityczny cel, przetworzyła się w bezpośredni środek polityczny, w samem założeniu niemoralny, cywilizacyi dzisiejszej niegodny, bo zmierzający do przymusowego rugowania prastarej ludności tubylczej. Został i oręż — dla utrzymania posłuchu; tylko że z miecza przekształcił się w bagnet, i z dłoni rycerza przeszedł do rąk sierżanta, który

sławne odnosi zwycięstwa nad rozmodlonem dzieckiem polskiem i bezdomnym chłopem polskim.

Ten ucisk, nie oszczędzający nawet maluczkich, mógłby być miarą naszych cierpień, gdyby nie to, że cierpienia nasze — bezmierne. Na wspomnienie dawnych tryumfów rozpaczny okrzyk: *Fuimus Troes* bolesnym jękiem rozdziera nam piersi. Okrzyk rozpaczny — a przecież nie beznadziejny. Od granitowej opoki, jaką stworzyła polskość, odbiją się skruszone wszystkie groty, a w piekle ucisku, jakie nam zgotowano, tyle już zużyto ognia, że przepali się piekło samo — i wybije godzina sprawiedliwości. Na zegarze dziejowym na godzinę taką trzeba czekać całe stulecia; ale — jest Bóg na niebie, więc zegar nie stanie. A choć ten bezmiar cierpień, przez które nas przeprowadza los, wystarczyłby do zmazania wszystkich win, choćby największych, jakie popełniliśmy dawniej, czy popełniamy dzisiaj, my, w oczekiwaniu tej godziny, pytamy trwożni, czy te winy odpuszczone już wszystkie, i jakie jeszcze mają być odpuszczone, pomni, jak grunwaldzkie rycerstwo, że usprawiedliwienie własne prowadzi do sprawiedliwego zwycięstwa.

I dla tego dziś, jak przed półtysiącem lat, nie już z tysiącznych piersi rycerstwa, ale z milionów serc narodu, przed tron Naszej Królowej płynie korna, błagalna, grunwaldzka pieśń:

Bogu Rodzica, Dziewica,
. . . .
U Twego Syna, Gospodzina,
Ziści nam — spust winam!

Nauka a społeczeństwo.

Przemówienie wstępne na publicznem posiedzeniu jubileuszowem Towarzystwa dla popierania nauki polskiej we Lwowie dnia 21. marca 1911 [1].

Po dziesięciu latach pracy stajemy po raz pierwszy publicznie przed ogółem — nie, żeby się szczycić jej owocami. Nauka tyle ma wszechstronnych kierunków rozwoju, a w obrębie każdego z nich tyle olbrzymich zadań do spełnienia, że to, co w krótkim okresie lat dziesięciu zdziałać dla niej zdoła nawet najzasobniejsza w środki instytucya, jest, i musi być znikającą drobnostką; a cóż dopiero instytucya nowa, od niczego poczynająca, w skromne zasoby wyposażona, jak Towarzystwo nasze.

Stajemy przed ogółem, żeby uczynić zadość odczutej potrzebie zdania sprawy z postępu naszych prac; żeby się wyświadczyć, że obowiązki nasze staraliśmy się spełniać w miarę sił i możności; żeby objaśnić, dla czego nie zdziałaliśmy więcej, choć tyle jeszcze innych zadań było do spełnienia. Stajemy, żeby przypomnieć ogółowi, że — jesteśmy, i powiedzieć mu, że nadal pracować chcemy; wreszcie, żeby w tem zetknięciu z nim zaczerpnąć moralnego bodźca do — wytrwania.

---

[1] Druk. w Słowie Polskiem z 22. marca 1911 nr. 137 i osobno, pod tytułem w napisie podanym Lwów, 1911, str. 7.

Z radością szczerą i żywą wdzięcznością witamy tedy Wszystkich, którzy tu przybyli: dostojnych i szanownych gości, którzy tę dla nas uroczystą chwilę obecnością swoją uświetnili; przedstawicieli pokrewnych nam instytucyj, którzy, stając tu obok nas, dają wyraz cennej nam nade wszystko zgodności dążeń i kierunków pracy; naszych członków wreszcie, którzy przybyciem swem nowy złożyli dowód życzliwości dla Towarzystwa i przejęcia się jego sprawami. Dzięki — wszystkim.

Powstało to nasze Towarzystwo, żeby służyć sprawom nauki polskiej. Nie tej nauki, jak się ją także nieraz w języku naszym określa, która jest pracą odtwórczą; której zadaniem ustalone już przez umiejętność prawdy upowszechniać i rozszerzać, w jakimkolwiek zresztą sposobie: poczynając od popularyzacyi dla wykształconych, a kończąc na nauczaniu maluczkich; ale tej, która jest szukaniem i dociekaniem prawd nieznanych, ustalaniem faktów, zjawisk, czy prawideł dotąd niestwierdzonych, która niesie pochodnię świetlną w ciemne, nierozjaśnione dotąd dziedziny umysłowości; która — jednem słowem — jest pracą twórczą, jedynym środkiem i warunkiem koniecznym wszelkiego postępu wiedzy ludzkiej. Jej działalność obraca się tedy — na szczytach, lub, jeśli kto chce, u gruntu, u samych podstaw; bo wszystko, co naprawdę naukowo wiedzieć da się, wiedzieć można tylko dzięki wynikom pojętej w ten sposób nauki.

Zadania nasze i ostateczny cel, do którego dążymy, są zatem w zasadzie takie same, jak w towarzystwach naukowych, lub chociażby akademiach; tylko co do środków i sposobów działania zachodzi różnica między Towarzystwem naszem a tamtemi instytucyami.

Tamte przez własne swoje organy pracują bezpośrednio same nad postępem wiedzy; my poprzestajemy na tem, że pracy naukowej, poza ramami organizacyi naszej podjętej, udzielamy w jakikolwiek sposób materyalnego poparcia.

Możnaby zapytać — a byli tacy, którzy pytanie to stawiali — czy na ogół istnieje racya bytu takiego Towarzystwa; czy nie lepiej pozostawić troskę o materyalne poparcie zadań naukowych tym istniejącym u nas instytucyom, które same nad rozwojem nauki pracują, przedewszystkiem zaś naszej, najlepiej zasłużonej, Akademii Umiejętności. Stwierdźmyż od razu, że środki materyalne, którymi rozporządzają wszystkie te instytucye razem wzięte, nie wyłączając Akademii, są najniedostateczniejsze. Wszelka praca w zakresie badań naukowych jest rzeczą bardzo kosztowną, wymagającą często wysokich wkładów materyalnych; można też powiedzieć, choć pozornie nie zachodzi tu żaden związek pojęciowy, że postęp nauki w danym narodzie zależy „nie tylko od ilości pracowników i tęgości głów pracujących, ale także od materyalnego poparcia, jakiego tu badania naukowe doznają“. U narodów szczęśliwszych powstają setki i tysiące Towarzystw naukowych, zakładają się liczniejsze Akademie i instytuty naukowe, płyną najobficiej hojne subwencye państwowe i prywatne na cele nauki; są Akademie, które rozporządzają milionami dochodu rocznego, a ogół wydatków, na cele naukowe ponoszonych, idzie tu w dziesiątki milionów. A przecież i tam odczuwa się jeszcze braki pod tym względem. Dość przypomnieć, że w państwie, które ma kilka bogatych akademij, kilkanaście uniwersytetów, bezlik towarzystw naukowych, w najnowszych właśnie czasach założono

towarzystwo, oparte prawie dosłownie na tych samych, tylko na znacznie wyższą materyalną skalę napiętych zasadach organizacyjnych, co nasze, z tym samym wytkniętym mu celem: udzielania materyalnego poparcia badaniom naukowym.

U nas, na przestrzeni całej Polski, jest towarzystw naukowych stosunkowo niewiele, przeważnie z dochodami bardzo szczupłymi, nasza zaś Akademia pod względem uposażenia należy do uboższych. Można mieć wątpliwości, czy suma wydatku rocznego, jaki wszystkie nasze instytucye naukowe razem wzięte przeznaczyć mogą na cele nauki polskiej, dochodzi do pół miliona koron; na pewno nie przewyższa jej znaczniej. Ta cyfra, zestawiona z wielumilionowymi wkładami innych narodów, daje dosadny obraz zewnętrznych pęt, w jakie zakuty jest rozwój nauki polskiej, tłómaczy najlepiej słabsze jej tętno w porównaniu z tętnem nauki na dalszym Zachodzie. Obmyślenie nowych dla niej środków materyalnego poparcia, stworzenie innych, niebijących przedtem źródeł dochodu, jest i będzie po wsze czasy ważnym naszym obowiązkiem narodowym, tem naglejszym, tem istotniejszym, że nie ma żadnej organizacyi państwowej, którejby ta sprawa bezpośrednio leżała na sercu, i że społeczeństwo samo musi tu, według sił, wyrównać to, co gdzieindziej w najszerszej mierze przejmuje na swe barki państwo samo.

Na tem tle ideowem urodziła się przed laty dziesięciu myśl założenia naszego Towarzystwa, organizacyi, mającej na celu, w tych trudnych dla rozwoju nauki naszej warunkach, gromadzić nowe środki materyalne dla jej popierania. I w tem tkwi uzasadnienie jego bytu. Mniejsza o to, że poparcie to, jak na teraz

przynajmniej, nie jest i nie może być zbyt wydatne; w każdym razie stanowi ono pozycyą dodatnią w bilansie nauki polskiej, a pośrednio w rachunku zysków narodowych. I trzeba podkreślić, że te źródła dochodów, jakie na cele nauki polskiej Towarzystwo nasze otworzyło, są właściwie całkiem nowe. W części bowiem ze względu na substrat osobowy Towarzystwa, w części zaś znowuż na charakter i wysokość wpływów, dochody nasze nie są w zasadzie dostępne innym Towarzystwom naukowym specyalnym, czy też przedewszystkiem Akademii. Co nasze Towarzystwo z b i e r a, tego nie o d b i e r a tamtym instytucyom: nie skierowuje prądu, który i tak popłynąłby na cele nauki, w inną tylko stronę. Owszem, gromadzi to, co zresztą nie byłoby zużytkowane na te cele; stwarza tedy naprawdę całkiem nowe dla nauki źródło zasiłku.

Na tej myśli oparta organizacya naszego Towarzystwa, z wkładkami członkowskiemi od najniższych do względnie wysokich, zakreśliła też ramy, w obrębie których całe bez wyjątku społeczeństwo znajduje jedyną w swoim rodzaju sposobność przyczynienia się, jak na to kogo stać, do poparcia spraw naszej nauki. Powtórzę słowa, jakie były napisane przed laty dziesięciu, kiedy się to nasze Towarzystwo zakładało: „Z jednostek (jakie doń należeć mogą) — niewiadomo, kogo pominąć; uczeni i profesorowie, t. z. inteligencya, i wreszcie wszyscy inni, w kapocie, choćby nawet w siermiędze, wszyscy, którzy się nauką trudnią lub z niej korzystają, i ci, którzy się nią nie zajmują lub korzystać z niej bezpośrednio nie mogą, ale odczuwają jej doniosłość i mają serce dla sprawy narodowej, wszyscy, nie tylko stąd, najbliżsi, ale i dalsi, skądkolwiekbądź, mogą tu sobie podać wspólną dłoń, ażeby

skromną wkładką przyczynić się do urzeczywistnienia ważnego celu. W spisie członków Towarzystwa znajdą się może Curzydłowie, którzy, jeżeli już nie dziesiątkami tysięcy, to przynajmniej małym datkiem rocznym poprą sprawę nauki polskiej; tym, których zdobi biret doktorski, wstyd będzie, jeśli ich w tym spisie zabraknie. Gdyby wszyscy, na których cięży moralny obowiązek poparcia nauki, uczynili mu zadość, Towarzystwo stanęłoby od razu na silnej podstawie i mogłoby rozwinąć szeroką, skuteczną działalność".

Ten udział wszystkich da się zresztą uzasadnić nie tylko momentem ideowym. Towarzystwo nasze, w miarę wniesionych wkładek, udziela członkom publikacyj swych jako bezpłatnych premij. Mniejsza o to, że w książce wraca się tu wartość wkładu pieniężnego; ta książka w ręku członka spełnia ponadto pewną misyą kulturalną. Przeczyta ją nie tylko specyalista z obowiązku, ale, mając pod ręką, zajrzy do niej i laik, może ją przerzuci i przepatrzy, a zainteresowany przedmiotem, może ją nawet przestudyuje gruntownie; ten sam laik, który o istnieniu tej książki może byłby się nie dowiedział wcale, albo wiedząc, nie byłby się kwapił z jej nabyciem i przeczytaniem. Rozrzucone w szersze koła publiczności wydawnictwa nasze budzić tedy mogą, a zapewne i budzą pewne żywsze zajęcie się kwestyami naukowemi, a zarazem przynoszą najlepsze co do nich, bo wprost u źródła zaczerpnięte pouczenie. I tak Towarzystwo nasze, prócz tego, w czem służy samemu postępowi wiedzy, spełnia zarazem pośrednio zadanie jej popularyzacyi w wyższym stylu.

Jak się ono w ciągu lat dziesięciu rozwijało na wewnątrz i na zewnątrz, przedstawi osobny odczyt

w dalszym ciągu tego posiedzenia. Co do rozwoju wewnętrznego wystarczy stwierdzić rzecz podstawową: że, jak obliczano trzeźwo przy samem założeniu Towarzystwa, główny substrat jego dochodów stanowiły i stanowią wkładki członków. Znaczniejszych ponadto datków, albo raczej powrotnych, corocznych subwencyj, udzielały nam tylko niektóre instytucye i organy publiczne, przedewszystkiem Sejm krajowy, Ministerstwo oświaty i Rada m. Lwowa, o których nie możemy wspomnieć bez wyrażenia najgłębszej wdzięczności za to wydatne poparcie. Osoby prywatne, ponad swe wkładki, wnosiły czasem znaczniejsze dary, jak na to kogo było stać, dołączając nieraz taki serdeczny odzew i tak życzliwe słowa zachęty, że były nam one najlepszem zadośćuczynieniem za poniesiony trud. Ale tych znaczniejszych datków prywatnych czy zapisów było przez całych dziesięć lat tylko kilka, a najwyższy z nich nie przekroczył kwoty 400 kor. Nie przyszedł do nas żaden Curzydło, czy Kochman lub Osławski, choćby z daleko mniej hojną dłonią; całkiem inaczej, niż gdzieindziej, nie tylko u obcych, ale i u naszych, w innych dzielnicach, n. p. w Królestwie, gdzie podobna do naszej instytucya, Kasa naukowa im. Mianowskiego, otrzymuje co chwila zapisy i dary tysiączne i wielotysiączne. Może dla tego, że ta nasza, początkująca instytucya nie dawała jeszcze rękojmi trwałości i nie budziła zaufania. Może także dla tego, że tutejsza ofiarność publiczna, rozbita na tysiączne cele, rozszczepiła się też w wydatności. Może wreszcie i z tego powodu, że zrozumienie doniosłych zadań nauki w rozwoju życia narodowego nie sięga jeszcze zbyt głęboko, i że ofiarność publiczna, zwłaszcza ofiarność jednorazowo wydatniejsza, urobiwszy

sobie przez dawniejszą praktykę pewne szablonowe ujścia, w nich tylko szuka zaspokojenia dla siebie, czasem ponad istotną potrzebę, nie troszcząc się o utorowanie sobie ujść nowych.

A i to, co nam przyniosło poparcie społeczeństwa w zastępie dostarczonych członków, nie sięga zbyt daleko. Z tych, co w kapocie, liczymy pewną ilość w naszem gronie; z tych, co w birecie, brakuje jeszcze bardzo wielu; z tych zaś, co między kapotą a biretem, w surducie, czy w kontuszu, czy w sutannie, czy pióro dzierżą w ręku, czy lemiesz, czy kredkę do zliczania kapitałów, czy cokolwiek zresztą, czy się znaczą prostym tylko inicyałem literowym, czy koroną, nie zliczyć, ilu ich tu jeszcze niedostaje. I jeszcze jedno: nawet z pośród tych, którzy w tym czy owym roku, lub kilku latach, udzielili nam poparcia jako członkowie, przeważna większość wycofała się po upływie krótkiego czasu. Wielu, bardzo wielu nie zdołało w y t r w a ć, choć przy nizkich wkładkach członkowskich wytrwanie to nie przedstawiało trudności, ani uszczerbku majątkowego. Gdyby nie ta gromadna dezercya, gdyby wszyscy, którzy kiedykolwiek byli naszymi członkami, byli nimi pozostali po dziś dzień, liczylibyśmy ich zamiast 1000, około 3000; zaczem i w szeregu naszych wydawnictw byłoby zapewne do wykazania o kilkadziesiąt publikacyj naukowych więcej, aniżeli ich dzisiaj wykazać możemy.

To są cienie; nie brak jednak i punktów świetlnych. Więc najpierw: tych 120.000 kor. z górą, które w ciągu lat dziesięciu zdołaliśmy zgromadzić na cele naukowe. A potem: tych 50.000 z górą, które z sumy powyższej odłożyliśmy jako kapitał zakładowy, trwała

podstawa dalszego bytu naszego. A potem: tych trzydzieści wydawnictw naukowych, jakie w czasie tym z pozostałej reszty ogłosiliśmy, o których mamy prawo przyjąć, że są rzetelnym dorobkiem naszej nauki. I znowuż: tych 30.000 tomów, które zgromadziliśmy na założenie wielkiej biblioteki prowincyonalnej, wraz z kapitałem przeszło 6.000 kor. na zbudowanie gmachu bibliotecznego. Ponad wszystko wreszcie wysuwa się rzecz inna: że to nasze Towarzystwo, jak istniało przed laty dziesięciu, tak istnieje po latach dziesięciu; że przez ten czas nie tylko nie zmarniało, ale i w działalności swojej nie osłabło; że poczęte bez grosza kapitału zawiązkowego, wspiera się dzisiaj na silnej, niewzruszalnej podstawie materyalnej; że nie tylko nie myśli o ograniczeniu któregokolwiek z dotychczasowych kierunków swej akcyi, ale owszem, szykuje się do statecznego ich rozwijania i pogłębiania. Tyle przez ten sam czas powstało u nas stowarzyszeń, nieraz o najpiękniejszych celach i z najlepszemi intencyami założycieli, i tyle ich po jednodniowym żywocie upadło lub w żywot niedokrewny się rozpłynęło! Dla czego, nie tutaj miejsce rozbierać; wystarczy stwierdzić, że Towarzystwo nasze okres próby przetrwało zwycięsko, że w tem zaczątkowem stadyum rozwoju nie tylko nie osłabło, ale zmężniało, że dzisiaj stoi jako instytucya silna i pewna, że więc w ślad za tem ma prawo od społeczeństwa żądać zaufania, którego nie zawiedzie, życzliwego poparcia, którego nie zmarnuje.

Prawda, że i przez to jeszcze nie trafi swą ideą do przekonania wszystkich. Są tacy, którym zda się, że twórcza, ściśle naukowa praca, w trudnych warunkach naszego bytu narodowego, jest pewnego ro-

dzaju zbytkiem; że w najlepszym razie wystarczy tu to, co już mamy: Akademia i dwadzieścia kilka towarzystw naukowych na przestrzeni całej Polski; że całą naszą i wyłączną usilność na polu zadań kulturalnych winniśmy skierować do popularyzowania wiedzy w najszerszych warstwach, do szerzenia oświaty ludowej. Mało kto ma odwagę wypowiedzieć to zdanie otwarcie, ale jest legion takich, którzy mu hołdują w praktyce. Uznając doniosłość popularyzacyi wiedzy i oświaty ludowej, jedni i drudzy bronią oczywiście rzeczy dobrej; ale z tak jednostronnie sformułowaną tezą schodzą na manowce i bezdroża. W kulturalnym pochodzie ludzkości każdy naród ma wyznaczony sobie pewien najkonieczniejszy udział w pracy około postępu wiedzy. Wolno mu to zadanie spełnić, albo go nie spełnić; ale jeśli go nie spełni, przestanie kroczyć w rzędzie narodów kulturalnych. To jedno. A druga rzecz, to ta, że popularyzacya wiedzy i oświecenie ludu nie da się naprawdę pomyśleć bez równoczesnego prawidłowego postępu badawczej pracy naukowej. Wszystkie te trzy kierunki rozwoju umysłowości są ze sobą związane organicznie; zamarcie czy zastój jednego, jest też wyrokiem śmierci na inne, zwłaszcza zastój w postępie wiedzy, która oświatowej pracy dostarcza coraz to nowych soków ożywczych. Nie dla siebie tylko pracują badacze uczeni, i nie dla szczupłego tylko grona wybranych; są oni pośrednio nauczycielami całego społeczeństwa; ich praca jest nie tylko służbą wobec nauki i prawdy, ale zarazem służbą społeczną i obywatelską. Biada tej oświacie ludowej, którąby z takiej, ciągle naprzód postępującej twórczej pracy naukowej korzystać nie mogła: jej wykładnikiem i wynikiem będzie zastój w narodzie

nie tylko w dziedzinie umysłowości, ale i w całem życiu społecznem.

To też, im więcej instytucyj, służących celom ściśle naukowym, im więcej środków do ich poparcia, tem lepiej — nie już dla nauki samej, ale i dla społeczeństwa. Nam stać na ich straży tem silniej i wytrwalej, że w nieszczęsnych warunkach bytu, jakie nam zgotował los, nie tylko piętrzą się zewsząd trudności co do ich tworzenia, ale dotykają nas też nieraz straty najdotkliwsze co do tego, co już posiedliśmy. Mieliśmy najpoważniejsze towarzystwa naukowe, jakby akademie; te nam zamykano. Mieliśmy pierwszorzędne biblioteki, jakich nam pozazdrościć mogły najprzedniejsze zbiory Europy; te nam konfiskowano i bez ogródek zabierano dla siebie. Mieliśmy, prócz tych dwu, jakie się ostały po dziś dzień, inne uniwersytety polskie; te nam kasowano lub w narzędzia wynarodowienia zamieniano. Tem usilniej strzec należy tego, co jest, i co utrzymane być może, choćby to nawet były instytucye, jak na dziś, mniej rozwinięte, mniej w skutkach swej działalności wydatne, jak nasze Towarzystwo. To nasze Towarzystwo, które dziś zakreślić sobie musi skromne pole działania, jeśli się będzie rozwijało prawidłowo, za lat pięćdziesiąt stać się może — potęgą; jak może byłoby już dziś potężną dźwignią nauki, gdyby o jego założeniu było się pomyślało przed laty pięćdziesięciu. Trzeba umieć obliczać cele na dalszą metę, nie szukając zaraz wielkiego sukcesu natychmiastowego. Za lat pięćdziesiąt — nas już nie będzie; ale będzie ten naród, do którego należymy, może tak samo, jak dziś, pozbawiony ciała własnej organizacyi państwowej, w przejawach życia swego z zewnątrz krępowany, zaświadczający swą

żywotność pracą kulturalną, potrzebujący dla tej pracy jak największej ilości organów, odpowiednio urządzonych i działających. Byłoby źle, gdyby do tego czasu nie stworzył sobie całego zasobu nowych tego rodzaju organów, jakich dotąd nie posiada; ale byłoby zgubnem, gdyby zmarnieć dał tym, jakie już ma, jakie utrzymać i ukrzepić może. W ich szeregu, nie na pierwszem oczywiście, ale może i nie na ostatniem miejscu, to nasze Towarzystwo dla popierania nauki polskiej niechaj mu będzie zlecone w opiekę.

XI. *La Bruyère*. **Charaktery**. W przekładzie Antoniego Potockiego. Kor. 3.

XII. *Fichte*. **Powołanie człowieka.** W przekładzie Adama Zieleńczyka. Kor. 3.

XIII. *Fontenelle*. **Rozmowy zmarłych.** W przekładzie Juliusza Germana. Kor. 3.

XIV. *Walter Savage Landor*. **Dyalogi fikcyjne.** W przekładzie Maryi Rakowskiej. Kor. 3.

XV. *Voltaire*. **Refleksye**. W przekładzie Grzegorza Glassa. Kor. 3·—.

XVI. *Hebbel*. **Dzienniki.** W przekładzie Karola Irzykowskiego. Kor. 3·—.

XVII. *Hello*. **Studya i szkice.** W przekładzie Walerego Gostomskiego. Kor. 3·—.

XVIII. *Emerson*. **Wybór dzieł.** W przekładzie Maryana Olszewskiego.

XIX. *Kardynał Newman*. **Wybór myśli.** W przekładzie Stanisława Brzozowskiego.

XX. *Marek Aureliusz*. **Pamiętnik**. W przekładzie Maryana Reitera.

XXI. *Rousseau*. **Wybór pism.** W przekładzie Zygmunta Matkowskiego.

XXII. *Sören Kierkegaard*. **Wybór pism.** W przekładzie M. Bienenstocka.

XXIII. *Tomasz Carlyle*. **Wybór pism.** W przekładzie Savitri.

DALSZE TOMY W PRZYGOTOWANIU.

155